270a

RENATA.

dubl do 1 51.771 BR.



RENATA.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Jana Zacharjasiewicza.

Więc żadnych niema duchów?... Świat ten jest bez duszy?
Żyje, lecz żyje tylko jak kościotrup nagi
Który lekarz tajemną sprężyną poruszy;
Albo jestto coś nakształt wielkiego zegaru,
Który obiega popędem ciężaru?.....
Tylko nie wiecie, kto zawiesił wagi!
O kołach, o sprężynach rozum wasz naucza,
Lecz nie widzicie ręki i klucza!

A. M.

BIBLIOTEKA POTTERZYCKA J.W.D.
D.6369

WARSZAWA.
NAKŁADEM F. BLUMENTHALA
przy ulicy Nowowiniarskiéj pod filarami Nr. 15 sklepu.

1858.

B.54.471

Wolno drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu w Komitecie Cenzury prawem przepisaną liczbę egzemplarzy.

W Warszawie dnia 12 (24) Października 1857 r.

Starszy Cenzor, *F. M. Sobieszczański.*

556687

275-622

BIBLIOTEKA OSSOLINEUM

556.687 I

W Drukarni Józefa Ungra.

I.

Było to w lecie r. 182*. Pan Izydor po dobrym obiadku zapalił sobie lulkę i wyszedł na ganek, aby tamże odbyć zwykłą godzinę najsmutniejszych swoich medytacji.

Pan Izydor był właścicielem górskiéj wioski o trzech folwarkach, miał trzy karczmy przy drodze, na potoku młyn o trzech kamieniach, a w domu trzy córki na wydaniu. Otóż przez cały boży dzień miał o czem myślić. — Lubiąc jednak we wszystkiem porządek, ujął więc i myśli swoje w karby przyzwoite. Jużto o folwarczkach myślał dzień cały, ale dla karczmy, młyna i córek miał pewne tylko godziny. I tak rano zaraz po śniadaniu kłopotał się

karczmami, po obiedzie nagabywały go smutne, rodzicielskie myśli o trzech córkach, które jakoś za mąż nie szły, a pod wieczór stukało mu i pukało w głowie, jakby tam miał kamienie młyńskie.

Teraz zaś była to poobiednia godzina, więc z kolei wypadało myślić o córkach. A smutne były to myśli, bo już najmłodszéj mijał szesnasty roczek, a tu nikt się nie zgłaszał. Położenie wioski było jakoś tak fatalne, tak kręte i niebezpieczne drogi prowadziły do niéj, a co najgorsza, tak krzemienista była gleba, że jaki taki okrążał zdaleka tę wyżynę Karpacką, nie chcąc złamać karku lub o kamień głowy rozbić. Więc miał się czego smucić pan Izydor, a nawet miał najsłuszniejsze prawo do czarnéj melancholji. I nie wiemy, coby się stało z panem Izydorem ojcem z własnéj woli, a wdowcem ze zrządzenia Boskiego, gdyby trzy jego córki, szczebiotliwe jak trzy kosze w młynie, a fertyczne jak trzy wrzeciona, nie kręciły się wkoło niego i nie wyrywały go z czarnéj zadumy. A gdy się jeszcze zdarzyło, że

potrawa jaka była smaczna, a piwko wybornie musowało, to pan Izydor zapominał jakoś o trzech swoich dolegliwościach, o karczmach, córkach i o młynie.

Dzisiaj jednak w złym był humorze. Zrazy były przepalone, kasza przydymiona, piwo miało jakiś smak kwaskowy, a co najgorsza, słońce wchodziło właśnie w znak Panny; to było dla niego tem nieznośniejsze, że ich miał trzy na ziemi, a czwarta zrodziła się na niebie.

Przypominało mu to dziwne wydarzenie, starannie w kalendarzu zapisane, że wszystkie trzy córki urodziły się pod znakiem panny, co dla stroskanego wdowca straszną było ich wiecznego panieństwa przypowiednią. I na to nawet coś zakrawało. Najstarsza, Frania, dostała ospy, która ją dosyć zeszpeciła. Rózia miała nierówne ramiona, a Mancia, śliczna jak jabłuszko, już naprzód zapowiedziała, że za mąż nie pójdzie, wyjąwszy — jeśli się zakocha. Wszystkie te ujemne córek przymioty trapiły biednego ojca, a utrapieniom tym poświęcał zazwyczaj poobiedne godziny. To też i strawa

nie wychodziła mu na pożytek, a pan Izydor był blady i chudy jak owies górski, który przeważną część jego krescencji stanowił.

— Mój Boże, dumał pan Izydor puszczając dym za dymem, niegdyś jeździli po kraju jacyś rycerze, zeszli gdzieś w ogrodzie dzieweczkę, zakochali się i człowiek łatwym kosztem mógł się z domu pozbyć jednego dziecka; a dzisiaj, i nikt się nawet nie spyta, czy mam córki! Co to za czasy! co za zepsucie!... Na Ś. Franciszka będzie najstarszéj dwadzieścia... Mania mogłaby już być matką..... moja nieboszczka żona miała lat piętnaście gdym ją do ołtarza prowadził... Mocny Boże! dziś jéj nie ma, a zato trzy dziewczęta jak orzech, a tu ani rusz!...

I właśnie chciał ręką machnąć, jak to było jego zwyczajem, gdy sam z sobą rozmawiał, gdy z sieni wybiegła zadyszana dziewczynka o pięknych błękitnych oczach.

— Tatuńciu, kochany tatuńciu, zawołała całując go w rękę.

— Cóż ci to Mańciu? zapytał ojciec.

— Niech tatunio będzie tak dobry, mówiła daléj łasząc się jak koteczka, Frani i Rózi zrobimy figla, i to niepospolitego figla.

— Otóż masz, pomyślał sobie pan Izydor, ja w głowę zachodzę, co tu z niemi robić, martwię się, że ta hołota na karku siedzi, a im figlów się zachciewa! Zgroza! obraza Boska!

— I cóż tatuniu, dobrze? pytała Mańcia przydłużając oczka.

— Co wam w głowie, co! Ja się gryzę i nie dosypiam, że żadnéj za mąż wypchać nie można, jakto ludzie czynią, a wam pustota! Do roboty! do szycia!

— Już tatuńciowi uszyję tuzin koszul; jutro sama, własnemi rękoma zrobię klusek na mleku, a niech tatuńcio przyczyni się do tego figla!

— Za mąż idź, za mąż!

— Właśnie też o to licho tu idzie, odparła z udanym płaczem Mańcia. Frania i Rózia o niczem innem przez cały Boży dzień nie mówią, jak tylko o tem, aby jaknajprędzéj pójść za mąż. Już mnie na śmierć tem gadaniem

znudziły, a dzisiaj od rana kładą kabałę. Jak tatunia kocham, ja dłużéj z niemi nie wytrzymam, nie można się ani zaśmiać, ani pożartować. Patrzą ciągle w okno i wzdychają, chociaż dobrze wiedzą, że tam aniżywéj duszy nie widać. A co ja powiem, to wszystko niedorzeczne, dziecinne, dlatego, że ja za mąż iść nie pragnę.

— Co! ty nie chcesz iść za mąż? krzyknął pan Izydor zrywając się z ławki.

— Albo mi tutaj źle, kochany tatuńciu?

— Będę was do śmierci ubierał?

— Czyż kiedy tatuńcio miał kłopot ze mną?.. Mam tego roku dwa zagony cebuli, ślicznéj jak pomidory, w jesieni będzie za to mantylka szafirowa, obszywana axamitką na przodzie i u dołu, bóciki z kozłowéj skórki do sznurowania, rękawiczki zapinane na trzy guziczki, a nawet może wystarczy na farbowanie kapelusza, kazałabym go ufarbować na bronzowo, do tego dwa duże pióra... jak się ukażę w Zaborzu na święta, to pani posesorowa pewnie upije się z zazdrości!

Pan Izydor uśmiechnął się, i pomyślał sobie: Gdyby to jaki gach słyszał to wrzeciono, jak ładnie i rozumnie się kręci, dalibóg, miałbym zaraz zięcia. Dziewczyna jak złoto, świecą szukać!

I spojrzał smutnie po wszystkich drogach, które jak paski bieliły się po górach, ale kandydata na zięcia nigdzie widać nie było. Wrona tylko zerwała się z pobliskiego jaworu, zatrzepotała czarnemi skrzydłami i krakała długo, okrążając pana Izydora. Spojrzał na Mancię, a widok jéj rozrzewnił go. Ozwał się po chwili:

— Ty nie chcesz iść za mąż, to jest, jakbyś serca nie miała! Dzisiaj dziewczęta w dwunastym roku już się kochają...

— Ach tatuńciu to wcale inna rzecz. Ależ bo Frania i Rózia nigdy o kochaniu nie mówią. Frania powiada: gdyby dziś jaki przyjechał, jutrobym poszła za niego. A Rózia znowu: gdyby garbaty i kulawy, zamknęłabym oczy i nie wahałabym się ani chwili. Niechże sam tatunio przyzna, nie jestże głupie takie gadanie?

— Głupie albo nie głupie, odpowiedział z powagą pan Izydor, dla ciebie Mańciu byłoby głupie, ale dla nich, jak mi Bóg miły, nie! ktobądź, garbus czy kulas, zyz czy kuternoga, marsz! Niema co czekać, dwadzieścia cztery... ho, ho... a zresztą prawdę powiedziawszy, dziewki do niczego! Spałoby to i ubierało się, a posługi ani za grosz!

— Otóż tatuńciu właśnie o to idzie, że one dzisiaj są nie ubrane. Ja już rano opowiadałam im mój sen, że dwóch kawalerów do nas przyjechało, że jeden prosił o Franię, drugi o Rózię, jeden był zyz drugi kulawy... ale one powiedziały mi, że dzisiaj jest dzień feralny, i że dzisiaj, gdyby nawet kto przyszedł, toby się nie ubrały. Otóż kochany tatuniu, pomóż mi do figla!

I jak zaczęła się łasić i przymilać, klękać i ojca w rękę całować, że w końcu jakoś się rozweselił pan Izydor, odkaszlnął kilka razy, a odgartując Mańci włosy z czoła: zapytał:

— I cóż chcesz wrzecionko, co?

— Oto, tatuńcio pójdzie tam za górkę i

ztamtąd przyszle Fedka z nowiną, że jacyś dwaj panowie do nas jadą.

— Wrzecionko! co tobie do głowy przychodzi! Czyż przystoi, abym ja ojciec, z wami grał w ciuciubabkę lub w cet i liszkę?

Ale Mańcia nie dała ojcu pokoju, nudziła i całowała, że pan Izydor rad nie rad podniósł się z ławki, a wytrząsając fajkę rzekł:

— No, cóż robić z wami! I tak muszę tam na górce obaczyć, czy pszenica dojrzała. Wojciech mówił, że już się sypie.

Mania ucałowała rękę ojca i pobiegła do pokoju, aby się nacieszyć kłopotem sióstr, gdy Fedko gości zapowie.

W dużym pokoju o białych wapiennych ścianach, na których kilka sztychów włoskich wisiało, siedziały przy małym stoliku siostry Mańci. Przed każdą z nich leżała poduszka do szycia, ale płótna nie było, a igły sterczały bez nitki wetkane do poduszki. Obie były w nocnych czepkach i perkalowych szlafroczkach, z bufiastemi rękawami, które wcale nie były powabne. Frania ciągnęła kabałę, a Ró-

zia czekała ze smutkiem na króla czerwiennego, który zawsze jak najdaléj odsuwał się od swojéj damy, a nawet tym razem zdawało się że gdzieś z talji umknął.

I w saméj rzeczy groziło Rózi wielkie niebezpieczeństwo. Trzy karty były tylko w ręku Frani, a króla jak nie ma, tak nie ma! Dziesiątka czerwienna... tuz żołędny...

— A gdzie król? zapytała, a serce jéj ścisnęło się.

— Gdzie? ozwała się Mańcia, poszedł po kawalera... Toś zapomniała, co nam nieboszczka babka mówiła o królu żołędnym, który zginął z talji, gdy dziadek w drodze zachorował, i niepowrócił aż wraz z dziadkiem na zrazy z kaszą? Biedny! zgotowano go z zrazami zamiast liścia bobkowego.

— Pamfil dzwonkowy! krzyknęła Frania, a Rózia zbladła i przeżegnała się.

— Gdzież się król podział? przebiegając karty oczyma.

Mańcia skoczyła na środek izby, a trzymając się pod boki, zanuciła:

Trzy córki miała matka, trzy panny,
A wszystkie ładne jakby łasiczki
I przyszedł do niéj rycerz w czas ranny
I rzekł jéj: Dwie córki będą księżniczki,
A trzecia — na moje królewskie słowo,
Będzie królową! la, la, la, królową!...

Jeszcze srebrny głosik Mańci tułał się po kątach izby nie mogąc nigdzie przepadnąć, gdy się drzwi z łoskotem otworzyły, a do izby wpadł zadyszany Fedko. Tak wybornie rolę odegrał, że sama Mańcia zrazu się zmieszała, i tylko przypomnienie umówionego figla wróciło jéj napowrót wesoły humor.

— Pan i dwa pany idą tutaj! krzyknął Fedko, a pot lał się mu z czoła przez nos na brodę.

— Więc trzech panów idzie? zapytała z udaną ciekawością Mańcia.

— Gdzie tam! Dwa pany i pan! bełkotał Fedko.

— Cóż pleciesz, szczebiotała Mańcia, wszak dwa pany i pan, to razem trzy pany!

Fedko wytrzeszczył oczy i sam nie wiedział co na to odpowiedzieć, bo tak naturalny wydawał się mu rachunek Mańci, a przecież przysiągłby, że tak nie jest.

Tymczasem zgarnęła Frania karty i obie z Rózią czemprędzéj do garderóbki uciekły.

— Kłosowska wody!

— Kłosowska ręcznika!

— Kłosowska, zapleć mi warkocz!

— Kłosowska, nową sukienkę i axamitek! wołały na wyścigi obie siostry.

Mańcia śmiała się do rozpuku, tańczyła po pokoju i nuciła:

...A trzecia, na moje królewskie słowo,
Będzie królową, la, la, la, królową!...

I wykręciwszy się kilka razy na środku pokoju, aż firanki od wiatru zafurkotały, pobiegła za siostrami do garderoby.

Widząc pośpiech i przestrach sióstr, ubierających się naprędce, muskających włosy i na Kłosowskę gderających, stanęła w pośrodku izdebki, a przybrawszy minę uroczystą, rzekła:

— Słuchajcie nadobne dziewice, opowiem wam, co się mi śniło. Odsłonię wam przyszłość waszą, a nie będziecie więcéj wzdychać, ani kłaść kabały, bo zapisano jest między gwiazdami...

— Czego się nie ubierasz Mańciu! zawołała Frania przylepiając gumą zakręcone filutki, jak dwa sidełka na ptaszki.

— Wyglądasz jak warjatka z rozpuszczonemi włosami! mówiła Rózia, sznurując do zwierciadła szerokie usta swoje w kształcie dużego C.

— Śniło mi się, mówiła daléj Mańcia, że na białym koniu jechał król żołędny, a za nim dziesiątka czerwienna w dużéj karecie z tuzem dzwonkowym na czole. Na koźle siedział niźnik winny, a w tyle trzymała się za srebrne kutasy siódemka żołędna. Dama czerwienna stała przy drodze jak słup milowy z wyciągniętą ręką, na któréj było napisane: „Droga do wiecznego panieństwa.“ A była to taka sama droga, jaka prowadzi do naszéj wsi, pełna grudy i kamienia. I tak jechał król żołędny i dziesiątka czerwienna i przyjechali do pałacu, na którym był tuz czerwienny a pod nim napis: „Świątynia dziewic.“ A pałac ten był podobny do naszego dworku, tylko zamiast ko-

BIBLIOTEKA OSSOLINEUM

gutka obracał się na dachu król czerwienny i nieznośnie piszczał i skrzypiał...

— Co ty pleciesz! istna warjatka! Kłosowska podaj rękawki.

— I gdy tak piszczał i skrzypiał, przyszedł niźnik czerwienny w dużym kapeluszu, z wyłożoną kryzą... w ręku miał ogromną strzelbę i strzelił do króla czerwiennego, który wraz z kulą gdzieś na cztery wiatry poleciał... a tatuńcio znalazł go potem w twojéj kieszonce u fartuszka...

— Już idą! zawołała Kłosowska.

Mańcia chciała parsknąć ze śmiechu i do figla się przyznać, gdy w sieni dały się słyszyć kroki idących. Wyjrzawszy przez szparę drzwi obaczyła w saméj rzeczy dwóch nieznajomych gości. Uśmiech pustoty zleciał z jéj twarzy, a po jéj wesołem serduszku przemknęło jakieś dziwne uczucie.

Nim jeszcze do siebie przyjść mogła, otworzyły się drzwi garderóbki i okazała się jaśniejsza z radości twarz pana Izydora.

— Goście, goście! zawołał i resztę dopo-

wiedział minką, która miała oznaczać najwyższe jego zadowolenie.

Frania i Rózia przybrawszy jak najprzyzwoitszą postawę, wyszły naprzód z wielką powagą dygnęły przed nieznajomymi. Za niemi jakoś lękliwie i z widocznem roztargnieniem stanęła Mańcia, spiekła raczka, i już chciała umknąć do garderóbki, gdy pan Izydor zawołał:

— Moje córki, moje córki..... wszystkie panny.

Obaj nieznajomi skłonili się, a panny obejrzały się za krzesłami. Mańcia przyszła trochę do siebie, ale jéj serce jakoś mocno biło. Zpoza Rózi spojrzała na nieznajomych.

Obaj byli młodzi. Jeden brunet, drugi blondyn, jeden bogatszy, drugi biedniejszy, jak to z całego ich ułożenia i zachowania się można było poznać. Brunet był nieco starszy, miał włos kędzierzawy i duże, czarne oczy. Mówił z wielką pewnością, gestykulował śmiało, i swobodne miał ruchy. Blondyn odzywał się z skromnością, był o kilka lat młodszy, miał jasne, niebieskie oczy, omglone lekką chmur-

ką marzenia. Jakkolwiek ubiór jego i ułożenie znamionowały ubóstwo, wyobraźnia jednak młoda i gorąca nie dozwalały mu dojrzyć tego jarzma, co go kiedyś przygnieść i jego ducha przy ziemi uwięzić miało. Młodzieniec nie uczuł jeszcze różnicy między sobą a swoim towarzyszem, ale wprawne oko pana Izydora dojrzało ją odrazu. I panny musiały ją dojrzyć, bo obie zwróciły się więcéj do starszego, a Mańcia patrząc na blondyna, miała na twarzy jakiś wyraz litości.

— Moje córki, powtórzył pan Izydor, a wszystkie trzy panny... bo musicie panowie wiedzieć, żem wdowiec.

— Smutno to być wdowcem, rzekł starszy, zwłaszcza przy gospodarstwie, ale natomiast jest przecie komu się zająć...

— Bez wątpienia, pochwycił pan Izydor, a wszystkie trzy zawołane gospodynie!... ale muszę panom powiedzieć, że według mego zdania, przeznaczeniem panien jest, aby za mąż szły. Więc choćby mi bardzo przykro było...

Mańcia zapłoniła się i schowała za Rózię,

Frania spuściła oczy i pomyślała sobie w duchu: Nie jestem ładną ale mam dobre serce, a Rózia zadumała się i słyszała, że jéj coś szepce do ucha: Nie masz dobréj figury, ale masz za to ładny rozumek. Smutna to jednak była pociecha dla obu panien, bo jakże to zaraz na wstępie okazać komu dobre serce, lub nie mając sposobności mówienia, popisać się z rozumem? A mężczyzna na pierwszy rzut oka zaraz sądzi i myśli sobie: brzydka!

Mańcia tylko nie miała sobie nic do zarzucenia prócz tego, że chcąc siostrom figla zrobić, wpadła sama w dołek, który pod siostrami wykopała. One się ubrały i uczesały, siedziały w całym blasku różowych swoich sukienek, z axamitkami na czołach, a ona musiała się prezentować w perkalowym szlafroczku, z rozpuszczonemi włosami i z wyłożonym od koszuli kołnierzem. Musiało jednak być jéj bardzo pięknie w takiem ubraniu, bo jasnooki blondynek często na nią spoglądał, a za każdem spojrzeniem napędzał jéj raczka. — I w saméj rzeczy śliczną była Mańcia. Jéj ocz-

275622

ka szybko biegające, płeć biała, nosek nieco do góry zadarty i gęste pukle na ramiona spadających włosów, tworzyły razem jakiś piękny, miniaturowy idealik, który tak łatwo i bez wielkiego hałasu do serca nam wpada, a wpadłszy tam, tak uporczywie się trzyma, że z boleścią przychodzi nam z nim się rozstać, gdy się koniecznie rozstać potrzeba.

— Takto, tak, prawił pan Izydor, i mnie w młodych latach coś w góry pędziło i ot osiadłem jak na lodzie. Trzy córki, a wszystkie panny...

— Oddawna marzyłem o pięknościach naszych Karpat, mówił starszy, a powróciwszy z zagranicy, pierwszą moją myślą było, marzeniom zadość uczynić.

— To pan wracasz z zagranicy? zapytał pan Izydor mając już większą estymę dla gościa, o którym zrazu nie wiele trzymał, widząc go idącego piechotą z tłómoczkiem. — O ci panowie wojażerowie to dziwne gusta miewają. Najbogatsi anglicy drapią się często po górach z tłómoczkiem na plecach... Moje wszystkie córki...

— Lubią zapewne swoje rodzinne góry, podchwycił brunet.

— Co też pan mówi! zawołały na raz obie starsze siostry, cóż tu jest do lubienia? Góry i góry i trochę lasu... sąsiedztwa niema, nigdzie nie można bywać...

Tu otworzyły się drzwi i ukazała się kędzierzawa głowa Fedka. Pan Izydor zrozumiał ten chodzący telegraf i wyszedł do sieni, po któréj rozlegała się woń świeżo palonéj kawy i słychać było cienki głosik panny Kłosowskiéj. Brunet przysunął się do starszych siostr i począł z niemi rozmawiać, a jasnooki blondynek spojrzał nieśmiało na Mańcię, chcąc jéj jakie słówko powiedzieć i coś z jéj różowych usteczek usłyszyć. Zrozumiała Mańcia zamiar młodszego gościa, a posunąwszy krzesło, zapytała go:

— Czy pan tu pierwszy raz?

— Tak jest pani.

— Jakże się panu podobają nasze góry?

— O przecudne. Wierzaj mi pani, że z boleścią rozstawać się będę z niemi, wracając w mury miasta.

— To szczęście dla pana, że pan wraca, rzekła śmiało patrząc mu w oczy, bo na dłuższy czas, toby się panu sprzykrzyło!

— Czy i pani się tutaj nudzi?

— Ja? uchowaj Boże. Mam ogródek, a wnim tyle pięknych rzeczy, że mi i czasu nie starczy, aby się wszystkiem do woli nacieszyć. Gdybym panu chciała okazać, musiałby pan kilka dni chodzić po zagonach i oglądać. A co za śliczne mam kwiatki? Bratki różnego koloru, a takie duże jak moja dłoń...

Tutaj mignęła gościowi przed oczy białą dłonią, która wcale nie szczególne mogła dać wyobrażenie o wielkości bratków; tak była drobniuchna.

— Albo narcyzy i pelargonje gdybyś pan obaczył! Światby można zejść cały, a nic podobnego nie znaleźć! Prócz tego każda z nas ma dwa zagony na sadzenie. To czyni nasz dochód. Ja tego roku mam prześliczną cebulę, czerwoną jak pomidory a tak dużą jak pięść moja.

Znowu okazała gościowi śliczną rączkę, nie

większą jak dobry włoski orzech. Biedna, złe porównanie wybrała do swojéj prześlicznéj cebuli, bo nietylko, że gość o jéj wielkości nie najlepsze powziął wyobrażenie, ale nawet i o niéj wcale nie myślał, wpatrując się w białą, alabastrową rączkę.

— A buraki mam jak głowy! Sama wszystko plenię, a prócz tego, że posiałam, ani trawki nie ma. Po kawie okażę panu.

— Z prawdziwą rozkoszą będę oglądał...

— To wszystko nic jeszcze. Ale gdybyś pan był tutaj w maju, jakie my tu przecudne mamy kanapki z darni, a jakie róże prześliczne!.. dzisiaj już okwitły, a żniwa nie pozwalają nam zajmować się wiele naszym ogródkiem.

— Szczęśliwaś pani! zawołał młodzieniec.

— O i bardzo!

— Czyż nie żal pani tych pięknych chwil życia, które jedna po drugiéj zostają za panią?

— O wcale nie. Wszak taką, jaką byłam wczoraj, jestem dzisiaj, będę jutro..... pojutrze.....

Tu nagle posmutniała a oparłszy twarz na ręku, zamyśliła się.

Wtem zwolna otworzyły się drzwi od sieni, a na progu okazała się blada, wysokiego wzrostu dziewczyna. Wszystkich oczy zwróciły się ku niéj. Starszy młodzieniec odsunął się od Frani i drgnął cały jakby iskrą elektryczną uderzony. Blondynek zapomniał o Mańci, która w zamyśleniu przecudnie wyglądała, i wlepił oczy w nieznajomą postać, a jakieś dziwne uczucie ogarnęło jego serce.

— Renata! Renata! krzyknęły trzy siostry.

— Ksiądz Daniel bardzo słaby! rzekła dziewczyna tak dziwnym głosem, jakby wychodził z słupa Memnona.

I postąpiła kilka kroków naprzód, a ujrzawszy nieznajomych gości, zapłonęła lekkim rumieńcem. Lecz wkrótce znikł rumieniec zjéj twarzy, a dawna bladość wróciła na nią.

W postawie jéj była jakaś duma; a wkoło pięknych, różowych ust malował się smutek głęboki. A smutek ten nie osiadał tu zwolna, z latami, nie był wcale śladem przebytéj ja-

kiejś boleści, bo Renata zaledwie szesnasty rok liczyć mogła, ale był on jednem z owych znamion, z którém się człowiek rodzi, a które już w łonie matki namaszcza go do palmy męczeńskiéj!...

Oczy miała czarne, duże, a było w nich coś demonicznego. Włosy czarne, w warkocz do góry splecione, dodawały jéj jeszcze więcéj uroku.

Wypowiedziawszy złowrogie słowa swego poselstwa, stanęła w pośrodku pokoju, a założywszy w krzyż ręce, w całéj swojéj postaci wyglądała jak posąg grecki. Po chwili, przyszedłszy do siebie, zawołały trzy siostry:

— Ksiądz Daniel słaby!

— Ksiądz Daniel słaby! krzyknął pan Izydor z sieni.

Renata stała nieruchoma jak posąg z marmuru.

— Jestem lekarzem, ozwał się starszy młodzieniec.

— Na miłość Boga, spieszmy się, wołał pan Izydor, każę zaprzęgać... Czyś Wpanna piechotą przyszła?

Renata ruszyła głową na znak przyznania, ale nic nie wyrzekła.

— Pan zostaniesz, ozwała się Mańcia do swego towarzysza.

— Muszę także jechać, odparł tenże.

II.

Dniem przedtem obaj podróżni siedzieli na szczycie połoniny i w zachwyceniu patrzali na dalekie pasmo gór Karpackich, które na krańcu widnokręgu szarzały jak łańcuch mogił stepowych. Starszy patrzał z wytężoną uwagą, zatrzymywał się przy każdym odcieniu nowéj barwy i zwolna wciągał do duszy obraz, zwijając go jakby płótno panoramy. Młodszy od razu wpadł w sam środek tego widoku, a nasyciwszy się nim, cofał się zwolna z wykradzionemi farbami i na jego tle malował sobie własne, fantastyczne obrazki.

— Widzisz Felicjanie, ozwał się starszy, ten wielki olbrzymi świat; człowiek, gdy się

nań patrzy, maleje sam przed sobą, a przecież tym światem rządzi i kieruje, jak dobry woźnica najdzikszemi rumakami. Wprawdzie czasem wywróci się jego rydwan, ale wodzów z ręki nigdy nie wypuści!

— Hugonie, odparł młodszy, przesadne wyobrażenie masz o człowieku. Zdaje ci się, że on wszystkiego jest twórcą, a tymczasem zapominasz, że nie zrobisz i kroku, byś nie ujrzał wyższéj, niewidoméj ręki.....

Hugon uśmiechnął się z lekką ironją i rzekł:

— Jesteś poetą, żyjesz sercem — a jam lekarz. Tobie potrzeba do życia tajemnic, a przedemną muszą być wszędzie drzwi na rozcież otwarte. Ty macasz okiem i sercem, a ja skalpelem.

Nastąpiło milczenie. Lekarz ćwiertował właśnie jakiś wdzięk natury, a poeta marzył.

Któż byli właściwie ci podróżni?

Jeden nazwał siebie lekarzem, drugiego poetą. Jedno i drugie nie ze wszystkiem było prawdziwe.

Hugon był synem zamożnych rodziców, no-

szących jedno z tych imion, których właściciele choćby na zagrodzie równają się wojewodzie. Lecz tego przysłowia nie potrzebował Hugon aby się poczuć do godności rodu swego; albowiem dwie podolskie wioski i coś tam jeszcze na Ukrainie prezentowały go jak najkorzystniéj w każdem towarzystwie. Rodzice odumarli go wcześnie, a jakiś najbliższy krewny opiekował się nim, oddawszy go do szkół Wileńskich. Młode serce potrzebuje wzniosłych, gorących uczuć, a nie mogąc żyć niemi w gronie rodziny, szukał je w kole młodzieży ówczesnéj, która tyle wydała wielkich mężów.

Wcześnie rozgorzał Hugon ową wyższą namiętnością, wobec któréj maleje wszelki ogrom ludzki. On nie chciał w oceanie czasu zaginąć marnie jak ziarnko prochu, jak giną miljony, on chciał wraz z innymi siąść na rydwan pędzącego czasu, chciał toczyć daléj koła jakiejś nowéj idei.

Wymarzył sobie ideał i w nim się rozkochał. Była to ludzkość, cała ludzkość. Dla tego ideału chciał się poświęcić. O jakże ła-

two przy nędzocie tego zbiorowego człowieka znaleść sposobność poświęcenia! Potrzeba tylko zajrzyć do szpitalów ciała i ducha, a znajdzie się tam wiele pracy dla dobrego robotnika. Hugon został lekarzem.

I tak gdy rówieśnicy jego stanu, używali dóbr tego świata, szlachetny młodzieniec wałęsał się po niemieckich uniwersytetach, zbierając skrzętnie ziarno umiejętności, które miało się stać jego powołaniem.

Na nieszczęście, po uniwersytetach niemieckich tułał się wówczas duch Mesmera, żądając uznania nauki zapomnianego apostoła. Potrzeba było pomścić krzywdę wyrządzoną wielkiemu mistrzowi, który ze wzgardą dla spółczesnych, wyśmiany i zapomniany, wstąpił do grobu.

Przy końcu zeszłego wieku powstał on z nową swoją nauką, że w organizmie ludzkim działa jakaś siła, jakaś materja subtelna, coś, co trzyma środek między ciałem a duszą. Siłę tę nazwał magnetyzmem zwierzęcym. Był to klucz do świata niewidomego. Widziano i na-

macano nici, wiążące człowieka do świata duchów, postrzeżono włókna uczuć najsubtelniejszéj natury. Osoby oddalone, a sympatyzujące z sobą, związane były pewnym prądem magnetycznym. Dosyć było chcieć i marzyć, a już wysnuwały się z serca pasma magnetyzmu, przywiązywały do nas przedmiot ukochany i czyniły go niewolnikiem naszéj woli. Za pomocą magnetyzmu szukano ostatecznych rezultatów wiedzy ludzkiéj; chwycono za to straszne narzędzie, a nie wiedziano, że ono jest tylko ułomkiem czegoś, co przed okiem człowieka ukryto, bo tak chciał Ten, który stworzył *widome i niewidome*... Lecz czasy wojenne zagłuszyły naukę nowego apostoła. Dopiero po śmierci Napoleona powstali jego uczniowie. I nas nie ominął prąd tych nowości. — W Warszawie począł wychodzić dziennik magnetyczny, a magnetyczna kuracja pani Morawskiéj narobiła rozgłosu w całéj Europie.

Rehabilitacja Mesmera szybko postępowała. W Niemczech zawiązały się towarzystwa magnetyzerów, badano, dociekano. Między

publicznością obiegały najdziwaczniejsze wieści, a tajemniczość experymentacji nęciła jeszcze więcéj. Ogromne, nieznane dotąd pole do badań i postrzeżeń otworzyło się przed oczami myślących, a wiele głów mozoliło się już nad ułożeniem pewnego systematu, któryby w sposób namacalny okazał nam pasma wiążące nas z światem duchów, i tychże istotę nam wytłumaczył.

Hugo stał się jednym z najgorliwszych zwolenników téj nowéj nauki, która w naszych czasach odżyła w wirujących stolikach.

Felicjan, jasny blondyn o białéj, ściągłéj twarzy, był synem ubogich rodziców. Właśnie co skończył szkoły we Lwowie, i nie wiedział jeszcze, jaki stan sobie wybierze. Cichy, marzący, z bojaźnią myślał o tem, że wkrótce przyjdzie mu wejść w szranki życia rzeczywistego i tamże walczyć o chleb, o poczciwe sumienie.

Hugo poznał w nim piękną, poetyczną duszę, i dlatego zwał go poetą. Nie pisał on poezji, ale czuł ją w głębi serca. Wrażliwy na

wszystko, co piękne i wzniosłe, najwyższą miał cnotę, jakiéj tylko zdolen jest człowiek, to jest pokorę ducha.

Były to wprawdzie dwa wielkie kontrasty, ale kontrasty te uzupełniały się jakoś i przyciągały wzajemnie. Szlachetne serca mimo różnicy kierunku sympatyzują zawsze z sobą.— Ludzie najróżnorodniejszych zasad i dążeń, szanują siebie i kochają wzajem, jeżeli podstawa ich charakterów jest szlachetna. Waleczny żołnierz ma zawsze cześć dla walecznego przeciwnika.

Otóż Hugo i Felicjan byli przyjaciołmi. Oba czuli wdzięk natury, obaj przedsięwzięli podróż w góry Karpackie. aby z bliska oglądać ich piękność, przysłuchać się owéj jednotonnéj pieśni borów, w któréj jednak tyle różnych można dosłyszyć akordów, ile uczuć da się pomieścić w jednostajnéj melodji górala. A była to podróż malownicza, fantastyczna, którą tylko za młodych dni odbyć można, gdy jeszcze serce się nie zamknie jak kwiat czułka tknięty ręką rzeczywistości.

— Patrz Felicjanie, te góry, lasy, doliny i zagrody jako sztafaże tego olbrzymiego pejzażu! Patrz i słuchaj! Co za harmonja barwy i głosów! Czy słyszysz ten szum świerków jakby solo jakiéj primadonny, a tam śpiew sosen jakby kuplety jakiegoś melodramatu, a ten chór wtórujących im niewidomych duchów, który nie o ucho ale o serce uderza, upaja je i nasyła mu sny magnetyczne!... Nie żyje tu natura? któż ją nazwał martwą?...

Felicjan słuchał téj dziwacznéj melodji, upajał się widokiem gór i dolin, ale nie badał, jak się to dzieje?

— Czy myślisz, ciągnął daléj Hugo, że ta cała natura jest pozytywką, nakręconą jakąś ręką niewidomą, a człowiek jest to zaproszony gość na jakiś koncert muzykalny, aby z założonemi rękami stał i słuchał?... Czy myślisz, że te góry, lasy i doliny są ładnym obrazem lub płaskorzeźbą zawieszoną w téj błękitnéj sali jakby na wystawie sztuk pięknych, a człowiek zapłaciwszy złotówkę, może na nią patrzyć przez lornetkę i zachwycać się mówiąc:

Jak pięknie! jak naturalnie!... O Felicjanie, to nie pozytywka przed tobą, ale wielki nastrojony instrument, to nie płótno malowane, ale paleta z farbami przed tobą, a ty sam jesteś artystą! Siądź i uderz w klawisze słów i tonów, z barw co je tu widzisz, utwórz ideał, co w twéj duszy drzémie, a natura cała zdumieje przed tobą! Jak Orfeusz przejdziesz pomiędzy gady i smoki, a kamienie odpowiedzą ci: Amen!

— Nazwałbym to pychą ducha ludzkiego. Jakiekolwiek przeznaczenie świata być może, to jednak pewna, że świat stoi małemi rzeczami. Wielkie i śmiałe zachcenia ludzkie upadają i giną jak trzcina wodna, a młode drzewko które co roku na cal od ziemi się podniesie, wyrośnie w dąb i burzom czoło postawi. Co byś, naprzykład myślał o tym człowieku, co tam w dolinie, za światem, obrał sobie to miejsce i tam cały swój żywot przeżyje?

Hugo spojrzał w dolinę. Właśnie w téj chwili wyszło słońce z poza chmury, a kilka złotych iskier błysnęło z krzyża małego ko-

ściołka. Była to mała wąska kotlina, z trzech stron zamknięta górami, z czwartéj zamykał ją las szpilkowy. Wokoło kościołka czerniło się kilkanaście strzech wieśniaczych. Mały zielony płatek pola otaczał je w koło, a nad niemi wisiała krawędź szafirowego nieba.

— Widzisz te kilka iskier światła? mówił daléj Felicjan, to krzyżyk kościołka. Przy kościołku musi być i kapłan, a siedziby jego nie odróżnisz od strzechy wieśniaka.... cóż skłoniło tego człowieka, że się zamknął w tę ubogą jaskinię, że widnokrąg swój zwęził do kilkuset łokci szafirowego nieba, a za bogactwa ziemi wybrał tych kilka zagonów roli nieurodzajnéj, którą potem skrapiać musi, aby go wyżywiła?... Gdyby ten człowiek wpysze ducha zapragnął większéj skali żywota, gdyby z wysoka chciał patrzyć na ludzkość, tak jak my z téj połoniny na ziemię patrzymy, cóżby się stało z ową gromadką chat kilkunastu, któżby ich mieszkańców uczył żyć i umierać?...

Po krótkiéj chwili ozwał się Hugo:

— Człowiek nie powinien nigdy sobie naprzód miejsca wybierać. On powinien wiele żądać i pragnąć, a pragnąć silną, niezachwianą wolą całéj duszy. To jest tajemnicą wielkich ludzi. Człowiek słabego serca, pokorny i bierny niczego w świecie nie dostąpi. Zegnie się jak trawa, a stopy idących za nim podepczą go. Silne pragnienia, silna wola i silne uczucie przemoże wszystko, a wiara góry przeniesie. Dopiero wtedy wolno się w pochodzie zatrzymać, gdy nogi nasze śród ścieszki do ziemi przyrosną. Któż wie co tego człowieka w tę kotlinę śród tych chat kilkunastu rzuciło, co mu do nóg przyrosło, że daléj iść nie mógł?...

— Może sobie sam wybrał to ustronie?...

— Nie wierzę. Gdyby ci dzieje swoje opowiedział, poznałbyś, że nie te góry, ale coś innego świat mu zamknęło. Żołnierz dopóty walczy, dopóki mu broni z ręki nie wytrącą.

Tu zaszumiał pod nim las świrkowy, wiatr okręcił się w koło połoniny i partym słupem wyleciał w chmury, poszarpawszy je w najdzi-

waczniejsze kształty. Felicjan spojrzał na igrzysko natury i uczuł jakiś dreszcz po całem ciele. Zdawało mu się, że wojsko duchów wionęło z ziemi do nieba.

Po długiéj chwili milczenia ozwał się do Hugona:

— Wyśmiejesz mnie, jakto zawsze czynisz, gdy się z czem zwierzam tobie, a przecież opowiem ci mój sen wczorajszy.

— Słucham.

— Śniło się mi, że byłem wielkim, białym obłokiem na niebie. Wisiałem na stropie niebios nadęty dumą i urągałem wiatru, który szalał podemną, uganiając za małemi chmurkami. I byłem wyższy nad wszystko co z ziemi wyszło; wschód i zachód ogarnąłem jednem oka spojrzeniem, a wyciągnąwszy ręce oparłem je na krańcach północy i południa. I widziałem jakby mrowiska na ziemi, a to były państwa i narody, a jak proch pełzający wydali mi się ludzie, a jak szmer trawy, były ich głosy... I wisiałem na niebie trzy wielkie doby; a smutno i zimno mi było. Przypomnia-

łem sobie przeszłość moję. Byłem małym strumykiem w gaiku brzozowym, a najpiękniejsze ptaszki przylatywały do mnie, przeglądały się w falach moich i piły z ust moich. I płynąłem daleko, krętemi ścieszkami, i wolny byłem i wesół jak ptak w powietrzu. Ale ptaszki i brzozy sprzykrzyły mi się, zapragnąłem czegoś więcéj. Dowiedziałem się o ludziach, którzy żyją gromadnie i mają zakon miłości. Chciałem pójść do nich. Ale zaledwie do pierwszéj chaty przyszedłem, wyszedł wieśniak, złapał mnie i zamknął do ciasnéj kaźni, podłożył pod nogi jakieś koło ogromne i kazał mi je dzień i noc obracać. „Ach ci ludzie nie mają zakonu miłości, pomyślałem sobie, kodex kryminalny rządzi nimi. Wzięli mnie za złoczyńcę!“ I westchnąłem za dawną swobodą moją, ale do gaiku już wrócić nie mogłem. — Wtem przygrzało mnie słońce, zapłonąłem ogniem żądzy, a zabrawszy wszystkie moje wody, wyleciałem pod niebo. I śmiałem się z wieśniaka któremu młyn nagle stanął, i śmiałem się z płaczu zagrody, która z głodu marła.....

Ale po trzech dobach smutno i zimno mi było na niebie. Chciałem wrócić na ziemię. I zdawało się mi, że ktoś mówił do mnie: Chciałeś pójść do ludzi, a nie chciałeś wraz z nimi pracować. Ich zakon jest zakon miłości, a podstawą tego zakonu jest praca. I nakłoniłem się do pracy i chciałem zejść na ziemię. Zebrałem znowu wszystkie wody moje i okazało się żem wiele po drogach moich utracił. Byłem tylko małą kroplą. Wiatr mnie zapędził gdzieś w góry, i padłem w rozpadlinę skały. Nikogo koło mnie nie było, ludzi nie widziałem. Tylko kilka pszczółek przylatywało co dnia do mnie i maczały we mnie łapki i obmywały je z kurzu. Lecz nie szemrałem już więcéj, a w ustroniu mojem myślałem sobie: Tak się wraca z nieba na ziemię!...

Hugo nic na to nie odpowiedział, zamyślił się głęboko. Po chwili rzekł:

— Więcéj jesteś fantastą we śnie, niżeli na jawie. Jestto ta sama, ukryta siła naszéj duszy, którą niemcy nazwali *der versteckte Poët*, a która w każdym jest człowieku. U jednego prze-

łamie się na jaw, i wtedy pisze nam poemata; a drugiego kołacze tylko we śnie, jak ziarno w orzechu... Sny takie nie są bez prawdy, wskazują jednak tylko ostateczne rezultaty życia ludzkiego, a nie okazują drogi, która tam prowadzi, bo ta zostawiona jest woli każdego. Może być, że jak ta kropla wody padniesz gdzieś w rozpadlinę skały, i służyć będziesz pszczółkom pracowitym do obmywania nóg ich za to, że sam pracą wzgardziłeś, ale nim do téj kropli zmalejesz, możesz przebyć wiele, wiele dróg!... Pokazano ci koniec życia, ale życie jeszcze całe przed tobą! Nie chwytaj odrazu za koniec!

Długi czas milczeli obaj. Jeden błądził po niebie i szukał duchów trzymających straż między niebem a ziemią, a drugi patrzał w wąską kotlinę gór, skąd błyszczał krzyżyk kościołka i gdzie się szarzało kilkanaście chat wieśniaczych.

Powoli wysunął się z téj kotliny jakiś punkt czarny i coraz wyżéj suwał się ku wierzchołku góry. Felicjan patrzył na niego z wielkiem

zajęciem. Czarny punkt powoli się zwiększał, zsunął się z góry w dolinę i zniknął na krawędzi lasu.

Dziwny niepokój ogarnął go. Patrzał gołem okiem, patrzał przez szkło, ale napróżno. Wtem nagle zaczerniło się coś na bliskiéj górze.

— Patrz Hugonie! zawołał, na téj tam górze.....

— Stoi kobieta, odpowiedział tenże.

— Śledziłem ją oddawna, widziałem ją jako punkt czarny...

— A już przyciągała cię do siebie. Podziwienia godna jest magnetyczna siła kobiety!

— Magnetyczna siła?...

— I jéj silna wola.

Rzekłszy to Hugo, wstał z kamienia i począł z góry schodzić, bo słońce już się miało ku zachodowi. Felicjan postępował za nim, patrząc ciągle na kobietę stojącą na przyległéj górze. Miała ona na sobie jakiś ubiór czarny fantastyczny. Zdawała się z kimciś rozmawiać, choć wkoło niéj nie było nikogo.

Wyszedłszy z lasu na dolinę, już jéj nie widzieli. Dopiero w dworku pana Izydora ujrzał ją znowu Felicjan. Była to Renata.

III.

Już dobry kawałek drogi byli wyjechali, gdy pan Izydor, który dotąd uporczywie milczał, podniósłszy się na bryczce, zawołał.

— Ot już Skaliska widać!

Felicjan poszedł okiem za ręką pana Izydora i ujrzał tę samą kotlinę, na którą wczoraj z połoniny patrzali. Serce jego uderzyło żywiéj — dlaczego? nie wiedział. Teraz dopiero odważył się zapytać pana Izydora o bladą dziewczynę, która tę smutną wieść im przyniosła. Dziwiło go, że z nimi nie pojechała.

— To dziewczyna dzika i płochliwa jak sarna. Ona prędzéj będzie w Skaliskach od nas. Zna wszystkie ścieszki, a nawet mówią o niéj...

Tutaj machnął pan Izydor ręką, jakby jakąś niemiłą myśl od siebie chciał odegnać.

— Cóż mówią o niéj? zapytał skwapliwie Hugo.

— Prawdę powiedziawszy, nie lubię o niéj mówić, odpowiedział pan Izydor, i czoło namarszczył. Będę miał zapewnie coś niedobrego. Zawsze jakiś kazus fatalis, gdy w mój dom przyjdzie. Szczęście że się to często nie trafia. Tamtego roku była u nas, tego dnia wybił mi grad wszystko co do nogi!

— Są tacy ludzie rzekł Hugo!

— Czy pan znasz takich ludzi, ciekawie zapytał pan Izydor.

— O wszędzie ich pełno, — odpowiedział Mesmerysta. W każdéj wsi, w każdéj zagrodzie można ich znaleść. Mają najczęściéj *złe oczy*, zamawiają *uroki*, mają *niedobrą rękę*, a lud ich zna i palcem na nich pokazuje. Tymczasem ma się rzecz inaczéj. Widziałeś pan idącego człowieka, za którym ciągnie się uczepiona pajęczyna?... Otóż są ludzie do których czepia się pewien prąd magnetyczny, nie-

widzialny dla naszego oka, prąd, przysługujący duchom nieczystym, szkodzącym. Ten prąd udziela się i nam, gdy się z tymi ludźmi stykamy, i czepia się nas jak nić pajęczyny...

Pan Izydor zasunął czapkę z lewego ucha na prawe, aby lepiéj słyszéć, co Hugo mówił, ale choć wszystko doskonale słyszał, nie mógł jednak wszystkiego zrozumieć.

— Mój Boże! co to za czasy! Jak mądrze umieją dzisiaj młokosy rozprawiać, aż trudno staremu co rozumieć! Myśmy dawniéj każde nieszczęście brali za zrządzenie boskie, a dzisiaj są w tem jakieś magnesy!...

Tak myślał sobie pan Izydor w duchu, mimo to podobała się mu taka *rei expositio*.

— Może w tem być coś, rzekł po chwili, że za takimi ludźmi ciągnie się coś nieczystego jak ogon za kometą. Ale jabym sądził, że to własna ich nieczysta dusza tak od nich śmierdzi i wszystko na około zatruwa.

To proste spostrzeżenie pana Izydora, podobało się obom młodzieńcom, co widząc pan Izydor, czuł w sobie ferwor do dalszéj dysputy.

— Mam ztąd niedaleko sąsiada, pana Dominika Kuleszę. Nie stoję ja z nim w żadnych relacjach, bo nie mieszka na wsi i jest pan bogaty, chociaż bogactwo jego bardzo wątpliwéj natury. Przecież jednak człowiek się kiedyś z nim zejdzie, a mówiąc prawdę, zawsze coś od niego cuchnie. Raz grałem w karty u Imć pana starościca, i cóż panowie na to powiecie, gdy przyszedł i stanął przy mnie, wszystkie kozery przeszły do mego adwersarza, a pamfil świętny ani na oko się nie okazał!..... Kupiłem konia od niego — zdechł; krowa — zdechła; pszenicę — zjadły wołki!

Wtem stanęła bryczka przed chatą. Felicjan jednem spojrzeniem ogarnął całą biedną zagrodę. Kilkanaście chałup stało na brzegu małego potoku, a opodal czerniał się mchem porosły kościołek. Plebanja, przed którą stanęli, niczem nie różniła się od chatek wieśniaczych, a nawet zdawała się być od nich najstarszą. Możnaby ztąd wnosić, że jakaś świątobliwa ręka postawiła najprzód w téj ustroni ten dom Boży, i mieszkanie dla jego sługi, a do-

piero później na głos dzwonu zgromadziło się tych chatek kilkanaście po pokarm duchowy.

Weszli do chatki. Ubóstwo a nawet nędza wyszczerzały się ze wszystkich kątów. Powała niska, belki wygięły się od starości, ściany się pokrzywiły. Okna zniżyły się aż do ziemi, podłoga miejscami wygniła. Między oknami stał stół lipowy, kilka stołków i stara szafa, malowana niegdyś na czarno. Koło niéj wisiał zegar na ścianie, któremu na starość powiększono wagi przydaniem kilku sztuk żelaza. Właśnie chciał zagrać dla przychodzących jakiegoś kuranta, reminiscencję z młodych lat swoich, ale tylko zawarczał, zapukał i zachrypniętem gardłem przeprosił gości, że się mu nie udało. Po chwili chciał choć wybić godzinę, ale niestało mu już dzwonka. Wypukał tylko głucho, jakby pukał w wieko trumny...

Wiekowa kobieta siedziała przy stole i czytała z książki. Była to rodzona siostra plebana, panna Teresa. Mimo lat sześćdziesięciu lubiła przedewszystkiem panieński swój tytuł.

Obaczywszy przybyłych, założyła okulary niżéj oczu i powstała na ich przywitanie.

— Panna Teresa złą nam wieść przysłała, zagadnął pan Izydor, ale dzięki Bogu mamy pod ręką lekarza, i to lekarza, jakiegoś panna jeszcze w życiu nie widziała!

Panna Teresa nie lubiła pana Izydora, a najbardziéj tego nie mogła mu darować, że postradawszy przed piętnastu laty swoję małżonkę, nie chciał się po raz drugi ożenić. Do téj jednak nieprzyjaźni nie miała powodów osobistych, a nienawiść jéj dla nieżonatych była ogólną.

— Jużto prawdę powiedziawszy, odpowiedziała z indygnacją, ja do państwa nikogo nie posłałam. Renata sama tam pobiegła. Biedne dziewczę oszaleje z rozpaczy. Ksiądz brat był dla niéj jak ojciec.

Rzekłszy to, otworzyła zwolna drzwi do alkierza i na palcach tam weszła, a zwracając się do Hugona jako do starszego z nich, mówiła cichym głosem:

— Śpi teraz i coś przez sen mówi. Tak samo było przez całą noc. Opowiadał rzeczy, aż włosy na głowie stawały. Zdaje się mi, że od

rozumu odchodzi! Możecie się państwo sami przekonać.

Wszyscy weszli do alkierza. Na łóżku leżał staruszek, jak gołąb' biały. Przed łóżkiem koło ściany stał mały stolik, na nim brewiarz i żywoty świętych. Obok niego leżała biblja, otworzona na rozdział ksiąg Joba. Twarz staruszka była biała jak papier, liczne zmarszczki poorały ją, a jednak piękna była i ożywiona pełnią życia. Mógł liczyć górą lat ośmdziesiąt.

Uśmiech bolesny igrał koło ust jego, oczy miał napół zmróżone.

Hugo przystąpił i wziął go za rękę. Staruszek drgnął, ale oczu nie zwrócił na niego. — Usta jego ruszały się, jakby coś mówił, ale głosu nie wydał.

Niejaki czas trwało milczenie. Słowa staruszka stawały się coraz wyraźniejsze. Począł mówić:

— Zwiądłem jak siano, i wyschło serce moje, iżem zapomniał pożywać chleba mego... Stałem się podobny pelikanowi na puszczy, i

stałem się jako kruk nocny w pustkach... Nie spałem i stałem się jak wróbel sam jeden na dachu... (Psalm C. I. 5. 7. 8).

.....Cóż jest, com więcéj czynić miał w winnicy mojéj, a nie uczyniłem jéj? czyli iżem czekał aby zrodziła jagody winne, a zrodziła agrest?... A teraz ukażę wam, co ja uczynię winnicy mojéj: rozbiorę płot jéj, będzie na rozchwycenie: rozerwę parkan jéj i będzie na podeptanie..... I zostawię ją pustą, nie będą jéj obrzezywać, ani kopać i porośnie tarniem i cierniem..... (Izajasz R. V. 4. 5. 6.)

.....Wniwecz jestem obrócony: odjąłeś jako wiatr pożądanie moje: i jako obłok przeminęło zdrowie moje... A teraz we mnie samym więdnie dusza moja i opanowały mnie dni utrapienia..... (Job XXX. 15. 16.)

Dwie łzy stoczyły się mu po licach. Dziwne uczucia opanowały serca przytomnych. Staruszek w urywanych słowach pisma świętego, zdawał rachunek z swego życia i smucił się że w winnicy pana nie zostawia po sobie robotnika...

Po niejakim czasie począł znowu mówić:

— Kwiat polny znalazłem na skale, a wziąwszy go przesadziłem w ziemie ogrodu... Na moje prośby zesłał Bóg słońce na niego, zesłał i rosę niebieską, a ja modliłem się i dziękowałem Mu za dobrodziejstwa jego... Znalazłem orlicę leżącą bez gniazda na ziemi, wziąłem ją do siebie i skryłem przed sępem, a gdy dorosła, uczyłem ją latać po niebie jak lata sarna po lesie, i szukać Boga, jak sarna szuka zdroju wód czystych... I któż mi weźmie mój kwiat polny?... Któż spłoszy orlicę z jéj szlaków podniebnych?...

Hugo spojrzał na Felicjana, a gdy staruszek mówić przestał, rzekł do niego półgłosem:

— Wszędzie jedne i te same objawy. Starzec poetyzuje. W każdym człowieku mieszka drugi, poetyczny człowiek, który tylko w pewnéj chwili odezwać się może. Ztąd słusznie powiedziano: homo duplex. Otóż tego drugiego człowieka znaszliśmy dzisiaj za pomocą magnetyzmu.

A zwracając się do stojących, ozwał się do nich:

— Chory jest we śnie magnetycznym. Chce on coś powiedzieć i sili się, jak to po ustach jego widać, ale snać ktoś z przytomnych stoi mu na przeszkodzie. Ludzie będący we śnie magnetycznym podlegają różnym wpływom.

Pan Izydor, Felicjan i panna Teresa wyszli do pierwszéj izby, a Hugo został z chorym.— Długo musieli na niego czekać. Mimo ciekawości o czem ten chory mówić będzie, poczęli sobie różne opowiadać rzeczy, mianowicie panna Teresa dowodziła całą swoją elokwencją, że dawniéj taki lepiéj było na świecie.— Pan Izydor był także tego samego zdania, a że Felicjan do rozmowy się nie mieszał, więc temat panny Teresy wnet się wyczerpał, bo pan Izydor na wszystko ryczałtem z góry się zgodził. Nie było więc o czem mówić, a goście coraz więcéj poczęli spoglądać na drzwi do alkierza.

I w sam czas wyszedł Hugo, bo pan Izydor byłby wielką niedyskrecję w obec panny Teresy popełnił; tak jakieś ciężkie były jego powieki, jakby do nich ołowiu był przywiązał.

— Nie można się nic pewnego dowiedzieć, mówił z wielką uroczystością magnetyzer. Myśli i obrazy marzą się mu, język nie zawsze jest woli jego posłuszny. To jednak pewna, że słabość jego nie jest słabością ciała, ale nerwów. Ciało jest zdrowe, jutro może chodzić. Ale dusza choruje... a chorobą tą jest jakaś tajemnica...

— Broń Boże, zawołała panna Teresa, mój brat żadnéj tajemnicy nie ma przedemną. — Czterdzieści lat mieszkam przy nim. Ot gada, bo mi się wszystko zdaje, że od rozumu odchodzi. Nasz nieboszczyk ojciec także na to umarł.

Panna Teresa otarła kilka łez, ale biedna, nie myślała w téj chwili o tem, żeby straciła ubogi swój przytułek, a na szerokim świecie nie byłoby już dla niéj kącika. Ona poświęciła tych kilka łez miłości siostrzanéj.

— Co by to Skalscy parafianie robili! Oniby go nie dali do grobu włożyć! Nie wiele jest ich wprawdzie, ale przywiązani są do nas, jakbyśmy byli z jednéj rodziny. Poczciwe ludziska!

Felicjan słuchał, a oko jego zapalało się co raz więcéj. Przed jego duszą rozwijał się prześliczny, miniaturowy obrazek. On widział szczupłą gromadkę, a między nią stał siwy kapłan z miłością w sercu a Bożem słowem w ustach, błogosławiący ich pracy, podnoszący upadłych na duchu...

— Jakąkolwiek tajemnicę posiada ksiądz Daniel, mówił daléj Hugo, to jednak pewna, że się czegoś obawia, że widzi jakiegoś złego człowieka, który go trwoży... jego cała choroba jest: przeczucie czegoś złego.

— Ach przeczucie! to prawda, zawołał pan Izydor, ja zawsze przeczuwam, gdy mi się co ma zdarzyć.

— Jestto rzecz bardzo prosta, rzekł Hugo, nic łatwiejszego, jak sobie istotę przeczucia wytłumaczyć.

— Jakto? zawołała z wyrazem ciekawości panna Teresa.

Magnetyzer przybrał ton uroczysty, a pan Izydor przesiadł się na lewą stronę, bo na prawe ucho lepiéj słyszał.

— Słaby potrzebuje spoczynku, zaczął Hugo, możemy kilka chwil przegadać. O przeczuciu mówiłem. Łatwo daje się ono według naszéj woli wytłumaczyć. Jeżeli kto nad czemś przemyśliwa, coś knuje, jakiś plan względem nas sobie układa, lub o nas marzy, działanie jego umysłu udziela się nam przez pewien stosunek napół duchowy, czyli jak my nazywamy, prąd magnetyczny, chociażby był jak najdaléj od nas oddalony. Dzieje się to jednak tak niewyraźnie, że przy zwykłym stanie naszego ciała, czujemy tylko jakiś niepokój, jakąś obawę lub radość, dopiero w stanie jasnowidzenia możemy przejrzéć i obaczyć co nam właściwie zagraża. Znałem osoby, które przez kilka dni nie mogły pozbyć się jakiegoś trwożącego uczucia, dopiero popadłszy w stan jasnowidzenia, ujrzały zwłoki lub pogrzeb ukochanéj istoty, która przy śmierci niemi była zajęta. I tak też było w istocie, chociaż się to stało w oddaleniu.

Panna Teresa przeżegnała się wielkim krzyżem i rzekła:

To wszystko sprawa złego ducha!

— Nie pani, odpowiedział magnetyzer, to jest skutek naszéj woli, naszych uczuć, naszych pragnień.

— Ach! ja tyle razy pragnęłam na loterji wygrać! wtrąciła panna Teresa, prawda, żem kilka razy trafiła *ambo*, ale numera układałam według sennika np. balja znaczy 5, król 11, a kura 37 i t. d.

Rzekłszy to wyszła do alkierza, aby obaczyć czy chory się nie przebudził, Wróciwszy rzekła:

— Śpi i dotego śpi spokojnie.

— Bo ja mu spokój nakazałem, odparł na to magnetyzer.

Pan Izydor i panna Teresa spojrzeli na siebie, lecz nie mieli odwagi coś na to odpowiedzieć. Felicjan patrzył we drzwi, czyli nieobaczy bladéj dziewczyny, dla któréj dziwną czuł sympatję. Ale Renaty snać w domu jeszcze nie było.

— I cóż panna Teresa na to powie, ozwał się pan Izydor, że mnie samemu coś podobnego się zdarzyło.

Panna Teresa żałowała bardzo, że nie ma Renaty, która takie rzeczy rada słucha, a nawet sama dziwne miewa przywidzenia. A gdy się wszyscy uciszyli, pan Izydor zaczął w ten sposób:

— Było to przed trzydziestu laty. Miałem podówczas zaledwie lat dwadzieścia. Było się więc i młodym i nieszpetnym, bo musi panna Teresa wiedzieć, że te siwe wąsy były wtedy czarne jak skrzydła u kruka, a na téj łysinie rosło tyle włosów, żeby się pomiędzy niemi i skóry nie był dopatrzył.

— A tak, westchnęła panna Teresa, byliśmy młodzi!

— Otóż przy takich wąsach i takiéj czuprynie nie trudno było człowiekowi rozkochać dziewczę, a jeśli coś w drogę wlazło, to i do korda był człowiek skory, a co się nieudało uprosić na klęczkach, to się udało wyrąbać i kwita. Dzisiaj, pożal się Boże, niespora młodzież ni do tańca ni do różańca!... Właśnie przybyłem był wtedy z Podola, gdzie mój rodzic trzymał w zastawie dwa folwarki, a że

zastaw ten expirował, a nas było ośmioro, więc *tandem* trzeba było pomyśléć o jakiéj bogatéj panience i los swój skonsolidować. Zdarzyło się, że przyjechawszy tu w góry do JM. pana Zakrzewskiego, który był moim stryjem; zastałem tam panią Mirzecką z córką, któréj było na imie Katarzyna. Panna Katarzyna była ładną całą gębą, niewielkiego wzrostu i oczu czarnych jak dwie tareczki. Zrazu jednak nie wpadła mi bardzo w oko, bo miałem głowę tem nabitą, że się bardzo bogato ożenić muszę, jak to mi nieboszczka matka często powtarzała, podgartując czarną moję czuprynę. Była nawet za tem, żebym się był przebrał z francuzka, ale ojciec kazał mi zostać przy dawnym zwyczaju. Otóż jeżdżąc po różnych kuligach i bywając w domach, z któremi albo byłem skoligacony, albo postarałem się o relacje, o które niezbyt trudno mi było, zerkałem po panienkach i pilnie dowiadywałem się o posagu. A była to wonczas rzecz bardzo śliska, bo nie było takich jak dziś dokumentów, i tylko na uczciwość ludzi potrzeba się

było spuścić. Pojechałem więc do stryja, aby od niego zasięgnąć informacji co do posagu niejakiéj panny Brzesławskiéj, któréj rodzice w górach mieszkali, a do któréj powziąłem był afekt na imieninach u jéj ciotki pani Jeleckiéj z Dombosina. Ale jakto mówią człowiek prządzi a Bóg rządzi, otóż i ja wpadłem w łapkę...

— Jakiżeś pan nie stały! zawołała panna Teresa.

— Ba, cóż ja winien, że się panna we mnie zakochała? Nolens, volens musiałem uledz.

— Masz pan słuszność, ozwał się Hugo, silniejsze uczucie zawsze zwycięża. Panna Katarzyna musiała gorącéj pana kochać niżeli panna Brzesławska, inaczéj nie odniosłaby zwycięztwa.

— Hola, mój panie hola! zawołał pan Izydor, bo wszystko popsujemy. Prócz Kasi zawróciła mi jeszcze głowę niejaka panna Amalja, która, jak się okazało, wcale mnie nie kochała!...

— Tom nie wiedziała że pan Izydor był

za młodu taki pędziwiatr, wpadła panna Teresa z złośliwym uśmiechem.

Ta uwaga ze strony panny Teresy wyrwała magnetyzera z kłopotu, w jaki go wprowadziło opowiadanie pana Izydora, który zapomniawszy co przed chwilą był powiedział, tak daléj mówił:

— Choć byłem pędziwiatrem, jak mówi Wpanna, jednak Kasia przytrzymała mnie przecież za poły. Bo tańcząc jednego wieczora z nią mazura, i wywijając nią jak piórkiem wkoło siebie, widziałem, że tak dziwnie na mnie patrzała, tak się jakoś duszno i gorąco jéj robiło, tak bladła i czerwieniała, że mimowolnie przyszło mi do głowy: kto wie, djabeł nie śpi, czy téż dziewczę do mnie nie lépnie? Jakoż okazało się że w saméj rzeczy tak było. Swierska, jéj panna służąca, dała mi o tem jak najdokładniejszą relację. Otóż we dwa dni potem, widząc ją w szafirowéj sukience, która jéj bardzo była do twarzy, pomyślałem sobie w duchu: Ożenię się z nią. A naradziwszy się z stryjem, któremu rodzice moi dali plenipo-

tencję pobłogosławienia mnie, jeżeliby tego była potrzeba, udałem się do oficyn, gdzie pani Mirzecka mieszkała, a ucałowawszy jéj rękę, wynurzyłem jéj wszystko, co sobie w duchu pomyślałem, i jaka między mną a jéj córką od czasu tego mazura zaszła relacja serdeczna. Pani Mirzecka obiecała córkę wyspowiadać mówiąc: bo to nie na rok, ani na dwa. Jakoż dobrze musiała wypaść ta spowiedź, bo Kasia wyszła od matki czerwona jak piwonja i wten moment przysłała do mnie Swierską, która niby od siebie oznajmiła mi o wszystkiem jak poszło. Za dwa dni wymieniliśmy pierścionki, a ja mało mnie oszalał z radości...

Tutaj odpoczął trochę pan Izydor i cień smutku przebiegł po jego twarzy. Po chwili milczenia, zamiast kontynuować daléj swoje opowiadanie, zwrócił się do Hugona i rzekł:

— Mój panie, jesteś uczonym, powiedz mi, czyby się nieobeszło bez nas na świecie?..... Czy warto uganiać za szczęściem, aby je zaraz utracić?... Kasia oddawna już w grobie...

— A juścić lepiéj być choć raz w życiu szczęśliwym, rzekła panna Teresa, niźli nie znać co szczęście.

— Otóż to właśnie jest dowodem, rzekł Hugo, że życie nasze nie kończy się tutaj na ziemi, że świat duchów, do którego i my jedną częścią należymy i w nim żyjemy, chociaż o tem sami nie wiemy...

— Ale pozwólże pan niech skończę, przerwał mówiącemu pan Izydor, bo zawsze i z Kasią jeszcze nie koniec. Jeszcze nam coś stanęło w drodze do ołtarza.

— Wszakże się pan ożenił, wpadła panna Teresa.

— No, ale com przebył! — odpowiedział pan Izydor, nie kontent, że opowiadanie jego takim zwrotem straciło na ciekawości.

Po chwili jednak zaczął:

— Zamieniwszy tedy pierścionki, potrzeba było myśléć o gnieździe. Pani Mirzecka miała wprawdzie półwioski, którą dzisiaj dziedziczę całkowicie, nie wypadało mi jednak wleść do majątku żony jako golec. Więc mając nieco

własnego grosza i dopożyczywszy resztę od stryja JMpana Zakrzewskiego udałem się do Lwowa, aby sobie jaką dzierżawę wyszukać. I tak bawiąc tamże kilka tygodni, poznałem się był z młodzieżą, i już sam nie wiem jak się to stało, ale koniec końców o dzierżawie coraz więcéj zapominałem. Dowiedziawszy się bowiem, żem z panną Mirzecką już po deklaracji, nuż się śmiać ze mnie: Czyś oszalał, czy co? Taki chłopiec jak ty mógłby się bogato ożenić, mógłby klucz wziąć w posagu, a ty bierzesz kilka połonin, gdzie rośnie tarń i jałowiec!... I tem podobnie dogadywano mi zewsząd, tak że coraz więcéj począłem się nad tem zastanawiać, czyby nie lepiéj było oddać pierścionki i lepszéj fortuny gdzieś poszukać. I stało się raz, gdy będąc na wieczorze u pani K. która wtedy we Lwowie prym trzymała, a któréj znany byłem jako doskonały tancerz, przyszedł do mnie hrabia X. człowiek już nie młody, a klepiąc mnie po ramieniu, rzekł do mnie:

— Dziarsko tańczysz mości Izydorze, ale

czasby pomyślić o żonce. Szkoda wieku marnować.

— Toć prawda, odpowiedziałem, ale nervus rerum nie dopisuje.

— Wstydź się to powiedzieć, zawołał — przyjdź jutro do mnie, i obaczysz panienkę a z nią trzydzieści tysięcy... Ładne rzeczy, pomyślałem sobie, nie trzeba tracić czasu. Jakoż zaraz nazajutrz przyszedłem do hrabiego. Mieszkał wytwornie jak książe. Firanki u okna były z czerwonego adamaszku, takiegoż koloru meble, prócz tego złocone i rznięte w różne esy i floresy. Na ścianie wisiały dwa wielkie obrazy, z których jeden przedstawiał mężczyznę w siwéj peruce z orderami na piersiach, a drugi kobietę przecudnéj urody. Naprzeciw tych obrazów było duże, szlifowane zwierciadło a pod nim mały obrazeczek z wyobrażeniem młodéj panienki. Na pułapie była malowana Opatrzność Boska, a wkoło niéj białe obłoki...

— Ach! krzyknęła panna Teresa, tak samo opowiada nam zawsze Renata. Wszystko ku-

bek w kubek. Bo muszą państwo wiedzieć, Renata często miewa jakieś sny i przywidzenia. Mój brat tem się martwi, bo ją kocha jakby moją siostrę.

— A nawet przypominam sobie, rzekł na to pan Izydor, że obraz téj dziewczyny był trochę podobny do Renaty.

Hugo zwrócił się szybko do panny Teresy i zapytał:

— Czy Renata nie należy do rodziny?

— Nie, to sierota ze wsi, odpowiedziała panna Teresa, przybyła do nas dzieckiem, mającem może pół roku.

— I odtąd nigdzie indziéj nie była?

— Ani na krok. Ciągle przy nas.

Magnetyzer zamyślił się na chwilę, Felicjan z wyrazem najwyższéj ciekawości wlepił oczy w opowiadającego.

— Wtymże tedy salonie obaczyłem bardzo ładną kobietę czyli pannę, bo tego do dziś dnia nie wiem. Przyjechała z za kordonu, gdzie hrabia także miał dobra i bawiła u jego matki, która była z domu wojewodzianką. Panna ta

nazywała się Amalja i miała być córką jakiegoś majora. Na pierwszy rzut oka bardzo mi się podobała, i widać było, że i moja figura ją zajęła. Przez kilka dni chodziłem co wieczora, a panna Amalja tak ogniście na mnie patrzała, że omal mi się serce nie roztopiło. Widząc tedy tak szczery jéj afekt ku mnie postanowiłem się jéj oświadczyć, bo przyznam się państwu, że mi mocno głowę była zawróciła. Więc jednego wieczora przychodzę tamże i zastaję ją samą. Gdy mnie ujrzała zaczęła się niepokoić. Dobry znak, pomyślałem sobie, aż drży cała, a na trzy kroki słyszałem jak jéj serce biło. Przystąpiłem do niéj i już zacząłem jéj coś mówić, gdy nagle powstała i z wielkim niepokojem poczęła się po salonie przechadzać. Prosiłem ją aby usiadła, że jéj mam coś ważnego powiedzieć, ale ona nie chciała ani słuchać, i jak najdaléj odemnie uciekała.

— Cóż pani jest? zapytałem.

— Nie wiem, odpowiedziała, ale coś mnie dzisiaj bardzo niepokoi. Daruj pan, że jestem tak roztargnioną.

— Ja właśnie chciałem... mówiłem daléj.

— Panie Izydorze, zawołała stając przedemną i składając ręce jakby do prośby, bądź pan przekonany o moim afekcie... ale dzisiaj mam jakieś złe przeczucie... może to dzień feralny... odłóżmy naszą rozmowę do jutra.

Zdumiałem na to i już chciałem coś odpowiedzieć, gdy z pobocznego salonu wyszła matka hrabiego i de politicis ze mną rozmawiać poczęła. Tego dnia już nie miałem więcéj sposobności mówienia z panną Amalją sam na sam. A gdy nazajutrz pod wieczór znowu do panny Amalji się wybierałem, wpadł do mego pokoju zadyszany Józef Zakrzewski, najstarszy syn JMpana Zakrzewskiego, z tą nowiną że panna Mirzecka wczoraj zasłabła i ze mną koniecznie widzieć się pragnie. Doręczył mi także list od niéj. Był cały powalany; snać pisząc go płakała. Było w nim pełno żalu i rozpaczy, bo się dowiedziała, że ja we Lwowie o kogoś konkuruję. I cóż państwo na to, jeźli wam powiem, że data tego listu a nawet godzina była ta sama, w któréj ja chciałem się

pannie Amalji oświadczyć?... Zreflektowałem się, a łzy stanęły mi w oczach. Poznałem błąd mój, a odpędziwszy djabła od siebie, który mnie kusił, uczyniłem ślub na zmazanie mojéj winy pościć wszystkie środy póki życia i nazajutrz zaraz porzuciłem to tałałajstwo miejskie, które mi i kabzę wypróżniło i nabawiło mnie wstydem przed samym sobą.

— Widzisz pan, zawołał Hugon a jego oczy błyszczały z radości, każda chwila życia gdy się nad nią zastanowimy, przekona nas, że silna wola, silne uczucie wpływają na nieobecne nawet obce osoby i zmuszają je do czynów wprost ich własnéj woli przeciwnych.

Felicjan chciał właśnie coś na to odpowiedzieć, gdy mu pan Izydor przerwał:

— Oho! kulą w płot panie doktorze!

— Amalja czuła łzy narzeczonéj pana, które w téj chwili na papier kapały, zawołał Hugo z zapałem, te łzy piekły ją i nie dały jéj pokoju... ona miała przeczucie niebezpieczeństwa, które jéj groziło...

— Gdzietam panie! Oto moja narzeczona

w dzień mego odjazdu dała mi szkaplerz poświęcany w Milatynie. Przyjechawszy do miasta, zarzuciłem gdzieś ten szkaplerz, bo jużciż chciał mnie Bóg wieść na pokuszenie. Ale w ten dzień właśnie znalazłem go w szkatułce i wziąłem na siebie. Otóż to mnie ocaliło. Nieczysta dusza nie mogła znieść świętości blisko siebie. A była to wielka łaska Boga, bo potem dowiedziałem się, że ta panna Amalja miała w mieście złą reputację a nawet później zeszła na wielką nędzę, co zawsze jest karą sprawiedliwości Boskiéj...

Niespodziewany ten argument zadziwił słuchających. Felicjan tylko uśmiechnął się do pana Izydora, na znak że takie zakończenie wcale się mu podobało. Może i on coś podobnego chciał powiedzieć, tymczasem pan Izydor, powiedział to samo — tylko powiedział po swojemu.

Hugo właśnie myślał nad odpowiedzią, gdy się drzwi otworzyły, a do izby weszła Renata. Jéj przyjście przerwało dalszą rozmowę, bo jakoś wszyscy na nią się zapatrzyli. Miała na

sobie czarną sukienkę, grubym paskiem w stanie związaną. Draperja tego na pół fantastycznego ubioru tak była misternie ułożona, jakby ją z jakiego greckiego posągu zdjęto. Włosy podczesane do góry i jakaś większa w ich ułożeniu staranność, były dowodem, że i w tym zakątku ziemi zachowała kobieta wrodzoną próżność swoją, że i tu chce się wszystkim podobać. I w saméj rzeczy, Renata wzięła teraz na siebie ubior świąteczny.

Ukłoniła się przytomnym bez przesady a nawet zdawało się, bez nauki, ale z tym wdziękiem i z tą swobodą która cechuje wyższego usposobienia kobietę. Już tym razem nawet rumieńca na jéj twarzy nie było, widok gości bynajmniéj jéj nie zmieszał.

Powiedziawszy coś pannie Teresie do ucha, która zaraz do sieni wyszła, aby jaki skromny posiłek dla gości przyrządzić, usiadła przy stole, a oparłszy twarz na ręce, poczęła się nowym gościom przypatrywać.

W téj chwili zawołał chory. Pan Izydor i Hugo pospieszyli do alkierza. W izbie został tylko Felicjan i Renata.

Długi czas patrzali w milczeniu na siebie. Felicjan coraz więcéj wdzięku widział w jéj twarzy. Jakieś tęskne rzewne uczucie wiało z jéj czarnych smutnych oczu, zdawało się, że z nich na zawsze uleciał promień nadziei. Na wysokiem, okrągłem czole rysowało się kilka śmielszych myśli, ale na ustach był wyraz rezygnacji jakoby dla nich miejsca w jéj życiu nie stało.

Felicjan szukał słów, chciał z nią mówić, ale jakoś mu nie szło. Czarne jéj oczy ciągle na nim spoczywały; to mieszało go. Wreszcie ozwał się:

— Mój przyjaciel, który jest lekarzem, mówi, że słabość księdza Daniela wcale nie jest niebezpieczną.

— Jabym umarła z smutku, rzekła na to Renata, a głos jéj miał w sobie ową wibrację, znamionującą kobietę głębokich namiętności.

— Tak mało powabu znajduje pani w życiu...

— O powabów jest wiele, odpowiedziała, ale wszystkie te powaby nie wystarczą, jeśli

ktoś umrze, którego jedynie na świecie kochamy.

Dwie łzy zakręciły się w jéj oczach. Zwolna sunęły się po dużych ciemnych rzęsach i opadły na suknię. Spojrzała za niemi i westchnęła. Felicjan uczuł ściśnienie serca. Ta dziewczyna w téj kotlinie karpackiéj, w téj ubogiéj izdebce, czuła powaby życia!...

— Cóż panią bawić może w téj ustroni?— zapytał po chwili.

— Mam góry dokoła, są lasy, skały, jest potok... alboż to mało? Gdy mi smutno, pobiegnę ot na tę górę, ztamtąd tyle ładnych widać rzeczy... a jaki wicher tam czasem wieje, że się trudno utrzymać... a dokoła szumią lasy, a jakto miło słuchać! Zdaje się, że ktoś do nas mówi, tylko zrozumieć go nie można. A tu zaraz za plebanją jest skała, która wygląda jak kaplica, a wśrodku niéj klęczą jakby ludzie z kamienia... nazwałam ją „arką przymierza“ A ten potok nazywa się u mnie Jordanem, a tam na lewym brzegu, gdzie te kamienie to ruiny „Jerycha...“ Mam jeszcze wiele takich zaba-

wek. I tak jednego dnia idę na wieś, drugiego na połoninę... a co za śliczne chmury przechodzą tędy! Można sobie różne rzeczy z nich zrobić?

— A gdy jest zima?

— Ksiądz Daniel czyta nam biblję i żywoty świętych. Jest to pora, którą najlepiéj lubię. Tyle się wtedy nasłucham ciekawych rzeczy od księdza Daniela!... Naprzykład o Judycie...

Przy tych słowach zapłonęły oczy Renaty dziwnym ogniem. Pierś jéj podniosła się wysoko.

— A kwiaty lubi pani? zapytał Felicjan.

— O nie...; tak... polne, to lubię, jednak w ogrodzie ich nie mam. Ale bardzo lubię wysokie drzewa... i lubię także gdy grzmi i błyska się.

Z alkierza wyszli pan Izydor i Hugo. Hugo przez długi czas wpatrywał się w twarz Renaty. Potem przystąpił do niéj i rzekł:

— Ksiądz Daniel jutro zdrów będzie, nie smuć się pani. Jest to tylko paroxyzm nerwowy.

— Ten pan już mi to powiedział, odpowiedziała Renata wskazując na Felicjana, i zaraz uwierzyłam.

— Ot patrzajcie państwo, ozwał się pan Izydor, dlatego że młody, to już u panienki ma wiarę. A któż to najwięcéj zwodzi jeśli nie młodzież? Trzy razy przysięgnie i trzy razy zapomni. Tak panienko, tak, i ja tak kiedyś robiłem. Nietrzeba wierzyć aż do ołtarza...

Rzekłszy to pan Izydor zatarł ręce, i cieszył się, że coś na rozweselenie wszystkich powiedział, bo sam był ucieszony obietnicą Hugona, że ksiądz Daniel jutro zdrów będzie. Chybił jednak celu, bo Felicjan zarumienił się i zmieszał, jakby go kto na gorącym uczynku był schwycił, a Renata tak jakoś na niego spojrzała, że nawet pannie Teresie, która pod koniec rozmowy do izby przyszła, to bardzo dziwnem wydać się musiało.

— Ksiądz Daniel będzie zdrów, mówił daléj pan Izydor chcąc zatrzeć wrażenie, jakie jego żart był uczynił, będzie zdrów — Panu

Bogu uczyniłem votum, z którego ksiądz Daniel mocno cieszyć się będzie.

— Cóż takiego? zapytała panna Teresa.

— O, to tajemnica, odparł pan Izydor.

— Wszystko w tym domu jest tajemnicą — myślał w duchu Hugo, a przecież mam środki wykrycia... mogę zapobiedz jakiemu nieszczęściu...

Zgiełk zrobił się przed oknami plebanji. Do izby weszło dwóch górali. Panna Teresa postąpiła naprzód i zapytała ich, czegoby chcieli.

Górale skłonili się przytomnym, a jeden z nich zaczął:

— Zeszliśmy z pola pannuniu, bo nam powiedziano, że jegomość mocno choruje. Owo naradziliśmy się między sobą, aby na wyzdrowienie jegomościa pacierz odmówić. Prosimy o klucze do kościoła. Jest z nami Maxym, zapali nam świeczki a my zaśpiewamy i odmówimy pacierz.

Wszystkim stanęły łzy w oczach. Felicjanowi serce rosło, on zazdrościł sędziwemu kapłanowi, dla którego biło serc tyle!...

— I uradziliśmy także, ciągnął daléj góral, gdy jegomość wyzdrowieje, że gromada da wyzłocić wielki ołtarz.

— A ja sprawię nową złotą monstrancję, zawołał pan Izydor, bez względu na zapowiedziany sekret w szlachetnem uniesieniu, widząc się wyprzedzonym od gromady, i już sobie to ułożyłem, nim wyście tu przyszli...

— Czy tu mieszka pleban Skaliski? zapytał jakiś urzędnik, który w téj chwili wszedł do izby.

— Tutaj, odpowiedziała zdziwiona Teresa, ale... właśnie...

— Jest chory, dokończył urzędnik, i właśnie dla tego pośpieszyłem się aby zrobić z nim protokół, jako z najstarszym mieszkańcem całéj okolicy..... a pan dobrodziéj, rzekł zwracając się do pana Izydora, masz u siebie gościa pana Kuleszę. Zostawiłem go tam.

Coś ukłuło pana Izydora. Mimo to, odjeżdżając ze Skalisk nie zapomniał zabrać z sobą obu podróżnych, którzyby dla ubogiéj kuchni panny Teresy mogli stać się kłopotem.

Obiecał jednak na pierwsze zawołanie napowrót przyjechać z nimi.

Renata spojrzała z trwogą na urzędnika, który z torby skórzanéj począł dobywać pliki sinego papieru. Większy jednak przestrach malował się na twarzy panny Teresy, która nagle stanęła między urzędnikiem a Renatą, jakby ją od czegoś złego zasłonić chciała.

IV.

Przed piętnastu laty, w tejże saméj izbie plebanji siedział ksiądz Daniel przy kominku, na którym ogień się palił. Miał on już i wtedy siwe włosy, ale na twarzy był jeszcze zdrowy i rumiany. Koło niego na stoliku leżał brewiarz; snać musiał już skończyć modlitwy wieczorne. Patrzał zamyślony w pryskający ogień, w izbie było głuche milczenie. Na krześle pod oknem siedziała panna Teresa, a odmówiwszy koronkę, oparła na ręku głowę i od czasu do czasu westchnęła. I na jéj twarzy nie było już śladu młodości, troska i praca poorały ją wcześnie.

Smutno i głucho było w izbie plebanji.

— Księże bracie, ozwała się Teresa po długiem milczeniu, co dzień mi smutniéj na świecie. Rozrywam się jak mogę, to pracą, to modlitwą, lecz coraz trudniéj mi przychodzi.

— Módlcie się i czuwajcie, rzekł Pan do uczniów swoich, gdy był w utrapieniu..... mówił niby do siebie ksiądz Daniel.

— Muszę pójść jutro do spowiedzi. może mi lżéj będzie na sercu.

— Dziwne to serce ludzkie! mówił kapłan patrząc w zamyśleniu przed siebie, im więcéj się weń dobrych uczynków włoży, tem jest lżejsze!... Otóż potrzeba szukać sposobności do takich uczynków, i pełnić je z miłości Boga i bliźniego...

Wtem wszedł do izby kościelny i oznajmił plebanowi, że na wsi u Jerzego Stopy leży chora kobieta, która pragnie spowiedzi.

Ksiądz Daniel mimo wieku zerwał się krzepko na nogi, gotując się do ostatniéj posługi, jaką był winien ludziom na ziemi. Panna Teresa zaczęła powtarzać koronkę.

Kilka chwil potem, śród dżdżystéj, ciemnéj

nocy rozległ się głos dzwonka, wieśniacy zaglądali do okien, a odmawiając „Zdrowaś Marja“ patrzeli pilnie, w jakim kierunku światło się posuwa... Stanęło aż przy ostatniéj chałupie. Pleban wszedł do izby.

W izbie koło komina rozesłano wiązkę słomy, a na niéj leżała kobieta z małem dziecięciem u piersi. Twarz miała mocno czerwoną, oczy śklące, oddech prędki.

Zkąd była ta kobieta? nie wiedziano. Przyszła przed dwoma dniami do wsi, a gdy przenocowawszy, daléj iść chciała, poczuła się słabą, legła na słomę i więcéj wstać już nie mogła. Co godzina było jéj gorzéj; wreszcie zażądała księdza.

Oto są dzieje umierającéj ubogiéj kobiety. Ubogi umiera cały, dzieje i cierpienie bierze z sobą, nic nie przekaże światu! On niema nazwiska, zaledwie wie, jak go ochrzczono!

Gdy ksiądz Daniel do niéj się zbliżył, już była zaniemogła. Twarz jéj pałała ogniem, jakieś przykre, bolesne uczucie mówiło z płomiennych, gorączkowych oczu, kurczowo

chwyciła za dziecie, co przy niéj leżało... ale język już był bez władzy.

Kapłan udzielił jéj powszechne rozgrzeszenie, namaścił olejem, a nim modlitwę skończył, kobieta już nie żyła.

Dziecię poczęło płakać i szukało piersi.

— Czy ochrzczone to dziecie? — zapytał ksiądz Daniel.

— Mówiła nieboszczka, że chrzczone, odpowiedziała gospodyni.

— A jak jéj na imie?

— Renata.

— Pójdź Renato, rzekł do dziecięcia kapłan, pójdź do mnie sieroto, Bóg i ludzie nie opuszczą cię!

I wziął małą dziecinę na rękę i przytulił ją do piersi. I myślał sobie: Teresa dobry uczynek wypełni, a jéj i mnie lżéj będzie na sercu. I w plebanji nie będzie tak głucho. Za rok będzie nam szczebiotać jak ptasze... A dziecie przestało płakać, wlepiło czarne oczęta w twarz kapłana i przy świeżych zwłokach téj, któréj pierś ssało — uśmiechnęło się!

Jakże opisać zdziwienie panny Teresy, gdy ujrzała brata wchodzącego do izby z małém dziecięciem na ręku? kilka łez spadło na wspomnienie biednéj kobiety, a ileż pięknych uczuć obudziło się w zwiędłem jéj sercu, które uczucia macierzyńskiego nigdy doznać nie miało?..

— Nie będzie ci nudno na świecie, ozwał się ksiądz Daniel, i mnie przy tobie będzie weseléj.

A złożywszy dziecię na ręce siostry, pobłogosławił je i odmówił modlitwę, aby je strzegli aniołowie na wszystkich drogach jego.

I w saméj rzeczy zeszli aniołowie do ubogiéj izdebki plebana, i weseléj i lżéj na sercu było poczciwemu rodzeństwu.

Panna Teresa posadziła drzewko na grobie kobiety, aby Renata kiedyś mogła przyjść i pomodlić się za niewiastę, któréj pierś ssała, a może téż za matkę, która zgasła w téj ustroni, nie zostawiwszy po sobie żadnéj wieści ni córce imienia, po któremby ją ludzie wołać mogli...

Renata rosła, a z nią rosły uciechy w ubo-

gim domku plebana. Panna Teresa nie skarżyła się więcéj, że jéj ciężko na sercu, a ksiądz Daniel wpatrywał się z trwogą w rumianą twarzyczkę sieroty, czy nie ujrzy tam jakiéj boleści, coby znamieniem jéj sieroctwa było... ale Renata szczebiotała wesoło, uśmiechała się do staruszka, bawiąc się jego siwemi włosami.

Z każdym miesiącem przybywało jéj wdzięków. Czoło jéj stało się wysokie, otwarte, nad czarnem okiem zawisła gęsta ciemna brew, cała twarz przybierała kształty greckie.

Ale jednéj rzeczy brakowało biednéj Renacie. Była sierotą, nie miała matki. A poczciwa Teresa nie umiała być matką. Nie znała uczucia macierzyńskiego; nie umiała do dziecięcia mówić sercem, mówić jednem spojrzeniem, które dziecię tak pojmuje i pod którem rozwija się jak pod promieniem słońca. Panna Teresa krzątała się koło niego po całych dniach, pieściła, całowała, śpiewała mu do snu różne piosnki, ale w jéj głosie nie było owéj wibracji macierzyńskiéj, w jéj uściskach nie

było owego ciepła, owéj gwałtownéj sympatji i szybszéj namiętności, którą tylko matka mieć może. Jéj serce było zwiędłe, wyschłe, prócz związków krwi nie znała żadnych innych związków w życiu, nikt jéj nie kochał, nikt się nie zbliżył do niéj z uczuciem przyjaźni... słowem, Teresa była starą panną. Uczucie jéj dla biednéj sieroty było jakieś sztuczne, wyrozumowane, było odpływem chorego jéj serca, które tak wielki żal miało do świata! Dziecię poznało to instynktem, skrzywiło się na ten pokarm sztuczny, a na młodéj jego twarzyczce wyciskały się coraz więcéj ślady smutku. Nim jeszcze Renata dobrze mówić umiała, już w koło jéj ust począł igrać jakiś uśmiech bolesny.

Spostrzegł to ksiądz Daniel i zasmucił się, bo w tym smutku Renaty widział piętno jéj sieroctwa, które ją przez całe życie nie odstąpi i roześmiać się jéj nie pozwoli. Widział w niem jedyne dziedzictwo, jakie jéj snać po nieszczęśliwéj pozostało matce, dziedzictwo nieszczęścia! Lecz myśli takie usiłował kapłan odżegnać gorącą modlitwą, prosząc szczęścia

dla istoty, którą los dziwny rzucił w ustroń bezludną, jak ziarnko jałowcu, co gdzie z góry upada w szczelinę skały i tamże ziemi szuka!...

Gdy Renata dorosła i okazała się potrzeba nauki, ucieszył się w duchu ksiądz Daniel, w nadziei, że nauka wiary chrześćjańskiéj, tak obfita w rodzaje najczystszéj miłości, zatrze ten ślad sieroctwa na jéj pięknem czole. Poczciwy kapłan roztoczył przed młodą jéj duszą wszystkie skarby biblji, upajał jéj serce wielką, świętą melodją, wskazał jéj Boga w niebie i wybranych... ale ziemi, ale kwiatka na téj ziemi jéj nie wskazał! Renata nie miała matki!

Jakiś smętny, ascetyczny duch poezji wschodniéj wstąpił w jéj serce, zapalił je do wielkich wzniosłych uczuć, rozbudził jéj fantazją i przyzwyczaił ją do olbrzymich, wspaniałych widoków... o jakże drobnem musiało się jéj wszystko wydać, co tak blisko niéj było, co nogą rozdeptać, czego ręką dosięgnąć mogła!

Biedny kapłan widział, że mimo najgoręt-

széj pracy jego, Renata zdawała się być nieczułą na to, co ją otaczało, rzadko kiedy się rozśmiała, a często bez przyczyny płakała. On jéj smutek uważał za spadkobierstwo jakiegoś nieszczęścia! A Renacie było tylko brak matki!

To téż dziwna była to dziewczyna. Słusznego wzrostu, bladéj twarzy, miała w sobie coś fantastycznego, coś wschodniego. Oczy czarne, namiętne, patrzały gdzieś poza świat, usta prawie zawsze zamknięte wyrażały smutek i tęsknotę. Cała jéj postać była kształtna, jakby z białego marmuru urzeźbiona, ideał grecki. Była to królowa, przed którąby uklęknąć można, i oddać jéj pokłon poddaństwa.

Dla księdza Daniela i panny Teresy czuła najwyższe przywiązanie, lecz wszystkich innych ludzi unikała. Najmiléj było dla niéj być samotną, po wysokich chodzić górach, słuchać szumu lasów i wichrów. Słyszała w tem pewną melodję, czasem nawet jakieś dziwne słowa zalatywały do jéj uszu...

Rozczytawszy się w żywotach świętych, po-

lubiła skały i owe dzikie jaskinie, w których tak szczęśliwemi czuli się pierwsi wyznawcy Chrystusa, a obrazy wielkie i wzniosłe, postacie owych pierwszych bohaterów wiary, przesuwały się przed jéj okiem i zaludniały całą ustroń odludną. Przyzwyczaiła się do tego towarzystwa, i świata nie pragnęła.

Przy takim pokarmie wzrosła Renata w postać dziwnie biblijną. Widząc ją koło źródła śród skał i lasów można ją było wziąść za Rebekę oczekującą Izaaka; patrząc w jéj czarne, płomieniste oczy, rzekłbyś, że widzisz Judytę pałającą zemstą, pełną odwagi...

To też cała okolica, dokąd tylko z najwyższéj góry dojrzéć było można, była pełną obrazów biblijnych. Ta wysoka błękitna góra, to Synai, tam kraina Moabitów, a daleko za nią Babylon, kraj wygnania. Płynący doliną potok to Jordan, na jego brzegu rozsypały się ruiny Jerycha, a tam leżą gruzy Syonu, po nad które ze strzaskaną głową, z jarzmem na barkach wznosi się ostatni prorok Jerozolimy!...

Czasami tylko nie wystarczał jéj ten stary

świat biblijny. Wyszedłszy na najwyższą górę, i patrząc daleko w dolinę, zdawało się jéj, że tam gdzieś jest jeszcze świat inny, że tam jest coś, co ją ciągnie, co jéj w nocy naseła sny dziwne! Raz śniło się, że widzi ludzi jakichś obcych, których nigdy nie widziała w życiu, że widzi jakieś bogate komnaty, o jakich nawet wyobrażenia nie miała...

Widząc taki chwilowy jéj niepokój, lub słuchając opowiadania dziwnych snów, które miała, trwożył się ksiądz Daniel, aby mu kiedyś wychowanki jego z rąk nie wydarto. Gdy Renata z domu wyszła rzekł nieraz zasmucony pleban do siostry:

— Gdyby ktoś przyszedł i o tę sierotkę się upomniał, jabym nie przeniósł na sercu, żeby nas opuściła.

— A któżby śmiał ją nam odebrać? krzyknęła w takim razie poczciwa Teresa, alboż to mało trudu nas kosztowało, wychować, wyuczyć, i do ludzi podobnem uczynić?...

— Ale matka i ojciec mają zawsze prawo do dziecka, westchnął pleban.

— A czegóż go nie chowali, nie karmili, nie uczyli, nie ubierali... a co to pracy, co wydatku!...

— Przecieżby lepiéj było, gdyby miała imie.

— Co imie, na co imie! Albożksiędza brata i mnie woła kto kiedy po nazwisku? Wszyscy mówią: ksiądz Daniel, albo ksiądz pleban i panna Teresa, a nikt nie mówi ksiądz Warzewski i panna Warzewska. Otóż niech tylko będzie z niéj co poczciwego i dobrego, a imie Renata jéj wystarczy.

Tak rezonowała panna Teresa, a w głowie jéj nie mogło się to pomieścić, aby ktoś mógł upomnąć się o Renatę. Inaczéj sądził ksiądz Daniel. On pragnął dla niéj imienia, on wiedział, że świat konwencjonalny wymaga imienia, i piętnem hańby naznacza tych, którzy go nie mają!...

I tak spierały się między sobą serce i głowa poczciwego staruszka, a chociaż biednéj sierocie z całéj duszy życzył szczęścia i tego co do niego jest jéj koniecznie potrzebnem, to znowu drżał na samą myśl, że ją z domu

utraci, a siedząc wieczorem przed kominkiem patrzał z bojaźnią w drzwi od sieni, iżali ktoś nie przyjdzie dopominać się o sierotę.

To też łatwo pojąć można przestrach panny Teresy i zdziwienie Renaty, gdy przybyły urzędnik począł z torby wyciągać jakieś szczególne pliki papieru.

V.

Dojeżdżając do wioski czuł pan Izydor w sercu jakiś dziwny smutek. Obaj jego goście także coś milczeli, każdy po swojemu odżuwał wrażenia dnia dzisiejszego. Głośno zapukało serce pana Izydora, gdy na dziedzińcu ujrzał bryczkę niewielką i znane mu dobrze kasztanki pana Dominika Kuleszy. W.D.

— Co do kata, chce odemnie ten człowiek? pytał się w duchu, znieść go nie mogę. Renata i on — pewnie grad mnie zbije!

I przeżegnał się pan Izydor i po cichu odmówił sobie: Święty Boże, święty mocny... od powietrza, głodu ognia i wojny...

Pan Jan Dominik Kulesz stał w ganku a roz-

mawiając z Franią, która w różowéj jaśniała sukience, chwalił położenie dworu, unosił się nad starą, rozsochatą wierzbą, która melancholijnie zaglądała do kałuży gnojówki, czerniącéj brudnemi wyziewami zielone jéj warkocze. Zygzaki połamanego płotu wydawały się mu jak najpiękniejszy rysunek fantastyczny, a ze starego chlewa, z którego słychać było wcale nie zagadkowe mruczenie, zrobił pan Kulesz jakiś przecudny szwajcarski szalet, któremu tylko różnych galeryjek brakowało. Słowem, wszystko było ładne, wszystko przecudne, a przynajmniéj dobre i pożyteczne.

Poczciwa Frania nie mogła pojąć, jakim sposobem można tę odludną ustroń tak chwalić, w któréj niema gdzie „bywać“ i trochę komerażować, a gdy o staréj wierzbie i mniemanym szalecie mowa była a pan Kulesz się extazjował, rzekła z największą indygnacją:

— Co też pan mówi za rzeczy! Jakby pan z parafianek chciał sobie żarty stroić! Przecież my takie...

— Pani daruje, pani acanka dobrodziéjka... ale w całem tem ugrupowaniu jest tak coś milutkiego... zaręczam pani na mój honor... słowo uczciwości daję... wiele ładnych rzeczy widziałem w świecie... bywałem...

Tu nadszedł pan Izydor i znależytą pokorą począł witać gościa tak rzadkiego, którego zapewnie jakiś bardzo ważny interes musiał zaprowadzić do ubogiego domku górskiego szlachcica...

— Bez komplimentów panie Izydorze, zawołał pan Kulesz, rzucając się gospodarzowi na szyję, bez komplimentów... lubo górski szlachcic, karmazyn z waści dobrodzieju! karmazyn, a my chudopachołkowie...

Tu począł pan Kulesz jak najserdeczniéj ściskać pana Izydora, który w ferworze uścisków zapomniał nawet o czystem swojem karmazyństwie, a odwdzięczając się pełną miarką, wycałował należycie facjatę podejrzanéj próby. I tak mu jakoś lżéj się na sercu zrobiło, tyle dobroci widział dzisiaj w siwych, nieco czerwonych oczach pana Kuleszy, że serdecznie

podziękował Bogu za uspokojenie serca, w którem przed chwilą budziło się jakieś niemiłe przeczucie.

Nastąpiło zaznajomienie gości. Pan Kulesz mówił o wszystkiem z nadzwyczajną precyzją. Był zwolennikiem Mesmera, miał sam w tym względzie nadzwyczajne wypadki, dowiedział się o strasznych tajemnicach niektórych domów, mimo to (mówiąc do Felicjana), był jednak tego samego co i Felicjan zdania, że światem i ludźmi nie zawsze kierują prądy magnetyczne, ale czasem nawet i widoczną staje się ręka Boska...

Pan Izydor był nadzwyczaj rad gościom, a gdy ich w duchu na palcach policzył, i toż samo z córkami uczynił, znalazł że liczby co do joty się zgadzały. Uśmiechnął się i czekał końca.

Tymczasem Kłosowska nakryła do kawy, Mańcia wyszła z garderóbki staranniéj ubrana, a zbliżywszy się do Felicjana, pytała go o zdrowie księdza Daniela, mówiła wiele o jego świątobliwości, i coś nawiasem o Renacie wtrąciła.

Felicjan słuchał z przyjemnością wesołego jéj szczebiotania, ale odpowiadał krótko i z roztargnieniem. Spostrzegłszy to Mańcia, wcale się tem na pozór nie zmartwiła, przysiadła się do Hugona, a rozmawiając z nim o duchach, patrzała z ukosa na Felicjana, czy mu to nie sprawia jakiéj nieprzyjemności.

— I pan w saméj rzeczy wierzysz, że są duchy, z któremi rozmawiać można, szczebiotała do Hugona.

— Są pewne chwile, w których człowiek żyjący duchowieje... to jest porzuca ciało, a sam przenosi się w sferę duchów...

— Ach! niechże mi pan daruje! Brzydkim musi być taki człowiek, co sam siebie porzuca, aby gdzieś wejść... na pogadankę do nieswoich! To mi się tak wydaje, jakbym miała ładny jaki szlafroczek i rzuciła go, aby się w innéj sukience komuś okazać. Lub gdybym miała ładne pysio i gdzieś je zostawiłam; aby na chwilę tam iść, gdzie może żadnéj poczciwéj twarzy nie ma!

Hugo spojrzał bacznie na dziewczynę, która

przybrawszy mądrą minę, z góry mówiła o jego nauce, za którą on tyle ziemi przedeptał!

— Niech pan tylko sam zdrowym rozumem to sobie pomyśli: prawiła daléj Mańcia. Naprzykład są domy u nas, w których nie każdy bywać może. Ci co sobie są równi, trzymają się razem, i wcale nie zaglądają do okien wyższym i bogatszym. Proszę pana, domy duchów są dla nas nieprzystępne, pocóż mamy im w okna zaglądać? Przyjdzie czas, że i nas tam puszczą, ale teraz, gdybyśmy tam wcisnąć się chcieli, mogłoby nam to samo się zdarzyć, co się zdarzyło panu Karolowi Pętelce, gdy go z salonu pani hrabiny wyrzucono. Czy słyszałeś pan o téj awanturze? Ach to pocieszne zdarzenie, muszę panu opowiedzieć. A nie będzie pan nudził się?...

Widząc że Felicjan wcale na nią nie uważa, przerwała rozmowę z Hugonem i odeszła nie opowiedziawszy owego pocieszńego zdarzenia.

Podczas tego pan Izydor rozgadał się z panem Dominikiem Kuleszą, który rad był wie-

dzieć o najdrobniejszych szczegółach gospodarstwa i inwentarza. Pan Kulesz bowiem wypytywał się ciekawie pana Izydora, ile pola zasiewa, wiele zbiera, jak gospodarstwo podzielił, czy lasu oszczędza, i wiele kosztuje go administracja całego majątku. Pan Izydor zarozumiały, jemu się zdawało, że nad niego w całéj okolicy nie ma lepszego gospodarza. Toż korzystał z sposobności, wydobył dziesięć z kolei kalendarzy, i począł przed panem Kuleszą jak najsumienniejszy zdawać rachunek. Im więcéj się w „przychód i rozchód“ zagłębiał, tem więcéj niknęła dawna jego niechęć ku panu Kuleszowi, a nim do ostatniego roku zdążył, już myślał sobie w duchu:

— Tfu, nie wiem, com dawniéj cierpiał do tego człowieka, to człowiek rozumny, a dobry, że go do rany przyłożyć można. Wolę przecież z nim rozmawiać niż z Waniewiczem co moje gospodarstwo wyśmiewa...

Pan Kulesz wszystko chwalił i z taką uwagą wszystkich liczb słuchał, że pan Izydor na pół głośno wykrzyknął:

— Warto mu czytać! ani ćwierci owsa nie prześlepi! Gdyby chciał wziąć Franię...

Tymczasem skończyła się kawa, ostatnia grzanka, arcydzieło Kłosowskiéj, znikła z talerza, a pan Kulesz wstał od stołu i gospodarzowi przechadzkę po ogrodzie i gruntach zaproponował.

— Nie bez kozery on tu przyjechał, myślał sobie pan Izydor zdejmując z szafy wielki kapelusz słomiany, i mrugając do Frani — za trzy tygodnie zrobiłbym wesele...

Pan Kulesz nie był już wcale młodym, a chociaż liczono mu lat pięćdziesiąt, nie wyglądał jednak na to wcale. Był wielkiego wzrostu, miał małą łysinkę, oczy małe szybko biegające, które często mrużył, jakby coś na powiece siadło, i nosek drobny, do którego nieustannie pchał tabakę. Ubiór miał nadzwyczaj starannie dobrany, lecz w ruchach był jakoś sztywny i śmieszny. Mimo to spuściła Frania w ziemię oczy, gdy pan Izydor do niéj mrugnął i myślała sobie: Jeżeli tatunio każe, pójdę za niego.

Tymczasem przepadł gdzieś za górą pan Kulesz wraz z gospodarzem, i dopiero po długim czasie, można ich było widzieć daleko pod lasem, gdy do granicy Izydorowszczyzny docierali, rozprawiając i machając rękami na wszystkie strony.

— Światły człowiek, ten pan Kulesz, rzekł Hugo.

— I bardzo poczciwy, dodała Frania i spiekła raczka.

— Już ja go znieść nie mogę, ozwała się Mańcia.

— A któż tobie kiedy się podobał? z przekąsem zapytała Frania.

— Kto? powtórzyła Mańcia i spojrzała raz na Felicjana raz na Hugona, a w jéj błękitnych oczkach błysnęło coś... coś... ale wnet spłonęła cała jak burak, a wykręciwszy się na pięcie, rzekła do Felicjana:

— Obiecałam panu okazać mój ogródek, może i pan zabawi się trochę ziemskiemi rzeczami, dodała zwracając się do Hugona i tak przyjechał z Skalisk posłaniec, że księdzu Danielowi już lepiéj.

Mańcia poszła w ślady ojca. Pan Izydor oprowadzał swego gościa po polach i łąkach. Mańcia pokazywała Hugonowi i Felicjanowi wszystkie skarby swojego ogródka, a nawet kilka buraków i cebul wyrwała z ziemi, aby im okazać jak są piękne i dorodne. A ileż to przestróg ileż skarceń wyleciało z jéj różowych usteczek!

— Nie idź pan tamtędy, panie Hugonie! tam stokrotki!... Panie Felicjanie, jakeś pan niezgrabny! Rozdeptałeś pan dwa bratki!..... A znasz pan co to za kwiatek?... Powąchaj pan tę różę... Zrzuć pan gąsienicę z tego hyacyntu... Panie Hugonie, wiele duchów może się pomieścić w tym tulipanie?... Prześliczny!

Zerwała dwie prześliczne róże. Widać było po jéj twarzy, jak wiele to ją kosztowało! Obejrzawszy je wzięła jednę do prawéj ręki, drugą do lewéj, i uroczystym ozwała się głosem:

— Dwóm nierozerwanym przyjaciołom poświęca... Mańcia.

Rzekłszy to roześmiała się głośno, lecz mi-

mo tego tak serdecznego śmiechu, wyglądała z jéj oczu ciekawość, który z obu, ten figielek prędzéj zrozumie, który z nich powie: Czemu ja z téj ręki dostałem? Lewa od serca, prawa od głowy... Ale obaj zawiedli ją. Wzięli róż i grzecznie podziękowali. Biedna Mańcia! Jak nieznośni, jak niepojętni są mężczyzni!..... Straciła wesoły humor, a widząc że ojciec z panem Kuleszem już powraca, zaprosiła gości do pokoju.

— I proszę acana dobrodzieja, mówił pan Kulesz siadając do stołu, na którym Kłosowska zaścielała obrus do wieczerzy, pan masz ładną intratkę z wioski, wszystko ładne jak z płatka. Zapewnie nieszpetny kapitalik...

— Gdzie tam panie dobrodzieju, gdzie! — przerwał szybko pan Izydor, w domu trzy córki, a wszystkie panny!...

Tu spojrzał badawczo w czerwony nosek pana Kulesza i dostrzegł na nim jakiś dziwny wyraz... pan Kulesz kichnął.

— Prawdę pomyślałem, rzekł w duchu biedny wdowiec... sto lat zdrowia i..... ładnéj..... dobréj żonki! krzyknął po chwili.

— Acan dobrodziéj żartuje... gdzie mnie łysemu (starym nigdy nie nazywał się pan Kulesz, a łysinę tłumaczył jakąś słabością gwałtowną), gdzie mnie łysemu żenić się! ktoby chciał iść za mnie!...

— O panie Dominiku, żarty, żarty!... Stary ale jary!

Poczciwy Izydor wziął wyrazy łysy i stary za synonima.

— A tak, już i starym się będzie nie długo, mówił jakoś kwaśno pan Kulesz.

— Otóż właśnie nim ta starość nas złapie... prawił gospodarz oglądając się po izbie, nim ta starość nas złapie..... Gdzie jest Frania? Czego tu nie przyjdzie? Co tam się zapychać!

Wnet zajaśniała czerwona suknia Frani, aż wszystkie oczy w nią się wlepiły.

— Siadaj Franiu koło nas, zagadał ojciec, wszak jesteś najstarszą, musisz zastąpić gospodynię.

Pan Kulesz uśmiechnął się słodko, powiedział kilka grzecznych słów gospodyni, pochwalił kawę, masło i grzanki, czego Frania

w swojéj skromności wcale nie przyjęła, przenosząc te pochwały na Kłosowską, i zapewniając pana Kulesza, że o kawie, maśle i grzankach wcale nic nie wiedziała.

— Już téż pan nas za takie parafianki trzyma! Mój Boże, jakbyśmy w domu sług nie miały, tylko same robiły!

— Nie ręka to robi, pani dobrodziéjko, nie ręka, ale oko, oko!...

Tu pan Izydor im przerwał. Rozmowa wróciła znowu do gospodarstwa.

— Powiedz mi pan dobrodziéj, rzekł pan Kulesz, jak długo jest ta wioska w posiadaniu familji?

Nie mógł panu Izydorowi większéj zrobić przyjemności, jak pytając się go o dzieje jego majątku.

Otóż przysunąwszy krzesełko, począł mu szeroko opowiadać, jak dziadek nieboszczki żony, trzymał tutaj posesją, jak potem cząstkę wsi kupił u właściciela, jak wybornym był gospodarzem ojciec żony, lecz jak mu trudno szło gospodarstwo, jak go bił grad i prześla-

dowały nieurodzaje... jak w końcu zbiedniał i w długi wlazł po uszy...

— I wyobraź sobie pan dobrodziéj, ciągnął daléj, na taki mająteczek przyszedłem, bez grosza w kabzie, bo to człowiek był młody a świat się uśmiechał... i cóż pan mówisz na to? Dokupiłem drugą cząstkę, zaokrągliłem mająteczek, wystawiłem trzy karczmy i młyn o trzech kamieniach... i mam tylko trzy córki na to... i parę tysięcy długu co się jeszcze dokupna należy...

— Ładnie, ślicznie... a powiedz mi pan dobrodziéj, czy nie molestował kto kiedy pana w posiadaniu tego majątku? czy, mówiąc po palestrancku, niema pan na téj wiosce wilka?

— Broń Boże! nikomu na myśl nie przyszło turbować mnie... Wprawdzie przed kilkoma laty ktoś mnie pozywał, ale to jakoś ucichło.

— Zwłaszcza jeżeli są na to dokumenta piśmienne...

— Gdzie tam panie, krzyknął pan Izydor, wstając z krzesła, ani świstka papieru nie mam!

A widzisz pan, kto poczciwie żyje, ani włos mu z głowy nie spadnie! Ani przez myśl nikomu nie przeszło, spytać się mnie: zkąd twój majątek, jak przyszedłeś do niego! Pan pierwszy zapytałeś się mnie.

— Ba, ale zawsze lepiéj byłoby mieć wszystko w porządku...

— Dobrodzieju! świat poczciwy. Na cóż kosztów daremnych! Dało się z ręki do ręki i tak też się wzięło! Dzisiaj nie praktykują się już zjazdy, ludziska poczciwe!

I tak daléj prawił pan Izydor, a pa Kulesz słuchał, zażywał tabakę i wszystko kochanemu sąsiadowi przyznawał. Tymczasem nadeszła wieczerza, pan Izydor wyjął mały kluczyk z kieszeni, dał go Mańci, powiedział w któréj szufladzie biórka leżą klucze od piwnicy: który numer wina do stołu przynieść.

Wesoło było przy wieczerzy, wesoło po wieczerzy. Pan Izydor niewyczerpany był w alluzjach na córki, że są pannami i że według jego zdania, przeznaczeniem panien jest, aby szły za mąż... Pan Kulesz wszystko approbo-

wał, wszystko chwalił, o wszystkiem mówił, a nawet na Franię ukradkiem zerkał, zażywając tabakę. Wiadomość, która już późno z Skalisk nadeszła, że ksiądz Daniel ma się lepiéj, przyczyniła się do większéj jeszcze wesołości.

Wreszcie poczęły się Frani i Rózi oczy zamykać, co widząc pan Izydor, wstał od stołu, wniósł zdrowie do poduszki a rozlokowawszy jak mógł najlepiéj swoich gości, wlazł pod pierzynkę, aby swobodnie dośnić owych pięknych snów o trzech zięciach, którzy mu już z pierwszym kieliszkiem po głowie poczęli skakać.

I cudne téż śniły mu się rzeczy! Widział pana Kulesza, który się do niego uśmiechał i tabakę zażywał, widział jak mu tenże tabakierkę podał, a gdy z niéj chciał wziąć szczyptę, poczuł w palcach, że to nie tabaka ale dukaty, dukaty holenderskie!... Pan Kulesz wziął go za szyję i całował, nazywał go ojcem... Frania siedziała na adamaszkowéj kanapie, miała karetę i lokai w liberji! Zdawało się mu nawet, że mówiła po francuzku, a przynaj-

mniéj kiedy niekiedy jakie francuzkie słowo do polszczyzny wmieszała, jakto niegdyś w salonie pani hrabiny był słyszał... Trudniéj mu jednak przychodziło śnić o Rózi i Mańci. Jakoś się mu mieszało. Raz widział przy Mańci Hugona, to znowu Felicjana, a Rózi nawet znaleść nie mógł. Gdzieś się mu schowała, a nawet wołania jego nic nie pomogły. Nie mogąc jéj znaleść wrócił znowu do pana Kulesza który zawsze był na zawołanie, zawsze trzymał otwartą tabakierkę, a w tabakierce zawsze były dukaty!

— Jaki porządny człowiek — marzył pan Izydor, jaki ostróżny przytem! Chcąc się żenić, nie czyni nic na oślep, ale zręcznie, bardzo zręcznie dowiaduje się o majątteczek... ho, ho! nie wyprowadzisz lisa w pole, panie Kuleszo! Wiem ja o co ci idzie! I ja tak szperał, gdym się starał o pannę. Dobry rozum! Nie na oślep!... Otóż Bóg mnie błogosławi za wotum, com dziś uczynił. Złota monstrancja będzie wprawdzie kosztowała sto dukatów, ale prawdę powiedziawszy, długo na to się zbierałem... jeszcze nieboszczka moja żona...

Mańcia widziała we śnie swój ogródek, a w nim wszystkie kwiatki wydeptane. Gniewała się na Felicjana, i wmawiała w niego, że on je wydeptał, że taki jest niezgrabny... Buraki i cebulę także ktoś poobrywał, a gdy się po ogródku obejrzała, nie widziała nikogo, była sama jedna. Tylko z za płotu zaglądał do niéj pan Kulesz, uśmiechał się i zażywał tabakę...

Frania miała sny złote w całem znaczeniu tego słowa. Jeździła w karecie po wizytach. Cieszyła się niezmiernie, że miała już gdzie „bywać.“

Rózia nie spała i nie śniła, bo ją głowa bolała. Czekała niecierpliwie dnia, aby sobie zrobić kompresy. Czasem tylko mignął jéj przed oczy król czerwienny.

Hugo i Felicjan spali razem w małéj izdebce oficyn. Długo w noc rozmawiali z sobą o tem wszystkiem co się dzisiaj zdarzyło. Felicjan słuchał i wzdychał, Hugo układał w system pojawy magnetyczne, i był tego zdania, że ksiądz Daniel posiada jakąś wielką, okropną tajemnicę, która jego zdrowie podkopuje,

a któréj nie wyjawić nakazuje mu obowiązek kapłana. A gdy mówić przestali, wrócił każdy w swoję sferę. Jeden wzleciał w wyższe, nieznane kraje, aby tam podróżować jak anglik-turysta, drugi przeniósł się w ubogą kotlinę, i błądził pomiędzy ubogie chaty wieśniacze, zaglądając czasem do okienka plebanji...

Pan Kulesz nie śnił wcale. Spał twardo, snem sprawiedliwego.

Wschodzące słońce zastało już wszystkich na nogach. Po śniadaniu ucałował pan Kulesz gospodarza, a zaprosiwszy obu młodzieńców aby go kiedyś we Lwowie odwiedzili, i przyrzekłszy im wszelką swoją protekcję (mówił to zwróciwszy do Felicjana) pożegnał wszystkich i z dworu wyjechał.

Długo patrzył z ganku pan Izydor za odjeżdżającym, Frania patrzała z okna... aż wreszcie zaproponował Hugo, aby do Skalisk pojechać i dowiedzieć się o zdrowie księdza Daniela. Nie nowy był to wniosek, bo pan Izydor już dawno kazał zaprzęgać.

Wszyscy trzéj ruszyli do Skalisk.

W Skaliskach było dziś daleko weseléj.— Ksiądz Daniel siedział w dużem krześle poowijany poduszkami. Paroxyzm przeminął szczęśliwie. I panna Teresa była weselsza, bo odwidziny urzędnika nie tyczyły się wcale Renaty. Wypytywał się tylko o wsie okoliczne i ich dawnych dziedziców. Snać chodziło o jakieś zaległe podatki.

Przy stole siedziała Renata, tak samo ubrana jak wczoraj. Tylko jéj oczy były dzisiaj mniéj ruchome. Patrzała gdzieś w powietrze. Po chwili ozwała się do panny Teresy:

— Proszę panny Teresy, jak się nazywa ten pan młodszy?

— Pan Felicjan, odpowiedziała Teresa.

— Felicjan, powtórzyła Renata.

— Nie mówi się: Felicjan, rzekła panna Teresa z wyrzutem, tylko „pan Felicjan“. Młoda panienka, mówiąc o mężczyznach powinna zawsze „pan“ dodawać, nawet gdyby był młokos.

— Ja tylko tak do siebie mówiłam, ciociu.

Renata nazywała pannę Teresę ciocią.

— I do siebie nie trzeba tak mówić. Gdy się nawet myśli o kimsiś, to nie trzeba „pan“ opuszczać. To niegrzecznie i nieprzywoicie dla młodéj panienki.

Renata spuściła oczy i pomyślała sobie: „pan Felicjan.“

— Muszę ci jeszcze coś powiedzieć moja kochana, kiedy się już tak zgadało. Wczoraj byłaś nieprzyzwoitą. Obom patrzałaś w same oczy. Zdawało się, że ich zjeść chcesz. To niegrzecznie. Mężczyzni zaraz źle sądzą o takiéj pannie, co tak śmiało w oczy patrzy.— Panna powinna zawsze ze spuszczonemi oczami słuchać mężczyznę gdy do niéj mówi. Czego ze mnie nie bierzesz sobie przykładu? Wczoraj na żadnego oczu nie podniosłam... Przypatrz się tak trzeba siedzieć w towarzystwie.

Panna Teresa poprawiła się na stołku, założyła ręce na piersi, a przekrzywiwszy głowę na bok, zasznurowała usta, że śladu z nich nie pozostało, i oczy z nadzwyczajną skromnością spuściła w ziemię.

W téj chwili otworzyły się drzwi a pan Izydor wszedł pierwszy do izby.

— Do kata, pomyślał sobie wdowiec, panna Teresa kryguje się, jakby jeszcze za mąż iść chciała.

Pan Izydor był w dobrym humorze, a gdy ujrzał księdza Daniela siedzącego w krześle, już nie było końca żartów, których ofiarą najczęściéj była panna Teresa.

Renata zapomniała naukę „cioci“ i nietylko że w krześle siedziała naturalnie, z właściwym jéj, malowniczym wdziękiem, ale nawet tak śmiało Felicjanowi w oczy spojrzała, że jéj wzrok, jakby pocisk jaki, aż gdzieś za dno jego serca uderzył.

VI.

Kilka dni upłynęło, ksiądz Daniel już zupełnie wyzdrowiał; a pan Izydor jeszcze trzymał gości u siebie. Tak mu jakoś przyjemnie było z nimi rozmawiać, do Skalisk jeździć i z panną Teresą żartować, tak dobre miał przeczucia względem swoich córek, że szczerze się zasmucił, gdy Hugo list ze Lwowa odebrał, który go tam wzywał bezzwłocznie. Ze łzami w oczach słuchał tej smutnéj wieści, a gdy już nie mogło być inaczéj, prosił więc, aby choć Felicjan na kilka tygodni w jego domu pozostał, dodając, że w lecie i tak w mieście nie ma nic do czynienia. Biedny wdowiec nudził się w odludnéj ustroni, i rad był z towarzystwa.

Hugo spojrzał na Felicjana, jakie wrażenie zrobi prośba pana Izydora. Ale Felicjan tak jakoś był uszczęśliwiony tą propozycją, taka radość rozlała się po jego twarzy, że pan Izydor wcale nie potrzebował czekać na jego odpowiedź, bo tę już z oczu mógł mu wyczytać. Serdecznie przycisnął go do piersi.

— Widzę kochany Felicjanie, rzekł do niego Hugo, gdy byli sami w izdebce oficyny, gdzie Hugo do podróży się gotował, widzę, że ulegasz jakimś wpływom, o których nie wiem, czy ci wyjdą na dobre!

— Jakto myślisz? zapytał Felicjan, rumieniąc się po raz pierwszy przed przyjacielem.

— Jużciż wpadłeś między dwa magnesy i wisisz w powietrzu, jak trumna Mahometa.

— Być może, nie przeczę temu.

— I gdzież się zdecydujesz?

— Wszak sam mówisz, że w tym względzie nie mamy własnéj woli, rzekł Felicjan z uśmiechem, silniejsze uczucie przyciąga nas do siebie.

— Jesteś nie szczery, ale daruję ci to. Wy-

pływa to z twego usposobienia. Poeta sam nic jasno nie chce widzieć, kocha się w półświatłach, bo samo światło zabija go. Więc nie chce wymówić tego, co mu po nerwach biega, i nawet przyjaźni nierad się udziela.

Zamiast odpowiedzi rzucił się mu Felicjan na szyję. Hugo poczuł, że mu dwie ciepłe łzy na twarz upadły.

— Felicjanie, rzekł do niego, nie będę cię badał. Nie zawsze lubi człowiek wypowiedzieć to, co mu w sercu spoczywa. A wiesz dlaczego? Dla tego, że to jest snem. Wydobywszy go na jaw rozpłynie się jak mgła... Ale ja będę mówić za ciebie. Renata czy Mańcia cię zajęła, to wszystko jedno. Dokądże zajdziesz?.. Renata i Mańcia, to kwiatek polny i kwiatek ogrodowy. Chcesz więc przy jednym z tych kwiatków przyklęknąć, stać się przy nim źdźbłem trawy na grządce ogrodowéj, lub pyłkiem mchu w szczelinie skały i w kropli rosy widzieć świat cały?... Czyż twoje wielkie szlachetne serce, w którem odbiły się wszystkie doby ludzkości, przez które zasłyszałeś

wieszczy głos wołającéj przyszłości, czyż to serce chcesz spalić przy płomyku świeczki na to, aby popioły jego włożyć do zgrabnéj etruskiéj wazy i nią gaik ozdobić?... Felicjanie! słabym jesteś. Przemijające względy, kobiety zarzucają na ciebie więzy, słabe jak pajęczyna, a ty ich rozerwać nie możesz!...

— Nie, Hugonie, w tym względzie teraz jak i zawsze niezgadzam się z tobą. Jest między nami ta jedyna różnica, że ty fantazją a ja sercem żyję. Może być, że serce moje zwęzi kiedyś mój widokrąg do kilku łokci nieba i kilku zagonów ziemi, ale wierzaj mi, na téj małéj przestrzeni życia cieplej mi będzie niżeli w mglistych przestworach, zkądbym bezczynnie chciał patrzyć na ludzkość i liczyć wielkie jéj doby!...

— Czy ci to ciepło serca twego na długo wystarczy? Czy nie obudzą się kiedyś szlachetniejsze pragnienia twoje, czy nie uniesie cię potęga skrzydeł twoich... a wtedy, pamiętaj Felicjanie, aby u nóg twoich nie uwisła bryła ziemi, nie pociągnęła cię w przepaść...

Renata jest to wspaniała chmura... może na niéj piękna zabłysnąć tęcza, ale może także wypaść z niéj grad i piorun... A Mańcia? Cóż jest Mańcia? Dobre, milutkie, wesołe stworzenie, misternie urządzona pozytywka, która z przebudzeniem zaczyna grać wesołe kuranty i nieustaje, póki sen jéj oczu nie sklei..... słowem dobra kompozycja krwi i zgrabny rozmiar ciała...

— Hugonie...

— Jeszcze ci wszystkiego nie powiedziałem. Cóż naprzykład, za stanowisko w towarzystwie wybierasz sobie, idąc za dzisiejszym popędem serca?

— Wtym względzie, Hugonie, mam moje własne wyobrażenia, od których nigdy nie odstąpię. Warstwy społeczeństwa podnoszą się coraz wyżéj. Według mego zdania, mężczyznom tylko jest dana siła dobijać się wyższego stanowiska. Kobieta zostaje zawsze tam, gdzie się urodziła, a nawet uroda i wykształcenie same przez się nie postawią jéj wyżéj. Otóż obowiązkiem mężczyzny jest pracą torować so-

bie drogę naprzód, a stanąwszy wyżéj podać rękę kobiecie i ją podnieść do siebie. Mężczyzna, który drapiąc się naprzód chwyta za rańtuch wyżéj stojącéj kobiety, i tym sposobem sam wyżéj staje... mężczyzna taki wart jest wzgardy, największéj wzgardy...

— Felicianie, zawołał szybko Hugo przystępując do niego, pamiętaj, aby te własne słowa twoje kiedy cię nie zabiły!...

— Czy myślisz, że Mańcia... zapytał z zdziwieniem Felicjan.

— Nic nie myślę, wcale nic... odpowiedział Hugo i kilka razy przeszedł się po izdebce.— Wreszcie stając przed Felicjanem, rzekł do niego:

— Ot mówi się... człowiek plecie a wiatr niesie... zresztą całe życie przed nami, okaże się kto pójdzie dobrze a kto źle.

Na tem skończyła się rozmowa przyjaciół, a chwila pożegnania, smutna jak zawsze, zatarła wszelkie drobne różnice między nimi.— Felicjan ze łzami w oczach patrzał za odjeżdżającym przyjacielem, a Hugo obrócił się je-

szcze raz za zagięcia drogi, machnął białą chustką i znikł za drzewami. Felicjanowi zdawało się, że jakiś duch w nim mieszkający, odszedł od niego, tylko nie wiedział, czy odszedł na głos modlitwy, czy poczuł grzech jaki...

I pan Izydor smutno patrzał za odjeżdżającym. Wróciwszy do izby pomyślał sobie: Zawczasu chciałem gruszki zrywać. I lepiéj się stało. Co nagle to po djable. Jeden odjechał, ale przyjaciel jego został. I to już dobrze. Przyjaciele to jak nitka o dwu końcach. Trzymając za jeden koniec, wiemy, że i drugi nie ucieknie... A Kulesz, to już pewny jak dwa a dwa. Po cóżby tu przyjechał? A jak się ciekawie dowiadywał o wszystko? Każdy wóz oglądał, czy kuty, czy nowy, czy stary, czy pługi dobre... a jak był ciekawym, czy na wiosce nie mam wilka, czy nie ciąży jaki proces... Oho, rzecz jasna jak słońce... jak dwa a dwa... Mógłby się wprawdzie inaczéj nazywać... Kuleszowa... Franciszka Kuleszowa... madame...

Tak marzył sobie pan Izydor, gdy Mańcia do pokoju weszła.

— Mańciu, zawołał, mam z tobą o czemś pogadać. Pójdź dziecię do alkierza.

Gdy Mańcia na środku alkierza stanęła, obejrzał się pan Izydor, czy drzwi garderóbki zamknięte, i tak zaczął:

— Zapewnie przeczuwasz moje dziecię, że się tu coś święci. To nie bez kozery, że w jednym dniu przyjechało aż trzech kawalerów naraz. Kulesz widoczne ma intencje, i tylko co go nie widać. Hugon odjechał, ale to nic nie szkodzi. Został Felicjan, a po jednym końcu dojdzie się do drugiego. Jak widzę, tobie wpadł w oko jasny blondynek,..

— Ale mój tatuńciu...

— No, no, już ja przecież mam oczy i wiem w takim razie...

— Jak tatuńcia kocham... mówiła Mańcia z rumieńcem wstydu na twarzy.

— Już tatuńcio teraz w kąt pójdzie, a na jego miejsce...

— Ja tatuńcia nigdy nie opuszczę, rzekła z płaczem Mańcia.

— Tylko nie kłam, proszę cię. O ho, ho!

wiem ja, jak wam pilno iść za mąż. Zresztą nie ma w tem nic złego. Według mego zdania przeznaczeniem każdéj panny jest, aby poszła za mąż... A niesłyszałaś, co ksiądz raz mówił: że opuści ojca i matkę i pójdzie...

Mańcia otarła łzy i słuchała z lekszem sercem, co jéj daléj ojciec powie. Pan Izydor znowu zaczął:

— Nie oto idzie moje dziecię, żebyś za mąż iść nie miała. I owszem z całéj duszy pragnę tego. Ale tu idzie o rozum moja Mańciu, o rozum. Dziewczyna w takim wieku jak ty, to marzy sobie o niebieskich migdałach. Nie wie, że szczęście małżeńskie najwięcéj na tem się zasadza, aby w domu biedy nie było. Wprawdzie będzie jaki taki majątéczek, ale na tem poprzestać trudno. Jest was trzy. Na każdą wypadnie po jednym folwarku, po jednéj karczmie i po jednym kamieniu w młynie. Jest także jeszcze parę tysięcy złotych do spłacenia i ja jeszcze jestem. Za życia nie chciałbym się z wszystkiego wyzuć.

— Ależ ja tatuńciu niczego nie chcę...

— Już też cię nie wydziedziczę!... Ale na wiele żadna z was liczyć nie może. A ty jak najmniéj. Tamte nie są ładne, nie lada prędko kto je weźmie. Potrzebują więcéj. Ty możesz się podobać, bo prawdę powiedziawszy...

— Niechże mi tatuńcio da pokój, bo doprawdy...

— Czekajno, właśnie przychodzimy na sęk. Tobie podobał się ten blondynek. Poczciwy z kościami chłopak, ale mówiąc między nami, goły jak święty turecki!

Mańci stanęły łzy w oczach; westchnęła.

— No, po cóż zaraz płakać! Nie mówię ja tego, aby go z głowy ci wybić, i owszem, kochajcie się! Tylko nie łap, cap! Skończył dopiero szkoły, niech się aplikuje, niech ma kawałek chleba, rok, dwa, a gdyby i trzy lata zaczekać, to dla ciebie nie wiele. Może być palestrantem, a palestranci majątek robią. Mówią, że i pan Kulesz tym sposobem do takiego majątku przyszedł. Teraz pan całą gębą. Tylko co go nie widać...

Wypowiedziawszy to wszystko pan Izydor,

tak lekko się mu na sercu zrobiło, tak swobodnie odetchnął, taki piękny, różowy świat obaczył w koło siebie, że po raz pierwszy, jako ojciec trzech córek, uczuł się zupełnie szczęśliwy. Zapalił sobie lulkę, wyszedł na ganek, a z każdem kółkiem niebieskiego dymku, ulatywały ku niebu roje najcudniejszych marzeń.

I nastały dni szczęścia i zabawy, dni najpiękniejszéj w życiu roskoszy. Tak szczęśliwymi są tylko kochankowie w pierwszych dobach uczucia, i starzy łudzący się w zamysłach swoich. Dla jednych i drugich straszne jest przebudzenie...

I w Skaliskach żyli ludzie szczęśliwi. Ksiądz Daniel marzył o złotym ołtarzu i złotéj monstrancji, i dziękował Bogu rano i wieczór, że dopuścił na niego słabość niebezpieczną, aby chwała Jego ztąd pożytek odnieść mogła.

Najszczęśliwszą była Renata. Felicjan był codziennym gościem. Nie miał jak pół godziny drogi przez góry. W jéj życiu zawitała nowa zorza. Jakieś dziwne sny, niby straszne niby słodkie, niepokoiły ją w nocy, potok, góry

i lasy nie wystarczały jéj, nie było w nich już owéj dawnéj choralnéj melodji, smutek, tęsknota miotały jéj sercem; lecz gdy Felicjan przyszedł, widziała w jego błękitnéj zrenicy jakieś nowe nieznane jéj niebo, w jego głosie słyszała cudowną melodję, którejby słuchała i słuchała bez końca, a jeźli kiedy podając polny kwiatek, dotknął się jéj ręki, uczuła, że ją coś wskroś przeniknęło, obiegło wszystkie nerwy i gdzieś do serca wpadło, aby tam wiecznie pozostać! Na przestrogę panny Teresy wcale zapomniała, i pełnem okiem wpatrywała się w twarz młodzieńca, na którego widok jéj serce tak głośno biło!

Zawsze miała się go o coś zapytać, prosiła o tę lub o ową książkę, czegoś nie pojęła, niezrozumiała, Felicjan tłumaczył, objaśniał i w końcu zamieniły się te drobne rozmowy na formalne lekcje, na które ksiądz Daniel z wielką chęcią przystał.

Renata była pojętną do zadziwienia. Sama obecność Felicjana rozbudzała w jéj głowie wyższe, trafne myśli. Jakimś magnetycznym

wzrokiem patrzała w głąb jego duszy, i wybierała ztamtąd skarby, jak łaknący złota skąpiec. A im więcéj od niego przyjmowała myśli i uczuć szlachetnych, tem więcéj traciła dawną swoją swobodę, tem uleglejszą stawała się jemu. Czuła że ją cor az więcéj wiąże coś do młodzieńca, że te skarby, które on w jéj serce rzucał, stają się więzami, okręcają się o jéj duszę i ciągną ją tam, z kąd wyszły, czyją były własnością. Renata kochała!

Felicjan miał serce poety. Kochać, szaleć i spłonąć jako meteor, kilka iskier zostawić po sobie, iskier poświęcenia, to było jego marzeniem. Ale te iskry nie miały być sztucznym faerwerkiem, który gawiedź zabawia, ale iskrami światła, któreby choć w ciasnym zakątku bliźnim świecić mogły... Co za pole otwierało się tu jego marzeniom!

Miłość Renaty, wielka, świeża, namiętna miłość mogła nią cały świat zasłonić, prócz tego małego zakątku, w którym żyła Renata. Te chat kilkanaście, jak omszałe kamienie, stoczone z góry w dolinę, ten kościołek, ten

kapłan szlachetny — wszystko to mogło mu wystarczyć, i onby może wszystkiemu wystarczył. Z tym ludem żyłby jak brat duchem starszy, uczyłby go wiele, wiele rzeczy, a sam miałby to błogie przekonanie, że zamiast bezczynnie latać po niebie, lub za skarbami ziemi, które najczystszą brudzą duszę, uganiać, stał się kilkunastu ludziom pożyteczny, i sam nad miarę szczęśliwy!

Takie były marzenia Felicjana. Kilka spojrzeń Renaty uczyniło je stałem przedsięwzięciem. Ale jak tego dokonać? Był ubogi, Renata była sierotą. Jakaż więc droga była przed nim? Oto droga pracy. I na tę drogę chciał wstąpić, pracować, krwawo pracować, choćby lat siedm jak Izaak za Rebeką, ale w końcu posiąść szczęście swoje a przy nim pokój duszy.

Z wszystkich sposobów, które go miały do celu zaprowadzić, wybrał so bie najpraktyczniejszy, ale oraz i jedyny. Miał wrócić do Lwowa, korzystać z nauki swojéj, pracować, dobijać się do czegoś, i potem wrócić w tę ustroń

Karpacką, rzeknąć do chat wiesniaczych: Posuńcie mi się, oto przybywam do was, a widniéj wam będzie ze mną!... Piękne, złote marzenia młodego serca! Wyście jak kwiaty po dywanach, kto po was sięgnie, uderzy o ścianę, która go zewsząd zamyka!...

Był to przecudny wieczór. Słońce wisiało jeszcze na krawędzi widnokręgu, a dalekie góry jaśniały w złotéj, przezroczystéj szacie. — Nad brzegiem potoku stała Renata, a Felicjan wstępował właśnie na kłodkę, która go przez potok, a daléj — do Lwowa zaprowadzić miała! Renata miała oczy zapłakane. Felicjan wziął jéj rękę, przycisnął do ust, kilka łez zostało na niéj.

— Więc w téj stronie, gdzie ta sina góra, leży Lwów? zapytała Renata.

— Tak jest, gdzie te dwa drzewka stoją.

— Ta góra najwięcéj mnie trwoży, odpowiedziała smutno Renata.

— Dlaczego? zapytał zdziwiony Felicjan.

— Gdym była młodszą, myślałam, że to, co tutaj widziałam, jest całym światem. Pó-

źniéj powiedziano mi, że tam za górami jest inny jeszcze świat, świat szeroki, daleki. Wychodząc tedy tam na górę, szukałam tego świata i zdawało się mi że za tą siną górą jest ten świat... świat, co jakąś trwogą przenika, gdy o nim wspomnę. A często w snach widzę jakieś wielkie, wspaniałe pałace, a to wszystko trwoży mnie.

— Nie lękaj się tego świata, bez niego możemy się obejść. Bóg tak mądrze wszystko urządził, że w téj tu ustroni, tyle jest nieba i słońca, ile i tam ludzie widzieć mogą. Reszta są dzieła ludzkie, w których się człowiek przegląda, a tu są dzieła Boskie, w których się Bóg sam przegląda!... Nie prawdaż, tu będziem szczęśliwi?

— Ale dotąd, nim to nastąpi, będę płakać i modlić się...

Rzekłszy to, podała rękę Felicjanowi, a odwróciwszy twarz szybko do plebanji pobiegła. Felicjan jeszcze raz obejrzał się na ubogą plebanję, a w oknie stał ksiądz Daniel i głośno go błogasławił.

* * *

Na ganku siedział pan Izydor i palił lulkę. Twarz miał pogodną i spokojną. Koło niego siedziała Mańcia. Mańcia trochę zbladła, ale pan Izydor tego nie uważał. O wędrówkach Felicjana do Skalisk tyle wiedział, że polubiwszy góry i księdza Daniela, odwiedza jedne i drugiego, i cieszy się swobodą zanim do miasta odjedzie. Wprawdzie nie było jeszcze dotąd Kulesza, ale mógł dziś, jutro, z pewnością, jak dwa a dwa, przyjechać i o rękę Frani prosić.

Mańcia jakoś inaczéj te rzeczy widziała. — Kobiece serce odgadło marzenie Felicjana i zamknęło się przed nim i przed światem. Pomogła mu do tego szesnastoletnia próżność, która Mańci szepnęła do ucha: Nie kocha cię on, będzie cię kochał inny! A pan Izydor, widząc ich oboje z daleka od siebie, myślał sobie w duchu: Poczciwy chłopiec, nie chce dziewczyny bałamucić, dopóki sam nic nie ma! I ona ma rozum, zawsze z daleka!...

I gdy tak słodko sobie pan Izydor marzył, że wszystko po jego myśli idzie, zajechał wo-

żny jednokonnym wózkiem przed ganek i oddał mu jakiś pakiet opieczętowany.

Pan Izydor zbladł odrywając pieczęć, a nim do końca przeczytać zdołał, wypadła mu lulka z ręki.

— Expossessio! Expropriatio! wybełkotał, i papiery rzucił na ziemię.

— Co to tatuńciowi! krzyknęła Mańcia.

— Wypędzają nas! Jesteśmy żebrakami! Pod płot nas wyrzucą!

Tu nadszedł Felicjan. Wszyscy domowi zbiegli się na ten krzyk. Felicjan przeczytał papiery. Pobladł cały.

— Okropnie! zawołał, jakieś dawne, dawne pretensje, procenta, brak dokumentów posiadania...

— Mój Boże! krzyknęła Mańcia, więcéj z przeczucia niżeli z świadomości nieszczęścia, panie Felicjanie ratuj nas.

I pochwyciła go za ręce i przycisnęła je do piersi. Serce jéj biło gwałtownie, z oczu padały łzy...

Felicjan czuł że mu się serce ścisnęło.

Pan Izydor drżał cały, jak trup blady, i osłupiałym okiem patrzał na Felicjana, jakby od niego zbawienia wyglądał. Frania i Rózia stanęły u jego boku, a łamiąc ręce, zaklinały go by ich ratował. Mańcia rzuciła się do nóg ojcu, skropiła lzami jego kolana, a uklęknąwszy przed Felicjanem, zawołała głosem, który aż w serce uderzył:

— Bądź naszym aniołem!

Felicjan schylił się aby ją podnieść. Głowa się mu zakręciła. Na ręku uczuł kilka łez, uczuł jéj oddech gorący.....

Nazajutrz był już na drodze do Lwowa.

VII.

Ubogą i wcale nieokazałą była podówczas nasza stolica. Na rynku, obok starego ratusza, stała jeszcze owa pamiętna wieża, któréj dni już były policzone. W kilka bowiem lat, na zawstydzenie wszelkiéj sztuki i umiejętności zniknęła z pomiędzy liczby starych naszych gmachów, zasypując gruzami tych, co z cyrklem w ręku przepowiadali jéj bliską rekonwalescencję a po niéj długowieczne życie. Prosty, naturalny rozum, odniósł tu zwycięztwo; chłop cieśla przypowiedział jéj zgon prawie na godzinę... Jedna halicka ulica, prosta i ożywiona, reszta wszystko było brudne, błotne i krzywe. Na miejscu, gdzie dzisiaj stoi

wspaniała budowa nowego teatru, były błota i kałuże; piękne, arystokratyczne ulice Mejera i Frenela nie istniały wcale, a na ich miejsce były krzywe, porozwalane parkany i dziko zapuszczone ogrody. Ulica Syxtuska przepełniona żydostwem, wyglądała brudno i czarno. Małe jednopiętrowe domki, najczęściéj z ślepemi oknami, ciągnęły się po obu stronach, przerwane często zagnojoną luką, w któréj przekupnie składały różne artykuły handlowe.

Arystokracja mieszkająca podówczas dość licznie we Lwowie, mieściła się w rynku w starych ciemnych kamienicach, a co się tam pomieścić nie mogło, wynosiło się na wyższą ormjańską ulicę. Dzisiaj wprawdzie należy ta ulica do najbrudniejszych w mieście; ciemne, wilgotne kamienice dają tylko schronienie uboższéj ludności i rzemieślnikom.

Ale wtenczas była to ulica arystokracji niższego rzędu. Ktokolwiek w duchu do niéj się poczuwał; kto do niéj niegdyś należał a przez niefortunne wypadki o jedno krzesło niżéj, lub

o jedno piętro wyżéj musiał się posunąć; lub kto z szarego końca powoli do niéj się przysuwał, i w jéj szeregi z czasem wcisnąć się usiłował; ten najmował pomieszkanie na wyższéj, ormiańskiéj ulicy, wybijał ciasne ściany, a nadwerężone sklepienie podpierał kolumnami, które ciemnéj, wilgotnéj sali nadawały pozór arystokratyczny. Jeszcze dzisiaj w kilku kamienicach pozostały te kolumny, poza które grając w ciuciubabkę, chowają się dzieci ubogiego mieszkańca. Arystokracja ustąpiła miejsca ubóstwu i przeniosła się na zachód miasta, gdzie według ludzi uczonych, w każdem wielkiem mieście najzdrowsze ma być powietrze.

Otóż przy téj ciemnéj, wilgotnéj, wyższéj Ormiańskiéj ulicy, prawie w samym środku, niedaleko klasztoru księży Ormianów, była kamienica o dwóch piętrach, pomalowana na żółto. Okna dolne i pierwszego piętra obwarowane żelazną kratą, dość misternéj roboty. Brama wielka, czarna, była prawie zawsze zamknięta, tylko małe drzwiczki otwierały się

dla rzadkiego gościa, który tutaj zawitał. — Schody ciemne i strome, prowadziły tylko na pierwsze piętro, bo drugie nie było zamieszkałe, i tylko po schodach przystawionych można było tam się dostać.

Na drzwiach pierwszego piętra można było jeszcze przed dziesięciu laty czytać napis: Jan Dominik Kulesz, dzisiaj jednak zamalowano ten napis, drzwi zamknięto na rygiel, tylko w pewnych godzinach dnia były one otwarte.

Z całego urządzenia domu widać, że gospodarz przy pracy spędził życie, że ta praca przyniosła mu owoc pożądany, i że w końcu powiedział sobie: dosyć. Otóż ciemne, olszowe meble i różne stare graty powędrowały na drugie piętro, i stanęły tam w nieładzie, a na ich miejsce przyszły nowe, czerwonym adamaszkiem wybijane kanapy, karły i sofy kątowe. U okien zawisły ciężkie jedwabne zasłony, na komodzie stanął bronzowy pruski zegar, o słupkach wyzłacanych, a ściany okryły się olejnemi obrazami, dosyć wysokiéj wartości.

Wszędzie był jak największy, systematyczny porządek. Na meblach ani pyłku prochu, wszystko stało na swojem miejscu. Zdawało się, że gospodarz tego wszystkiego nie używał, miał tylko u siebie jak kupiec towar w sklepie, aby przechodzący oglądać go mogli. To też salon ten na pierwszem piętrze był prawie zawsze zamknięty, a sam gospodarz nosił od niego klucz w kieszeni. — Sam zaś zamieszkiwał mały pokoik, skromnie umeblowany, dwiema sofkami dreliszkiem okrytemi, szafką czarną i starem łóżkiem. Przedpokój służył gospodarzowi za jadalnię, a w kącie przy kredensie stał wielki, na perłowo malowany stół, przy którym o pewnych godzinach można było widzieć niskiego, pękatego pisarczyka, gryzmolącego z wielkim hałasem po siwym papierze.

Tak mieszkał pan Jan Dominik Kulesz.

Różne wieści obiegały o tym panu Kuleszu. A były one tak sprzeczne z sobą, że trudno nam zbudować z nich jakąkolwiek charakterystykę tego człowieka.

Niegdyś miał on być palestrantem, ale przyszedłszy do majątku, zawiesił palestrę na kołku, zapuścił długie włosy, a wlazłszy w kontusz, i kozłowe buty, klął się na swój honor szlachecki i przy każdéj okoliczności zwykł wiele rozprawiać o Janie Sobieskim, z którym jego przodek miał pod Wiedniem z bisurmanem się ucierać. Wprawdzie uśmiechali się niektórzy na to złośliwie, ale pan Kulesz miał za sobą opinję, i drwił sobie z pojedynczych swoich nieprzyjaciół.

Nie było bowiem żadnéj sprawy krajowéj, żadnego dobroczynnego towarzystwa, żadnéj kwesty dla sierot i ubogich, gdzieby pan Kulesz nie był czynnym i pomocnym, nie aranżował, nie płacił, jeżeli tego była potrzeba. — On był sekretarzem bezpłatnym, utrzymywał kassę, zastępował dyrektorów i prezesów, a zawsze uniżony, zawsze skromny, umiał się tym sposobem wcisnąć w niektóre koła arystokratyczne, a mając dostatni majątek, stał się im wkrótce niezbędnym.

A że natura wilka do lasu ciągnie, otóż i pan

Kulesz nie przeniósł tego na sercu, jeśli się gdzieś o jakiéj zastarzałéj pretensji dowiedział, którą można było za bezcen nabyć, a całą zwindykować, aby jéj nie nabyć. W takim razie miał kogoś, kto to wziął na swoje imie, a pan Kulesz stał za plecyma, popierał, forsował, co przy jego stosunkach wcale mu trudnem nie było.

Dotąd był pan Kulesz bezżennym. Nie pochodziło to z nieprzyjaźni ku płci drugiéj, ale z wyrachowania. Za młodych dni nie miał czasu o tem pomyśléć, bo robił majątek. Według jego wyobrażenia, niżéj dziedzica jednéj wioski nie było ludzi. A gdy się znalazła jedna wioska, zachciało się drugiéj, i trzeciéj, a nim to nastąpiło, tymczasem wyłysiał, twarz mu schudła, zżółkła, oczy poczerwieniały. Ale to wcale go nie martwiło. Był pewny, że trzy wioski są zawsze dostateczne, aby jakieś serce do nich przylgnęło, a gdybyśmy do tajnéj komórki jego duszy zajrzéć mogli, ujrzelibyśmy tam rzeczy, o których marzył, a któreby się nam więcéj niżeli nieprawdopodobne wy-

dały. Wprawdzie nienajlepiéj szło mu w tym względzie, ale pan Kulesz miał wytrwałość, i wcale nadziei nie tracił.

Otóż właśnie w téj chwili musiał o czemś podobnem myślić, bo chodząc po pokoju uśmiechał się do siebie, gładził łysinkę i często do zwierciadła zaglądał. Miał na sobie stary, podarty surdut, z płóciennym rękawem, jakiego zawsze do pisania używał. W całym domu nie było żywéj duszy.

Ktoś zapukał do drzwi. Stary kawaler zrzucił prędko surdut podarty, a wziąwszy na prędce czamarkę, przygładskał włosy i klucz w zamku obrócił.

— List z Paryża, rzekł z należytym uszanowaniem pocztarz, podając mu pakiet.

— Z Paryża? powtórzył pan Kulesz a twarz jego trochę pobladła, a tak, z Paryża... prawda... człowiek ma różne stosunki...

Gdy drzwi na klucz zamknął, obejrzał się wokoło, czy niema świadka. Zdjął go jakiś strach dziwny. Ręce mu drżały, gdy pieczęć łamał.

I nieomyliło go przeczucie. Odczytawszy list, zbladł, kurcz nerwowy wykrzywił mu usta. Położył list na stole, przykrył kapeluszem i począł się po pokoju przechadzać. Twarz jego to bladła, to czerwieniała, jakaś walka odbywała się w jego duszy.

I tak trwało kilka godzin.

W téj saméj kamienicy, na dole po lewéj ręce, między kanałami a drwalnią były dwa niskie okienka. Wązki korytarzyk prowadził do téj ubogiéj izdebki; która była niegdyś mieszkaniem stróża. Dzisiaj jednak mieszkała tam biedna wdowa z małym synkiem. Strach, co za nędza, co za ubóstwo!

Ściany czarne, wilgotne, u dołu porośnięte zielonemi grzybami. Zamiast podłogi został jeszcze na środku szereg cegieł, a poza nim jamy i błoto. Pod ścianą koło komina stoi czarne, na pół spróchniałe łóżko, napełnione słomą i brudną przykryte płachtą. Na łóżku leży młody chłopczyna z wypiekłemi na twarzy rumieńcami. Kilka stołków, pod oknem stół o trzech nogach i stara połamana sofka,

na któréj tylko zgrzebne zostało płótno, oto wszystkie meble téj ciemnéj izdebki.

Przed łóżkiem klęczy kobieta, a patrząc w twarz chorego, liczy uchem i sercem tętna jego życia. A to życie, zdawało się, ubiegało już galopem, uciekało jak rumak, który potargał swoję uprząż... biedna, biedna matka!

Wstała, załamała ręce i jak szalona przebiegła kilka razy po izbie.

— Mamusiu, ozwał się chory chłopczyna, mnie dzisiaj daleko lepiéj!

— Lepiéj ci, lepiéj! z szyderskim śmiechem odpowiedziała matka, wiem, że tobie lepiéj, bo nie będziesz już więcéj cierpiał, ale mnie gorzéj!... Adasiu, ty umrzesz!

— Dlaczegóż mam umierać? zapytał naiwnie chłopczyna.

— Umrzesz... bo Bóg karze aż w dziesiąte pokolenie! krzyknęła matka rozdzierającym głosem. Twoja siostra umarła, twój brat umarł, i ty musisz umrzeć!

Chłopiec jęknął, zakaszlnął i posiniał. Matka przybiegła do łóżka, bryznęła mu wodą

w twarz. Chłopiec odwrócił twarz odniéj, ale słowa nie przemówił.

— Adasiu! Adasiu! wołała matka całując jego spotniałe ręce, a twarz jéj syna rozpłomieniła się coraz więcéj. Usta jego zafarbowały się karminem, oczy zabłysły dziwnym ogniem.

— On jeszcze żyć będzie, pomyślała sobie matka i spojrzała na stół pod oknem. Na stole leżała recepta, którą dzisiaj zapisał choremu jakiś lekarz poczciwy. Myśl ratunku pokrzepiła jéj siły. Chwyciła za receptę i wzbiegła na pierwsze piętro.

Pan Kulesz odczytywał właśnie po raz dziesiąty, nadesłany list z Paryża i po raz dziesiąty bladł na twarzy, gdy do pokoju weszła wdowa z receptą w ręku.

Pan Kulesz nabiegł krwią cały.

— Do kata! krzyknął i tupnął nogą, czego chcesz odemnie kobieto?

Wdowa zadrżała od przestrachu, nic nie wyrzekła, tylko wyciągnęła rękę i okazała receptę.

— Recepta? znowu recepta! któż nastarczy pieniędzy! Twéj syn umrze i umrzeć musi, daremne tylko wydatki. Jest w suchotach!

— O panie dobrodzieju! zawołała wdowa, daj mu jeszcze kilka godzin życia, niech jeszcze kilkadziesiąt razy jego serce dla matki uderzy...

— Czy oszalałaś kobieto, czy co? Zkądże to wzięła się u ciebie taka miłość macierzyńska?

— Zkąd? powtórzyła kobieta, a twarz jéj okryta zmarszczkami wypiękniała. Bóg mi ją za karę wlał w serce, abym dzisiaj uczuła co to znaczy dziecię utracić!

— No i czego chcesz, czego chcesz, zawołał z złością pan Kulesz, piętnaście lat żywię ciebie, a grób nie chce się otworzyć pod tobą!

Tu pan Kulesz tupnął nogą o podłogę, aż wszystkie meble się zachwiały. Szklanki zadzwoniły w szafie, z zamkniętego salonu zaleciał jakiś jęk głuchy, przytłumiony.

Pan Kulesz się wzdrygnął, stanął, słuchał przez chwilę, a obróciwszy się szybko do wdowy, krzyknął do niéj z tem większą złością:

— Czego chcesz kobieto odemnie!

— Teraz się pytasz, czego ja chcę od ciebie, odpowiedziała wdowa, a kurcz bolesny skrzywił jéj usta, teraz się pytasz mnie, i nie pojmujesz tego, że matka pragnie kilka chwil życia dla swego syna?... Prawda, masz słuszność tak się pytać, bo i ja przed piętnastu laty, na pogrzebie mego własnego dziecka, chodziłam między ludzi i pytałam się: Czyje to dziecko chowają? Jak się nazywa jego matka? Ja, ja wyparłam się łez moich, a gdy mnie zapytano: Czego płaczesz kobieto? wszak to nie twoje dziecię! odpowiedziałam, mam takie samo dziecię i lękam się, aby i ono kiedyś mi nie umarło!...

— Jesteś szalona! piętnaście lat cię żywię, któżby cię wziął do siebie... mąż twój w kryminale umarł...

— O szczęściem dla ciebie że umarł!

— Co mówisz... zgniotę cię w moich rękach, ty jędzo piekielna...

— A potem, rzekła wdowa i zaśmiała się przeraźliwie jak obłąkana, potem sprawisz mi

pogrzeb, w aksamitnéj pochowasz mnie trumnie, tak jak pochowałeś moje dziecię... a ja, matka, nie mogłam płakać na jego pogrzebie!...

Pan Kulesz nabiegł krwią cały, rzucił się jak wściekły na wdowę. Ale ta siłą nadprzyrodzoną chwyciła go za ramię, odepchnęła od siebie, wyszła i drzwi z łoskotem zatrzasnęła. Pan Kulesz słyszał jéj stąpania po schodach i śmiech głośny, śmiech obłąkania.

W kilka chwil potem wszedł Felicjan do sieni. Rozpatrywał się po całéj kamienicy, gdzieby się mógł o mieszkaniu pana Kulesza dowiedzieć, a ztamtąd w mały kurytarzyk, prowadzący do izdebki wdowy. Otworzył zwolna drzwi... lecz cóż za okropny widok uderzył go!

Na łóżku leżał trup małego chłopczyny, koło łóżka klęczała kobieta z włosem rozczochranym.

Szelest obudził ją, spojrzała ku drzwiom. Twarz jéj zajaśniała radością.

— A jesteś, krzyknęła i wyciągnęła ręce

ku niemu, jesteś mój aniele! Wypełnię, wszystko wypełnię, coś mi rozkazał! Pamiętam dobrze: kościół ładny, wielki... trzynaście schodów kamiennych... cztery figury świętych... pamiętam dobrze, jakbym się patrzała na niego!... Pójdę, zaraz pójdę, tylko wprzód syna pogrzebię... A gdzieżeś podział te ładne białe skrzydła, coś miał u ramion? A gdzie ten złoty krążek, co twoję głowę otaczał?... Powiedz Bogu, że wypełnię, co mi dzisiaj w nocy przez twoje usta rozkazał — patrz już mam szmatę!

Tu wstała od łóżka i wzięła z kąta izby węzeł starego rupiecia.

— Patrz, mam już wszystko gotowe! Pamiętam dobrze... klasztor, trzynaście schodów kamiennych... cztery figury świętych... kościół ładny, wielki... widzę go, widzę przed sobą...

Felicjan patrzał z bojaźnią na warjatkę.

— Pójdę, pójdę mój aniołeczku... tylko pogrzebię syna...

Felicjan przymknął drzwi i pobiegł na schody pierwszego piętra. Zapukał do drzwi, ale drzwi były zamknięte. Nikt nie odezwał się,

nikt nie otworzył. Poszedł na drugie piętro, poobchodził wszystkie próżne izby, ale żywéj duszy tam nie zastał.

Wrócił na dół, i wszedł do izdebki warjatki. Ale już tam jéj nie było. Ziemia w kilku miejscach była świeżo pokopana, a kilka grudek leżało na umarłym chłopczynie. Miał to być jego pogrzeb!

Przerażony, strwożony wybiegł Felicjan na ulicę. Serce drżało mu w piersi. Szedł ulicą, sam nie wiedział gdzie? dokąd? Dziwne to zdarzenie nabawiło go bojaźnią, jakieś niedobre przeczucie ogarnęło go, a on tyle potrzebował dzisiaj odwagi, tyle dobrych nadziei!...

Pan Izydor wyczekiwał od niego zbawienia, Mańcia nazwała go aniołem stróżem, Renata mówiła, że czekając go będzie płakała i modliła się, a jakież on za to wszystko zastał we Lwowie nadzieje?

Hugo wyjechał gdzieś do Niemiec, szukając ciekawych objawów magnetyzmu, aby je jak najprędzéj w system mógł ująć i całą ludzkość nowemi pchnąć tory, a Lwów cały był

dzisiaj mu obcym. Szkolni koledzy rozbiegli się gdzieś za chlebem; z ostatnim egzaminem na ławach szkolnych rozerwały się więzy braterstwa i przyjaźni; jedni weszli do ciemnych, ciasnych biór, drudzy poobsiadali dobra swoje, pobrali sukcessje i żony i zapomnieli o czasach szkolnych.

Felicjan chodził po ulicach miasta, chodził a nie wiedział za czem i gdzie, a przecież chodził dzień cały. Wreszcie nadszedł wieczór, oświecono okna w kamienicach, widział jak tu i owdzie zasiadła rodzina przy stole, bawiono się i śmiano, a on stał na ulicy, stał sam jeden, a zamiast widoku wesołéj rodziny, ujrzał dzisiaj przerażający obraz nędzy i choroby!

Wrócił do swojéj izdebki w „Kurniku.“ Rzucił się na łóżko, aby noc prześnić, a z dniem nowym nowéj zaczerpnąć nadziei. Lecz cóż to za sny trwożyły go dzisiaj!

Widział Renatę w czarnéj sukni, ubraną w polne kwiaty. Stała nad tą samą kładką, przy któréj ją był pożegnał, a zpod jéj nóg

usuwał się brzeg, potok wzbierał, a w dali słychać było łoskot piorunu. Ksiądz Daniel stał w oknie i śpiewał jakąś pieśń pogrzebową... a gdy w najwyższéj trwodze chciał Renatę wziąć za rękę, nie mógł jéj ująć, bo Renata nie miała ciała! Było to jakieś widmo eteryczne, czarna chmura spuściła się ku niéj i wzięła ją z sobą. On stał i patrzał jak do nieba wionęła, a dzwony kościołka dzwoniły jéj na drogę... Izydor siedział w ganku z lulką w ustach, ale siedział nieruchomy jak posąg.

Pająk przyczepił nić do jego głowy i prządł pajęczynę. Mańcia siedziała blada jak statua z kości słoniowéj, tylko oczy jéj żyły, a te oczy patrzały na niego z wyrazem gorącéj prośby: Bądź naszym aniołem-stróżem! Dworek ten w którym tyle przyjemnych chwil życia przeżył, pochylił się, okna wypadły, stare lipy zwiędły i uschły! A Hugo śmiał się z niego śmiechem obłąkanego, pokazywał mu chmury na niebie i mówił: Patrz, oto świat duchów, tam inne życie, tam nie zawionie żaden proch ziemi, pocóż się mamy tutaj tarzać w tym pro-

chu i brać go na siebie, jak jéż owoc opadły?.. A wszystko to jest prochem, którym porusza prąd magnetyczny...

Wreszcie nastał dzień, Felicjan przemknął ręką po czole, jakby chciał ztamtąd odpędzić mary nocne, i począł myśleć nad tem, co dzisiaj miał uczynić. Najwięcéj ciężyła mu na sercu sprawa pana Izydora. W téj zaś mógł tylko pan Kulesz poradzić. Zebrał się więc i udał do niego.

Pan Kulesz był dzisiaj bledszy, oczy miał czerwone, ale jakiś uśmiech zadowolenia igrał po jego twarzy. Na widok gościa wstał z krzesła i szybko ku drzwiom poskoczył.

— Jakże się miewasz mój panie dobrodzieju, zawołał z wyrazem największéj radości, ściskając Felicjana za rękę, jakże się miewasz, dawno przyjeżdżasz... dziękuję, uniżenie dziękuję za łaskawą pamięć pana dobrodzieja... sto razy dziękuję... proszę, proszę...

Mówiąc to chwycił za klucz od salonu, i już drzwi otworzył, gdy Felicjan nagle mu przerwał.

— Składam więc uszanowanie panu dobrodziejowi i przychodzę prosić jego łaski...

— Suplikant, pomyślał sobie pan Kulesz, i przymknął drzwi salonu, — a pan masz prośbę, to proszę...

Tu podsunął suplikantowi krzesełko dreliszkiem obite, sam siadł na sofce. Biedny Felicjan przez swoję porywczość pozbawił się widzenia salonu, ale jemu nie szło o honory, ale o pomoc dla pana Izydora.

— Pan dobrodziéj przypominasz sobie pana Izydora, w którego domku tak gościnne znalazłeś przyjęcie...

— A, pan Izydor, zawołał gospodarz, to złoty człowiek! Poczciwiec jakich rzadko!..... Proszęż pana, jakże się miewa pan Izydor?... Zdrów, wesół, facecjonat, jak zawsze!

— Przeciwnie panie dobrodzieju. Ma wielki smutek i zmartwienie...

— Czy córka która zasłabła?... Poczciwe stworzenia, jedna w drugą!

— Wszyscy Bogu dzięki, byli zdrowi i weseli, aż w tem z jasnego nieba spada...

— Grad, grad! O to wielkie nieszczęście! Zapewnie i mnie się coś dostało! Hej, mój Boże, dzisiaj majątek to plaga Boska! Człowiek nie ma nic z tego, a kłopotów co niemiara!

— Wcale nie grad, ale pozew spadł na biednego pana Izydora.

— Pozew actio... proszę pana... to rzecz nowa... arcydziwna...

— Pozew o jakąś tam odwieczną pretensję i nieprawne posiadanie.

— A co! nie mówiłem? nie mówiłem?..... Przeczuwałem to już dawno! Bo też pan Izydor tak sobie żyje, jakby nie wiedział, jaki to świat dzisiaj. Mówiłem nieraz, prosiłem, błagałem... otóż masz teraz!

— Czyby pan dobrodziéj nie wiedział jakiego sposobu, aby tym poczciwym ludziom dopomódz?

— Hm, sposobu... to trudno, bardzo trudno... zresztą dałoby się widzieć... a czy nie próbował pan Izydor wejść w układy?

— Według niego są te pretensje najniesłuszniejsze w świecie.

— Dobrze, dobrze... mogą być niesłuszne, ale jest czarno na białem, est littera juris!

— Długi te są dawno spłacone, tylko kwity...

— Ba! zawołał pan Kulesz, a oczy jego błyszczały z radości, czegóż więcéj potrzeba? A dokument dziedzictwa?...

— I tego niestety nie posiada pan Izydor...

— Otóż to jest nasza choroba! rzekł pan Kulesz i wstał z sofki, w niczem ani za grosz porządku! Byle z dnia na dzień!

Mówiąc to przechadzał się pan Kulesz po pokoju i nie mógł wstrzymać uśmiechu, który gdzieś z głębi śmiejącéj się duszy na twarz się dobywał. Kilka chwil milczenia upłynęło. Felicjan westchnął, dwie łzy zakręciły się w jego oczach.

— Czy sądzi pan dobrodziéj, że dla pana Izydora niema ratunku?

— Komplanacja, komplanacja! nic więcéj. Zresztą dowiem się w sądzie...

Felicjan odetchnął, promień nadziei wszedł do jego duszy. Teraz miał mówić o sobie.

— Jeszcze jednę mam prośbę, ale tę od siebie...

— Służę, służę, co można będzie, rzekł p. Kulesz stając na środku pokoju.

— Skończyłem prawo i chciałbym teraz wejść w praktykę.

— Chwalebnie, bardzo chwalebnie... i to muszę panu powiedzieć, że juristerja dzisiaj bardzo intratna, można przyjść do majątecz-ku... bo to widzisz pan, zbierają się teraz dokumenta, porządkuje się tabela...

— Szczęśliwym byłbym, gdybym pod okiem tak znakomitego jurisprudenta mógł rozpocząć mój zawód...

— To jest, pan chciałbyś u mnie praktykować. Ale muszę panu powiedzieć, że ja już wyszedłem dawno z palestry, czasem tylko własny jaki interesik, lub dla przyjaciela..... No, zresztą dałoby się tu co zrobić. Będzie zawsze coś do pisania. Obciążają mnie różnemi sprawami, to dla ubogich, to dla wdów, to dla sierot... Ale koniec końców niewielebym panu mógł ofiarować, bo to juristerja dzisiaj już nie tak popłaca... Masz pan utrzymanie?

— Nie mam.

— To źle, ale i to dałoby się jakoś zrobić. Dam panu mieszkanie, kuchni sam nie mam, a przy sposobności zawsze może panu coś kapnąć.

Felicjan namyślał się chwilę, roztarł dwie łzy w oczach, w końcu wstał, i za tak wielką szlachetność serdecznie panu Kuleszy podziękował. Pan Kulesz wyprowadził go zaraz na drugie piętro i okazał mu jego izdebkę, do któréj mógł sobie wybrać meble z starych, porzuconych tam gratów.

Z lekszem sercem, mógł dzisiaj Felicjan śnić o Renacie i panu Izydorze. Ustaliwszy się w domu pana Kulesza mógł dla Izydora wiele uczynić, a przynajmniéj dopomódz mu w processie. I dla niego uśmiechała się lepsza przyszłość. To téż śnił dzisiaj słodko i cudownie, tylko nad ranem strwożyło go widmo warjatki. Widział jéj twarz okropnie wypotworzoną, oczy paliły się jak dwa kagańce, z ust wymykał się płomień. Podniosła rękę i groziła mu... w téj chwili zaszczebiotał na oknie pta-

szek, Felicjan się zbudził, przetarł oczy, i zdawało się mu, że ktoś z izdebki wyszedł, że dopiero drzwi co skrzypnęły...

VIII.

Smutny to był czas dla mieszkańców Karpat. Pan Izydor potrzebował coraz więcéj pociechy w nieszczęściu swojem, a szukał ją u najbliższego sąsiada księdza Daniela. Ścieżka przez góry, od niejakiego czasu już chwastem porosła, odnowiła się i bielała jak wstążka, wiązała z sobą dwa serca przyjazne. Mańcia także codziennie musiała być u Renaty, a wpatrując się w jéj piękne czarne oczy, myślała sobie w duchu: Dlaczegóż, nie ma jéj kochać? ona ładniejsza odemnie! Wprawdzie nie obeszło się przy tem bez westchnienia, a czasem nawet bez łzy, ale Mańcia umiała panować nad niespokojnem swojem serduszkiem i na-

kazać mu milczenie. Dobrze że się tak stało, kończyła swoją rezygnacją, on niebyłby ze mną szczęśliwym!

I z każdym dniem przywiązywała się więcéj do wychowanicy plebana, pokazywała jéj kwiatki w swoim ogródku, chodziła z nią po górach, patrzyła w te stronę gdzie Lwów leży i pytała się razem z Renatą co téż w téj chwili Felicjan tam robi? I obie zgadywały, obie cieszyły się, że mogły o nim mówić. A gdy Renata nagle posmutniała, Mańcia rzuciła się jéj na szyję, pieściła się z nią i całowała, a wpatrując się w jéj czarne oczy, myślała sobie: W tych czarnych oczach znalazł Felicjan szczęście dla siebie, te ładne usta, które całują, wypowiedziały mu tajemnicę serca, która u mnie zmartwiała... on tak kiedyś pieścić się z nią będzie, a o mnie wiedzieć nie będzie, żem mu część tych pieszczot odkradła!...

Renata potrzebowała przyjaciołki, którąby ją pojąć mogła. Kobieta gdy nie głową ale sercem kocha, nie może się obejść bez powierniczki. Ona się musi zwierzyć z każdéj

błogiéj doznanéj chwili, z każdego snu, z każdéj choćby tylko urojonéj boleści. Musi wydobyć z siebie to, co jéj pierś rozpiera, złożyć na łonie przyjaciółki, i rzec jéj: Patrz oto kwiaty moje i ciernie moje! Tamte takie ładne, takie cudne, a te tak bolą!...

Starsze siostry Mańci, przekonawszy się ostatecznie, że w takim stanie rzeczy, nigdzie „bywać nie można, weszły także na ścieżkę która przez góry do plebanji prowadziła, a po kilku wizytach zeszły się jednocześnie w tem zdaniu, że przy rozmowie z księdzem Danielem czas szybko i pożytecznie upłynąć może, a daleko przyjemniéj niżeli z panią Kłosowską. Panna Teresa witając je u siebie, myślała sobie zawsze w duchu: kiedy trwoga to do Boga, gdy się państwo kończy, to się w ludziach nie przebiera... ale zawsze witała je szczerze i serdecznie i zawsze miała pod ręką jakąś historyjkę, którą z daleka dowodziła, że Opatrzność Boska czuwa nad niewinnemi.

Inaczéj jednak sądził o tem ksiądz Daniel. Ośmdziesięcioletni starzec widział wiele rze-

czy na świecie. Widział cnotę w ucisku aż do deski grobowéj, widział ją prześladowaną aż poza grób, a nieprawość tryumfowała, odziała się przed ludźmi szatą niewinności, a ludzie przyklaskiwali jéj. Nie jedną noc bezsenną strawił rozmyślając nad skrytemi drogami Boga i rzadko kiedy mógł dopatrzyć palca, który tem wszystkiem kierował! Tylko silna, żelazna wiara w nieomylność tych dróg Boskich mogła go ukoić, mogła go w głębi duszy pocieszyć, że tak Bóg zrządził, że temi drogami prowadzi człowieka do wielkich lecz skrytych zamiarów swoich. Otóż patrząc na bolejącą rodzinę, nie miał dla niéj słów pociechy doczesnéj, a wiedział dobrze, ile ludziom żyjącym na ziemi takiéj pociechy potrzeba, jak mało wystarcza im pociecha, która za grobem dopiero okazuje im rękę sprawiedliwego Boga!....

Zwolna tedy przygotowywał te rodzinę na jakiś cios nieprzewidziany, a jako wódz doświadczony uczył ją, jakiéj zbroi w takim razie najlepiéj używać, jaką tamą osłonić serce, aby nie pękło!

Pan Izydor po swojemu zapatrywał się na to swoje nieszczęście. Rozmyślając nad niem po całych nocach, wyrobił w sobie pewną rezygnację, która świadczyła o dobrym gruncie, jaki był w jego duszy. Nie lękał się stracić fortunę doczesną, nie rozpaczałby wcale, gdyby go ogień spalił, gdyby woda wszystko zabrała, gdyby w jednéj koszuli musiał wyjść z swego majątku, ale bolało go, żeby podstęp ludzki czy raczéj szatański mógł w obec całego świata odnieść zwycięztwo nad dobrą sprawą, aby w całem prawie, na jakie tylko ludzkie rozumy zdobyć się mogły, nie było miejsca któreby podobny podstęp zniweczyć mogło. To zapatrywanie się na swoją sprawę zaprowadziło go do tego, że nietyle szło mu o majątek, ile o wygrany proces. A znalazłszy u księdza Daniela stare pandecta, począł się w nich z rozkoszą rozczytywać i szukać paragrafów na swoją obronę. Tak więc zwolna, nie wiedząc sam o tem, postępował pan Izydor na drodze, która poczciwego szlachcica przeistaczała na zapalonego palestranta.

Wiele bardzo polegał na Felicjanie i co tygodnia pisywał do niego arkuszowe listy, z najdziwaczniejszemi wnioskami. Felicjan odpowiadał mu znowu i zdawał sprawę z procesu. Listy Felicjana były czytane z wielką rozkoszą w dworku pana Izydora, a biedna Mańcia po każdym takim liście miała noc bezsenną. Felicjan pisywał także do księdza Daniela, a dla całéj plebanji był taki dzień dniem świątecznym.

Tymczasem w kościołku Skaliskim pracowano bez przerwy. Kolumny wielkiego ołtarza już błyszczały świeżą pozłotą. Co niedziela patrzała z radością uboga gromadka, jak złocenie postępowało, a proste ich serca unosiły się dumą, że i w miejskim kościele piękniejszego nie będzie ołtarza. Ksiądz Daniel cieszył się pobożnością swojéj gromadki i chwalił Boga, że mu pozwolił zrywać owoce z drzew, które własną ręką zaszczepił i pielęgnował. A była to praca półwiekowa! Ileż to ludzi naszego czasu, wzdrygnęłoby przed takiem poświęceniem się, które tak późno wy-

daje owoce! Dzisiaj mamy żelazne koleje, które w mgnieniu oka na wszystkie strony świata rozwożą patentowane idee ku zbawieniu ludzkości!

Mimo tak dotkliwego ciosu nie chciał pan Izydor w tyle pozostać, i już to dosyć go gniewało, że Skaliskiéj gromadzie dał się wyprzedzić. A gdy mu ksiądz Daniel przedstawiał, że w obec takiego nieszczęścia, wcale nie byłoby grzechem, gdyby od przedsięwzięcia odstąpił i grosz swój na nieprzewidziane, gorsze czasy zatrzymał, ofuknął go pan Izydor mówiąc:

— Toż chcesz abym w tak ważnéj sprawie gdy sędziowie ziemscy zasiadają wkoło stołu, dla wydania wyroku, naraził sobie tego sędziego który jest w niebie? Nie, właśnie dla tego dotrzymam ślubu, a tem okażę Bogu moją wiarę, że nieprawość tryumfu nie odniesie!

Ksiądz Daniel westchnął, a z codzienną modlitwą swoją zasyłał także do Boga gorące słowa, aby od poczciwéj rodziny odwrócił grożące jéj nieszczęście!

Tak minęło kilka miesięcy.

Jednego wieczora już w późnéj jesieni zajechała bryczka przed ubogą plebanję. Niski, dobréj tuszy mężczyzna o małych zielonych oczach a czerwonych włosach wszedł do izby i zapytał się o księdza Daniela. Staruszek siedział w dużem krześle, bo z nadchodzącą dżdżystą porą począł cierpieć na nogi.

Gość przedstawił się jako Łukasz Hetka pełnomocnik pana X. w którego interesie tu przyjechał, aby obejrzyć wioskę pana Izydora i ją oszacować. Spodziewał się, że wkrótce sprzedaną będzie w drodze licytacji, a pan X. życzy sobie ją nabyć.

Wiadomość ta uderzyła między mieszkańców plebanji jak piorun z nieba. Ksiądz Daniel przeżegnał się i w duchu począł mówić modlitwę, Renata załamała ręce i westchnęła do Boga, a panna Teresa wyszła czemprędzéj do alkierza, aby przed obcym człowiekiem nie płakać.

Pomimo zmroku poznał pan Hetka, jakie wrażenie zrobiła ta wiadomość. Pan Hetka

miał dobre, wyćwiczone oko, bo będąc niegdyś celnikiem przy miejskiéj rogatce, miał także poruczone sobie różne inne poboczne obowiązki, które na tem stanowisku dały się razem połączyć. Zaraz więc obaczył, że wrażenie to trzeba czemś zmoderować. Mówił tedy wiele na korzyść pana Izydora i jego procesu, wątpił nawet, aby do tego przyjść miało, i stanowczo oświadczył, że wypełniając tylko wolę swego pana, podjął się tak nieprzyjemnéj wyprawy. To właśnie spowodowało go, że tutaj pierwéj zajechał, aby i tak biednéj rodziny nie zatrwożyć.

Tym sposobem znalazł drogę do serca wszystkich mieszkańców plebanji. Panna Teresa z zapłakanemi oczami wyszła z alkierza, i prosiła go, aby usiadł, Renata zbliżyła się do niego aby może coś o Felicjanie się dowiedzieć, a ksiądz Daniel mimo bólu w nogach podniósł się z krzesła i serdecznie go za rękę uścisnął.

— Dziękujemy panu, rzekł do niego, dziękujemy za wzgląd, który okazałeś dla nie-

szczęśliwéj rodziny. Boże zachowaj ją od tego nieszczęścia! Mam ufność w Bogu, że ten kielich odwróci od niéj!

Pan Hetka był tego samego co i ksiądz Daniel zdania i te same miał nadzieje. Długo i szeroko rozmawiano o tym nieszczęsnym procesie, opowiadano wszelkie szczegóły, a pan Hetka składał ręce i wznosił oczy do nieba, aby tak poczciwy człowiek marnie nie zginął.

Zaledwie kilka godzin upłynęło, zaledwie panna Teresa mogła przed gościa zastawić jakiś posiłek, już pan Hetka tak był w plebanji swobodnym, jakby z mieszkańcami był zjadł beczkę soli. Wszyscy dziękowali Bogu, że im tak przyjemnego gościa nasłał, a panna Teresa przebaczyła mu nawet że miał czerwone włosy, które zrazu tak niemiłe na niéj uczyniły wrażenie.

Pan Hetka rozglądał się po całéj plebanji. Długi czas, chociaż z ukosa tylko przypatrywał się Renacie. A gdy Renata wyręczając gospodynię do kuchni wyszła, aby o wieczerzy pomyśleć, przysunął się pan Hetka do ks.

Daniela i zręcznie rozmowę do Renaty nakierował. Ksiądz Daniel miał już uprzedzenie dla pana Hetki, więc opowiedział mu historję Renaty o tyle, ile tego koniecznie była potrzeba, a co poczciwa panna Teresa swemi uwagami dostatecznie uzupełniła. Co wysłuchawszy z uwagą pan Hetka rzekł po chwili:

— Ładna i przyzwoita dziewczyna...

— A jak w głowie! przerwała panna Teresa, sto razy mędrsza odemnie! Co ona wie, a co umie!

— Czasby panience iść za mąż, dorzucił znowu pan Hetka.

Ksiądz Daniel i panna Teresa westchnęli. Była to dla nich myśl bardzo bolesna.

— A przy swojéj urodzie, i jak pani mówi, przy swoim rozumie..... ciągnął daléj pan Hetka.

— W ręku Boga jéj przyszłość. My tylko modlić się możemy, aby ta jéj przyszłość była szczęśliwa, rzekł ks. Daniel.

— Gdyby ją poznał jaki pan wielki, mogłaby zrobić szczęście, napomknął znowu pan Hetka.

— Jakto pan rozumiesz, rzekł niespokojnie ksiądz Daniel.

— Ożenić się, ożenić mógłby się, dodał szybko pan Hetka zacierając złe wrażenie.

Ksiądz Daniel ruszył głową, a panna Teresa spojrzała na niego z znaczeniem.

— Jużto ja nieraz o tem księdzu bratu mówię, podjęła po chwili, nawet ciągle śnią się mi jacyś wielcy panowie, którzy do niéj w karecie przyjeżdżają, a Renata także ciągle widzi we śnie złocone komnaty...

— Vanitas vanitatum! ozwał się na to ks. Daniel, wy kobiety nie możecie sobie wyobrazić szczęścia bez karety i złoconych komnat! A wierz mi Tereso, szczęście nie zawsze jeździ karetą, a rzadko w złoconych mieszka komnatach!

— Jużto także prawda, odpowiedziała p. Teresa, która bratu w niczem sprzeciwić się nie mogła, bo jego zdania uważała za wyrocznią, jużto prawda, dlatego ja bardzo cieszę się z tego, że Renata przywiązała się do ubogiego chłopca.

— Czy Renata już rozrządziła sobą? zapytał zdziwiony Hetka.

— Ot tak..... bo to widzisz pan... cedziła przez zęby panna Teresa, dopóty dopóki wszystkiego do ostatniéj kropli nie wycedziła, bo to widzisz pan... tego roku w lecie przyjechało tutaj dwóch panów, jeden z nich ubogi, ale poczciwy, serdecznie poczciwy człowiek. Otóż Renata bardzo go polubiła, ksiądz Daniel także... ja go bardzo lubię... bo to żebyś pan go widział, słodki jak cukier!

— Czy można się zapytać, co to za taki? pytał pan Hetka.

— Ubogi, ale skończył szkoły i jak mówi ksiądz Daniel, skończył bardzo dobrze..... za kilka lat będzie miał dobry kawałek chleba... Nazywa się Felicjan...

— Pan Felicjan? aplikant u pana Kuleszy? rzekł z ciekawością Hetka.

— A widzisz pan, toż go znasz, prawda, że poczciwy człowiek?... A Renata, mówiąc między nami, aż zaślepiona w nim! Biedna sierota, codziennie płacze, tak jéj tęskno za nim!

— Prawda że poczciwy, ale biedny, biedny, a dziś nie zaraz przyjść do majątku! Złe czasy, bardzo złe czasy! Zdaje mi się, że majętny jaki kawaler... cedził zwolna p. Hetka.

Panna Teresa spojrzała wymownie na księdza Daniela. Biedna! ona nieznała uczucia miłości, dla niéj, ubogiéj, był dostatek najwyższem szczęściem na ziemi! Ale ksiądz Daniel zmarszczył brwi, a Teresa połknęła słowo, które już na ustach miała.

Wtem weszła Renata, a rozmowa się urwała.

— Słnchaj Renato! zawołała z radością panna Teresa, pan Hetka zna Felicjana.

Renata zadrżała, oczy jéj błysły ogniem. Przystawiła krzesełko do pana Hetki, utopiła w jego twarzy czarne, łzami zwilżone oczy, a każde słowo dotyczące się Felicjana padało jéj wprost do serca. Biedna sierota! Wychowana w odludnéj ustroni, wykołysana śród szumu lasów karpackich, wychowanka gór i wichrów, nastroiła serce wielką smutną melo-

dją, a takie serce tak rade miłości, tak szalenie kocha! Weź mu to uczucie, a pęknie!...

Długo w noc ciągnęła się rozmowa. Przenocowawszy pożegnał pan Hetka gościnną plebanję, a nabrawszy ukłonów i pozdrowień do Lwowa co niemiara, odjechał ze Skalisk.

W pół godziny stanął przed gankiem pana Izydora.

Pan Izydor był jakoś w niedobrym humorze. Dzień był mglisty, siejba szła leniwo. — Rozczytując się w pandektach i szukając przychylnych sobie paragrafów, zaniedbywał gospodarstwo. Spostrzegłszy to, gniewał się i sarkał na wszystkich, co mu w drogę wleźli. Na taką złą chwilę trafił pan Hetka.

Widząc go pan Izydor wchodzącego do pokoju, już się był jego czerwoną głową zgorszył, a gdy do tego ujrzał na téj mopsiéj twarzy słodko-złośliwy uśmiech, stracił zimną krew, i założywszy w tył ręce, zawołał:

— Czego aspan tu potrzebuje?

Rozgniewała i upokorzyła gościa taka niespodziewana haranga, a poczerwieniwszy się

po uszy, i zapomniawszy o przyjętéj roli swojéj, odrzekł:

— Darujesz pan dobrodziéj, że tak niemiłym muszę być gościem. Przychodzę rozglądnąć się w inwentarzu i w gruntach wioski, na któréj pan siedzisz, aby przy nastąpić mającéj licytacji...

I niedomówił biedny pan Hetka, bo gesta pana Izydora tego niedozwoliły.

Pan Izydor bowiem widział w panu Hetce jednego z swoich adwersarzy, z którym proces prowadzi. Wszystka więc krew uderzyła mu do głowy, aż posiniał. Podniósł dwie pięście do góry i już chciał się wziąć do czerwonéj swego gościa głowy, gdy sobie nagle przypomniał, że to się dzieje w jego domu. Więc zamiast do głowy, przytknął tylko do jego nosa te pięście i wrzasnął głosem gromowym:

— Słuchaj łotrze! gdybyś nie był progu mego przekroczył, gdybyś nie stał tu w téj izbie, w któréj z pradziada czczono gościnność polską, tobym ci był z najczystszem sumieniem rozbił ten łeb czerwony, i te nogi koszlawe połamał!

I chcąc dać dowód wystarczającéj siły swojéj, czy raczéj niepohamowany gniew swój wywrzeć na rzeczy nieszkodliwéj, chwycił za drzwi, odłupał z nich kawał i w trzaski podrobił.

Widząc to pan Hetka czemprędzéj umknął do sieni, a wskoczywszy na bryczkę, czwałem jechać rozkazał.

W tydzień potem stał Hetka przed panem Kuleszem i zdawał sprawę z swojéj missji, a mówiąc o panu Izydorze, wyrażał się z wielką ostrożnością, oglądając się poza siebie.

IX.

Minęła zima. Zbyt krótką wydała się tym, którzy ją przetańczyli, a jakże długą była ona dla kochanków, którzy się z sobą widzieć nie mogli! Felicjan pracował po całych dniach, a po całych nocach śnił i marzył, układał sobie, i w najdrobniejsze podzielił rozdziały całe życie swoje, które widział tak piękne, tak szczęśliwe! Co tydzień miał list od księdza Daniela, a sędziwy staruszek chociaż drżącą od starości ręką, tak jakoś umiał go pisać, że więcéj było w nim słów Renaty, niżeli własnego jego konceptu. Czytając je poraz setny, podziwiał Félicjan księdza Daniela, który młodzieńcowi wcale z niczem się nienarzucał, a jednak

w każdym wierszu, było coś, co mu piękną duszę Renaty coraz więcéj odsłaniało.

W jednym z ostatnich listów, w jakiémś smutnem przeczuciu, między innemi pisał mu ks. Daniel:

.....Czuję, że z każdym dniem siły mnie opuszczają, szybko pochylam się do grobu. Stare wiekowe drzewo nie schnie, nie więdnieje powoli, ale upada nagle, trącone podmuchem wiatru. Rdzeń jego wypróchniał z starości, tylko kora trzymała je, tylko kilka zielonych listków świeciło się na niem. Lękam się aby tak zemną się nie stało, a lękam się z dwóch przyczyn. Raz, że pragnę cię widzieć u celu twego szczęścia, patrząc na was oboje szczęśliwych chce zamknąć powieki, a stając przed tronem Boga, powiedzieć Mu: Pokłon Ci Boże! za pociechę w godzinie śmierci mojéj odchodząc bowiem z ziemi, zostawiłem dwoje ludzi szczęśliwych... Druga przyczyna mego smutku jest daleko większa, bo tyczy się mego powołania. Zostawiłbym ubogą gromadkę bez pasterza, a nie wiem który z dzisiej-

szych ludzi, prawiących szeroko o poświęceniu się dla bliźnich, chciałby zstąpić z wysokości mównicy swojéj w tę ustroń odludną, któréj widokrąg na piędzie rozmierzyć można!... To zaprawia goryczą dni moje, bo w ludziach dzisiejszych więcéj widzę szumu i ostentacji niżeli prawdziwéj miłości bliźniego, która tylko tam działać może skutecznie, gdy zamiast całego ogromu ludzkości, tylko kilkunastu braci naszéj do serca przyciśniemy!... Felicjanie! gdy ci kto powie, że kocha całą ludzkość, że jest w stanie każdym razem za nią się poświęcić, a niema kilku ludzi w koło siebie, na którychby dowiódł téj swojéj miłości, Felicjanie! ten kłamie! ten jest faryzeuszem! Nie ludziom świat zbawiać, Bóg go zbawił! Ludzie to robotnicy jego, przed nimi jest rola i narzędzia, do nich należy wziąć te narzędzia do ręki, rozdzielić rolę między siebie, a gdy każdy na swojéj grządce pracować będzie, cała rola wyda plon obfity! Więcéj pracowników a mniéj rządców! Ale przy naszéj pysze któż chce być robotnikiem?... Felicjanie, ta myśl zatruwa

mi ostatnie dni moje, a przebacz staremu, jeźli z ust jego wyszła skarga Joba! Pan mnie zasmucił, i Pan mnie pocieszy!..! Pan nie opuszcza tych, co weń wierzą, a gromadka moja jest wierną..."

Takiéj był treści list, który Felicjan poraz dziesiąty właśnie był odczytał. Długo myślał o nim, myślał o mieszkańcach plebanji, o ubogiéj gromadce, a gdy znużony myślami oczy zamknął, stanął mu jakiś dziwny obraz przed duszą. Widział plebanję pustą i smutną, stopnie prowadzące do kościołka zarosły chwastem, a kilku starców z gromady klęczało na cmentarzu pod czarnym krzyżem i odmawiali pacierze. W kościołku było głucho, okna wiatr powybijał i brzęczał potłuczonemi szybami!...

Felicjan oczy otworzył i cały drżący przystąpił do okna. Było już daleko na dzień, a nim jeszcze mary nocne mógł od siebie odpędzić, otworzyły się drzwi izdebki, a służący pana Kulesza, przyniósł mu list z poczty.

Prędko rozerwał pieczęć, lękał się jakiegoś nieszczęścia. Tymczasem tylko zdziwienie wycisnęło się na jego twarzy. List był od Mańci.

Biedna dziewczyna przełamała wszelkie szranki przyzwoitości, a z każdego wiersza widać było, ile ją to kosztowało. Co słowo napastowała ją myśl: Co on sobie o mnie pomyśli! Usiłowała wytłumaczyć się z czegoś co w jéj piórze zostało. Pisała mu między innemi:

.....Frania i Rózia były koniecznie tego zdania abym do pana pisała. Przez trzy dni kłóciłam się z niemi, a nawet niegrzeczną byłam dla Frani, ale przecież mnie przemogły. Pytałam je dla czego one nie piszą, a one mi na to mówią, że ja mam najwięcéj łaski u pana. Nie wiem, czem sobie na to zasłużyłam, ale one tak mówią. I jakoś myśląc o tem, jak tu pan był między nami i z nami się bawił, ośmieliłam się pisać do pana... O mój panie Felicjanie! jabym nietylko pisała, ale piechotą poszła do Lwowa, a gdybyś pan mnie widział płaczącą, tak jak tutaj codzień płaczę, zrobiłbyś wszystko w świecie, o co bym tylko pana prosić mogła! Choć to wszystko nie dla mnie, ale dla naszego ojca.... Nie uwierzysz panie Fe-

licjanie, jak się nasz tatuńcio zmienił od tego czasu. Siedzi po całych dniach nad jakąś grubą książką, i myśli o tym nieszczęsnym procesie. Widzi zawsze jakieś straszne postacie przed sobą, i mówi do nich jakby do ludzi żyjących: Ustąpię wam się, ustąpię, wezmę dzieci i kij żebraczy i żebrać pójdę! Wtedy łzy płyną mu z oczu i zaczyna płakać jak dziecko. Chodzi po wszystkich kątach dworu i niby żegna się z niemi, tak jak to na wsi robią wieśniacy, gdy śmierć przeczuwają. Panie Felicjanie! nam łez już w oczach nie staje... niejaki pan Hetka był przedwczoraj na plebanji i mówił, że cały ten proces od pana zależy..... że pan jeźli tylko zechcesz, możesz nas wyrwać z tego nieszczęścia. Nie wątpimy o szlachetnem sercu pana, dajesz nam ciągle tego dowody, a jeźli to prawda co pan Hetka mówił, to już dzisiaj byłabym wesołą i rzekłabym wszystkim: Pan Felicjan nas pewnie wyratuje. Sprawia mi to jednak ulgę, jeźli pana proszę. Ratuj nas pan, bądź naszym aniołem-stróżem. Renata łączy swoje prośby z moje-

mi, ona na pół z nami cierpi, ze mną razem płacze, a obie patrząc na tę siną górę mówimy do siebie: Tam Lwów, ztamtąd przyjdzie szczęście nasze!...“

Felicjan nie mógł doczytać tego listu, serce pękało mu z bólu. Widział nieszczęście ciążące nad tą poczciwą rodziną, ale jakże je odwrócić? Nie mógł pojąć, jakim sposobem mogłoby to od niego zależyć, aby téj rodzinie dopomódz, a raczéj z nieszczęścia ją wyrwać? Coby dał za to, gdyby mógł tego dokazać! — Lecz jakież środki miał do tego? Ubogi, nie mając nigdzie wpływu, cóż mógł dla niéj uczynić?... Renata łączy prośby swoje... jakże tym prośbom zadość uczynić? Biedna Mańcia! On czuł jéj serce bijące gwałtownie, na jego ręku świeciła jéj łza gorąca... cóż on jéj na ten list odpowie?...

Chodził po izdebce, szukając klucza do téj tak trudnéj zagadki, ale nie mógł go znaleźć.

Tymczasem na pierwszem piętrze tuż pod nim, odbywała się ważna narada. Pan Kulesz już od rana był jakoś w niezwykłym humorze,

szerokim krokiem przechadzał się po pokoju i od czasu do czasu spoglądał na jakieś pismo leżące na stole, formy urzędowéj. Koło progu stał rudowłosy pan Hetka.

— Więc mówisz, że ładna dziewczyna, kończył naradę z swoim ajentem pan Kulesz.

— Ładny wzrost, oczy czarne, twarz blada, ściągła... recytował ajent jak z rejestru.

— Tak wyglądała jéj matka, mówił do siebie pół głosem pan Kulesz i obejrzał się szybko, czy Hetka tego nie usłyszał.

— Mogłaby nawet i w karecie jeździć, dodał ajent, jakby stworzona na panią. Panu dobrodziejowi zazdrościłby cały świat takiéj żony.

Pan Kulesz stanął przed zwierciadłem, uśmiechnął się do siebie, a obróciwszy się do drzwi, serdecznem ściśnieniem ręki pożegnał ajenta.

W téj chwili wszedł Felicjan do pokoju.

— O dobrze, żeś pan przyszedł, panie Felicjanie, zagadnął słodziutko pan Kulesz biorąc go pod ramię i prowadząc do salonu. Do-

brze żeś przyszedł, bo mam o czemś ważnem z panem pomówić.

Felicjan zdziwił się niemało; nigdy jeszcze nie był dla niego pan Kulesz tak słodkim, nigdy jeszcze nie zaprowadził go aż do salonu. Z wielkiem więc oczekiwaniem patrzał na niego. Pan Kulesz zaczął:

— Więcéj niż pół roku jesteśmy z sobą, powinniśmy byli siebie poznać. Nie wiem jak pan mnie osądziłeś, chociaż starałem się, abyś pan o mnie niezgorsze miał wyobrażenie.

Felicjan powiedział panu Kuleszowi kilka gorących komplimentów, mimo że izdebkę miał nadzwyczaj zimną.

— Dajmy pokój komplimentom, chociaż to z mojéj strony szczerze wyznać muszę, że w panu poznałem człowieka prawego z pięknem, szlachetnem sercem...

— Gdyby i tak było w istocie, rzekł na to Felicjan z cierpkim uśmiechem, na cóż nam tych przymiotów, jeśli środków nie mamy po temu?

I zabłysła łza w jego oku; przypomniał sobie nieszczęście pana Izydora.

— Otóż właśnie o tem z panem mówić chciałem, odpowiedział pan Kulesz, przysuwając krzesło. Niema większéj boleści na świecie, jak mieć szlachetne serce, widzieć cierpiących, nie mając środków dopomódz im!

— A jakże temu zaradzić?

— Postarać się o środki. A tyle dróg mamy do tego! Ot, naprzykład zaproponowałbym panu jednę...

— Proszę, słucham.

— Jest to dobry interesik. Pan Izydor jak panu wiadomo, ma proces, który dla biednego tem się skończy, że go z majątku wypędzą.— Niema ani świstka dokumentu, a tu są pretensje czarno na białem...

— Ach panie! zawołał Felicjan, gdyby téj rodzinie...

— Te pretensje mógłbym nabyć dla pana za bagatelkę, którą z czasem dałoby się spłacić. Nabywszy ten proces, mógłbyś pan z Mańcią się ożenić i tym sposobem...

— Ja z Mańcią?...

— I tym sposobem wyrwać wszystkich z nieszczęścia, które nad nimi wisi...

— Mój Boże!...

— Pan Izydor bardzo panu sprzyja, a nawet wiem z pewnego źródła...

— O biedna Mańcia! teraz pojmuję...

— Mańcia formalnie kocha się w panu.

— Nie, nie, to być nie może... nigdy...

— Mógłbyś pan uratować całą familję, a to tacy poczciwi, serdeczni ludzie...

Felicjan wstał z krzesła i jak szalony kilka kroków naprzód postąpił. Łzy puściły mu się z oczu, wziął pana Kulesza za rękę i do serca przycisnął.

— Panie Kulesz, zawołał drżącym głosem, gdybyś pan czytał tu w mojéj piersi... Nie, to być nie może, to być nie może, chociaż tak bym rad im dopomógł! Bógby mię skarał za biedną sierotę!

— Ach to widzę, pan masz jakiś romansik?

— Nie panie, nie romansik studencki, podjął żywo Felicjan, ale kocham sierotę...

Pan Kulesz przerwał mu szybko:

— Nie, nie, spowiedzi nie chcę od pana, ale muszę pana na coś uważnym uczynić. Pan jesteś młodym, i ja nim byłem. I mnie snuły się po głowie podobne marzenia. Chciałem się za coś poświęcić, nad miarę sił ludzkich być szlachetny, pragnąłem jakiejś korony męczeńskiéj, słowem byłem tem samem, czem dzisiaj pan jesteś. I jakże daleko zaszedłem? Oto przy pierwszym kroku poznałem, że nic nie mam do poświęcenia. Bo świat, mój panie Felicjanie, nie pragnie nas samych na ofiarę, ale pragnie dzieł naszych, owocu pracy naszéj. A ja stałem z gołemi rękami i wołałem: Weźcie mnie, oto poświęcam się! A ludzie patrzeli na mnie i śmieli się ze mnie. I poszedłem inną drogą. Począłem pracować, zbierałem grosz do grosza i zrobiłem majątek. Dzisiaj wszystkie drogi do poświęcenia się są dla mnie otwarte. Wiele wyświadczam ubóstwu, jestem członkiem towarzystw dobroczynności i mam głos tam, gdzie idzie o dobry uczynek. A myślisz pan, żebym ten głos miał, gdybym był u-

bogim?... Otóż najlepszą masz pan porę przyjść do czegoś i to w taki sposób, że i sam siebie i drugich przez to uszczęśliwisz!

— Panie Kulesz! zawołał ze łzami Felicjan, jeżeliś pan tyle dla mnie chciał uczynić, uczyń to samo dla biednéj, nieszczęśliwéj rodziny! wróć pan im majątek, a ja...

— Nie panie Felicjanie, odpowiedział pan Kulesz, nie zwykłem nic w połowie czynić. Pragnąłem szczęścia pana i uratowania pana Izydora. Pan wzgardziłeś moją szlachetnością, a dla pana Izydora nie mam szczególnych obowiązków. Nie musi on być wart moich względów, jeżeli nie wart pańskich, jeśli obojętnie ci jest, widzieć go upadającego w przepaść z całą rodziną!

Rzekłszy to wstał z krzesła i wyszedł do pokoju, w którym pracował. A Felicjan siedział długo w salonie, nie widząc nic wkoło siebie, i nie wiedząc gdzie się znajduje.

X.

Była to wilja Wniebowzięcia N. P. Marji. Nazajutrz miał się w Skaliskach odbyć wielki odpust. Była to rocznica poświęcenia kościołka i pięćdziesięcioletnia rocznica installacji ks. Daniela. Przy téj uroczystości miała się jeszcze nie mniéj ważna odbyć uroczystość, poświęcenia nowo wyzłoconego ołtarza i złotéj monstrancji. Ksiądz Daniel miał nią jutro po raz pierwszy lud pobłogostawić.

Na tę uroczystość przybył Felicjan ze Lwowa. Wszyscy ucieszyli się tak pożądanym gościem, sam tylko Felicjan był smutny i zamyślony.

Przedednie takiéj uroczystości upoiło wszystkich jakąś nieodganioną radością. W prosto-

cie wiary swojéj szukali powodu téj radości, w zupełnem poddaniu się sprawiedliwości Boga, ufni że on czuwa nad nimi, i że bez jego woli włos im z głowy nie spadnie. Pan Izydor otworzywszy przysłaną ze Lwowa paczkę, w któréj była monstrancja, i ujrzawszy ten jasny blask złota, tę misterną kosztowną robotę, ten krzyż ze Zbawicielem na górze a w środku promieniste oko Opatrzności Boskiéj, taki spokój uczuł w sercu, tak ufny był w bezpośrednią opiekę Boga, że zdawało mu się, iż już cały proces wygrał. Oczekiwał tylko z dnia na dzień wyroku. W prostocie swego serca myślał sobie: Sumienie mam czyste, kościołowi ofiarowałem tak piękną monstrancją. Bóg mnie nie opuści! i spokojnie, z wypogodzonem obliczem oczekiwał dnia jutrzejszego, do którego program już dawno z księdzem Danielem był ułożył.

Spokój pana Izydora udzielił się i jego córkom. Frania i Rózia kładły jak dawniéj kabały, a Mańcia chodziła po ogródku i śpiewała wyrywając chwasty z pomiędzy kwiatków.

Mówił jéj jakiś głos wewnętrzny, że jeśli co dobrego dla nich się stanie, to stanie się z woli Felicjana, o którym nie wątpiła, że dla nich może i chce coś dobrego uczynić. W czemby jednak to dobre zawisło, o tem nie wiedziała, bo poczciwa Mańcia poza kwiatki swego ogródka i kilka drobnych, ulotnych marzeń, które wiatr ciągle jéj rozwiewał, daléj okiem nie sięgała. A gdy czasem jaka śmielsza myśl jakieś dziwne marzenie w nocy jéj spać nie dało, odpędzała je jak komara od ucha, którego tylko po brzęku znała.

Inną była Renata. Z wilgotnych jéj oczu widać było noce bezsenne, widać było walkę która się w jéj duszy odbywała. Ona wiedziała co dla ratunku téj nieszczęśliwéj rodziny mógłby Felicjan uczynić, a w sercu jéj szlachetnem walczyły dwie wielkie, równie silne namiętności. Jedna wyrosła w sercu, chwyciła za wszystkie jego nerwy a trudno było je z tamtąd oderwać. Druga zrodziła się w jéj pięknéj, na wzorach biblijnych wykarmionéj duszy, pragnącéj ofiar i poświęcenia, i weszła

do serca, aby tam stoczyć walkę śmiertelną. O jakże bolesną była ta walka!...

Lecz serce silne, nie łatwo je przełamać. Serce odniosło zwycięztwo, a piękna myśl duszy uleciała z niego, zawisła łzą perłową u czarnych rzęsów, a Mańcia cieszyła się tą łzą, scałowała ją z twarzy swojéj przyjaciółki, nie wiedząc że to była kropla krwi rycerskiéj, która się za jéj szczęście bezowocnie przelała!

Każdy zwycięzca w pierwszych chwilach panowania jest panem. To samo stało się z sercem Renaty. Odniosłszy zwycięztwo nad myślą poświęcenia się, chciało to serce szaleć, przeżyć chwil kilka w pełni uczucia, okazać całą swoję potęgę. A czas tak temu sprzyjał!

Gdy Felicjan do kładki przed plebanją się zbliżył, wyleciała przeciw niemu Renata z rumieńcem na twarzy, z szałem w sercu. Jéj ręce drżały, łzy czuła pod powieką. Gdyby to było na ustroniu, rzuciłaby mu się na szyję, jéj usta gorące, jéj pierś wzniesiona, jéj czarne

płonące oczy mogłyby mu tyle powiedzieć, czego słowem powiedzieć nie można!... Ale tu w obec okien plebanji, z których tyle patrzyło widzów, co tego pojąć nie umieli, bo nikt z nich nie miał lat czternastu... tu mogła Renata tylko rękę jego uścisnąć, a ręka ta mogła tylko zadrżeć....

Ale Felicjan snać nie uczuł drżenia téj ręki, nie dojrzał łzy pod powieką, nie zajrzał do jéj serca. Jakoś chłodno i zimno powitał ją, a choć twarz do uśmiechu złożył, w oczach jego nie było śmiechu, ale było jakieś dziwne, nieodgadnione cierpienie. Renata wzięła rękę, cofnęła się krok i zbladła. Serce jéj ścisnęło się w piersi. Ona tyle bolała, tyle marzyła, tak długo czekała, a teraz — zawiodła się. Pragnęła szału a znalazła zimne powitanie!

— On przestał mnie kochać, myślała sobie, on mnie poświęci dla Mańci!

I duże dwie łzy zawisły u jéj rzęs jedwabnych, spadły na próg plebanji, ale Felicjan ich nie widział!

I obudziła się w niéj kobieta. Myślała sobie:

— Po cóż on ma kochać biedną, ubogą sierotę, która nie ma ojca ni matki, nie ma imienia, jeśli się może ożenić zładną, posażną dziewczyną, któréj cała rodzina wabi go do siebie! Wychowana za światem, nie widząc ludzi, myślałam, że mając serce i duszę czystą, posiadam wielkie, nieocenione skarby, że jestem bogatszą nad wiele kobiet tego świata, a otworzywszy te skarby przed jego okiem, myślałam że on ceniąc je, pokocha mnie całem sercem, całą duszą i że śmierć tego uczucia nie przerwie!... O jakież dziecko ze mnie! Moje wymarzone skarby to cacka dziecinneto szych i blichtr, w jaki ubrała się młoda dziewczynka, a za kilka dni spełzło wszystko, urok mój zleciał ze mnie, a zostałam czem byłam w istocie — ubogą sierotą! Cóż może go do mnie wiązać? Mańcia ma posag, ma dwór, a ja mam tylko te góry w koło siebie, tych skał kilka, ten płatek nieba nad sobą.... i to wszystko nie moje już dzisiaj, tylko kiedyś, kiedyś było moje!...

I połknęła kilka łez gorzkich, kilka westchnień stłumiła w piersi.

Ksiądz Daniel spostrzegł także zmianę, która zaszła w sercu Felicjana. Wychodząc z stanowiska chrześćjańskiego nie chciał Felicjana zawrócić z drogi, na któréj go widział, ale serce poczciwego plebana krajało się z boleści, patrząc na ciche łzy Renaty, z których każda kosztowała jéj lata życia! Staruszek mógł tylko modlić się za nią.

Jeszcze większe cierpienia czekały Renatę. Poszedłszy do dworu, widziała Mańcię tak wesołą i roztrzepaną jaką jeszcze nigdy nie była. Widziała w jéj oczach szczęście i zadowolenie, widziała ją zawsze najbliżéj Felicjana, z którym nieustannie żartowała; jakże to boleśnie było dla biednéj sieroty patrzéć na to, i czuć się ofiarą cudzego szczęścia. A jak to trudno na świecie przestać być sobą! Jak trudno nie żałować tych kwiatów, które nam w ręku uwiędły!... Cały dom pana Izydora cieszył się i radował! Cóżby to była za przyczyna téj powszechnéj radości, jeżeli nie to, że Felicjan poświęcił ją dla szczęścia téj rodziny.

Dzień był piękny, wiosenny. Słońce zniżyło się już z południa, ale do wieczora było jeszcze daleko. Pan Izydor był nadzwyczaj wesół przy obiedzie, mówił wiele, żartował, przygadywał Renacie, która smutna siedziała. Wreszcie zaproponował wszystkim przechadzkę po ogrodzie i po polach.

— Muszę panu Felicjanowi okazać moję sperandę, mówił z uśmiechem zadowolenia, jakie mam piękne zasiewy, a jak ładnie drzewa w ogrodzie tego roku zakwitły. Jak tu gospodaruję, nigdy tak urodzajnego roku nie miałem, zboże na polu już w kolano, a gęste jak szczotka.

Wszyscy wyszli do ogrodu. Eteryczna woń kwiatów rozchodziła się po całym ogrodzie, drzewa wyglądały jak mleko. Wiosna ma w sobie coś odradzającego nietylko w znaczeniu fizycznem ale i moralnem. Aromatem kwiatu i roślin napełniona atmosfera orzeźwia pierś naszą, i odradza w niéj boleść lub roskosze, które dawno zostawiliśmy za sobą.— Podnieca napół spełznięte marzenia i obleka

je w świeże, wabiące barwy. Wszystko się wtedy w sercu naszem potęguje, blizny ran zagojonych otwierają się i bolą, a skrzydła rozkosznych marzeń unoszą wyżéj, niżeli kiedy indziéj. Każdy więc czuł tu potęgę wiosny, ale czuł po swojemu.

— Widzicie tę jabłoń? mówił pan Izydor do swoich dzieci, jak pięknie odziała się w blad oróżowy kwiat. Nieboszczka wasza matka lubiła taki kolor, i zawsze was ubierała w niego, gdyście były małe. Tu pod tą jabłonią była kanapka z darni. Tu zawsze matka z wami siadywała. Najwięcéj miała z tobą Mańciu do czynienia. Bo to, widzisz pan, mówił daléj zwróciwszy do Felicjana, Mańcia to było najulubieńsze dziecko nieboszczki mojéj żony. Ale lampart było, aż strach. Co chwila gdzieś uciekło od matki, popiekło się pokrzywą i sukienkę rozdarło. Było zawsze zbrukane, ziemią powalane, bo zawsze siedziało na zagonie i pełło chwasty. Ja nic przeciw temu nie miałem, bo myślałem sobie: Będzie z niéj dobra gosposia. I nie omyliłem się... A chociaż

Frania i Rózia lubią także gospodarstwo, ale nie mają już tego sprytu.

Mańcia gniewała się na ojca, że tak ją chwali wobec wszystkich, nie musiało jednak być jéj to bardzo nieprzyjemnem, bo przyskoczywszy do Renaty, serdecznie ją ucałowała. Renata spojrzała na nią wilgotnem okiem, ale Mańcia tego spojrzenia nie zrozumiała. Ona była dzisiaj szczęśliwą.

— Mańciu, ozwał się pan Izydor, trzeba będzie pojutrze kilku robotników do ogrodu. Pamiętaj, abyś mi przypomniała. Ścieżki zarosły trawą, trzeba ją wyczyścić... I płot zdałby się już nowy. Stał sześć lat, przegnił i skrzywił się. Trzeba powiedzieć Pamulskiemu, aby pojutrze wysłał kilkoro ludzi do lasu po leszczynę... Patrzno, panie Felicjanie, co to za śliczny kwiat na téj gruszy! Będziesz kosztował tych gruszek aż w późnéj jesieni, słodkie aż lipną!

Renata uczuła łzy w oczach, a Mańcia przeskoczywszy grządkę kwiatów stanęła przy Felicjanie i rzekła:

— O wyborne gruszki panie Felicjanie, będziesz pan je jadł, ja sama zrobię z nich kompot.

Felicjan westchnął.

— Ja go nudzę, pomyślała sobie Mańcia, a wziąwszy Renatę za rękę, pociągnęła ją do siebie, szepcząc jéj do ucha: Pójdź bliżéj Felicjana!

— Tyś mu bliższą, odpowiedziała Renata, ale Mańcia tych słów nie słyszała, bo właśnie pobiegła po jakiś kwiatek, który zerwała i ofiarowała Felicjanowi.

Tymczasem zbliżył się pan Izydor do przełazu. Wszyscy wyszli za nim z ogrodu i udali się w pole.

Cóż to za cudny widok odsłonił się przed ch oczami! Na bokach lekko wznoszących się gór zieleniło się zboże w najrozmaitszych odcieniach. Tam ciągnęła się błękitno-zielona smuga żyta, za nią następował żółtawy pas pszenicy, tu znowu jakaś dziwna barwa łąk pstremi okrytych kwiatami!... A wszędzie bujno, a wszędzie gęsto!

Pan Izydor szedł ostrożnie miedzą, aby ani źdźbła zboża nie przedeptać. Gdy ujrzał jaki kamień leżący na zagonie, ostrożnie szedł po niego, wziął go i położył na miedzę, aby zbożu nie zawadzał.

— Patrzcie co za pszenica! zawołał pan Izydor zwracając się do idących za nim, na Podolu lepszéj nie znajdzie. Jużby mógł człowiek w niéj się położyć, i niktby go nie znalazł. Gęsta jak sierść, a szeroka jak płaty. Wysiałem korcy sześćdziesiąt tu na tym łanie. Nigdy tyle nie zasiewałem pszenicy. A mógłbym się założyć, że do piętnastu ziarn... Błogosławieństwo Boga, błogosławieństwo Boga!..

— Tu zdjął pan Izydor czapkę z głowy i odmówił trzy razy Zdrowaś Marja.

— A to żytko, jak się wam podoba? zapytał z rozjaśnioną twarzą, dwa razy sprawiłem pod niego. Wiele mnie to kosztowało, bo tu ziemia glinka i nie chciała nigdy rodzić. Otóż patrzcie się teraz, co za żyto! I na Podolu lepszego niema! Tylko nie żałować pracy i wkładu, a wszystko się wynagrodzi! Bo zie-

mia, to nie jest tak niewdzięczną jak ludzie... nieprawdaż panie Felicjanie?... Ziemia to jest, jako serce dobrego człowieka. Jeżeli co dobrego weń wrzucić, to ci odda dziesięciorako plon twój. Dlatego naród nasz najlepszą sobie wybrał przyjaźń, przyjaźń z ziemią, i został rolnikiem. Ziemia go nigdy nie zawiedzie, już sama swoim przykładem uszlachetnia jego serce, bo jużciż rolnik nie może być gorszym od ziemi, którą orze. Co w nią wrzuci, to mu oddaje sowicie i uczy go, aby i serce jego tak samo oddawało dobre uczynki bliźnich. U handlarzy i kupców to rzecz inna. Tam potrzeba aby jeden drugiego oszukał, inaczéj nie będzie miał zysku. Mówią nawet, że Holender holendra zjadł dlatego, aby na jedzenie nie wydał, bo oszczędzenie grosza, to zysk!...

I tak daléj mówił pan Izydor, przechodząc przez pola, łąki i gaiki brzozowe, a wszystko to wyglądało dzisiaj jakby w sukni świątecznéj!

Wreszcie zawrócono do dworu. We dworze czekał ksiądz Daniel, który odprawiwszy

nieszpory przywlókł się do pana Izydora, aby z nim wieczorek przegawędzić.

Jakże miło wszystkim było to dzisiejsze zebranie się! Pan Izydor opowiadał wiele pociesznych wypadków z młodych lat swoich, kazał z piwnicy przynieść najstarszego miodku i pił zdrowie wszystkich koleją. Mówił także wiele o swojem gospodarstwie z księdzem Danielem, a gdy ten we wszystkiem go chwalił, ozwał się z gniewem do niego:

— Pocóż téj chwalby księże plebanie? Nic niema na świecie doskonałego. Człowiek do siwych włosów musi się uczyć. Ot teraz na Potokach posiałem pszenicę, sprawiwszy grunt dwa razy raz po razu. Za wiele jest w niéj gorczycy, a wiecie dlaczego? Za bujny grunt. Potrzeba było dwa razy przeorać i ziemię przewietrzyć. Da Bóg zdrowie, na drugi rok będę mędrszy, a pszenica będzie jeszcze lepszą. — Wiele rzeczy zamyślam na drugi rok zmienić. Ogrodu przyczynię dwa morgi, mam już ładne wysadki na to. Same szlachetne drzewa. Także i potok przekopię, a zyskam z dziesięć wo-

zów siana. Wszystko to będzie ziarnko do ziarnka.

Później przeszli na dzień jutrzejszy. Ksiądz Daniel mówił, że to będzie najpiękniejszy dzień jego życia. Spodziewał się, że i wierni zgromadzą się licznie, a pan Izydor szepnął mu do ucha, że na fetę jutrzejszą przygotowała Mańcia drobiu różnego gatunku i inne jeszcze wiktuały. Ksiądz Daniel uścisnął rękę sąsiada i wzajem powiedział mu pod sekretem, jak już od rana krząta się panna Teresa, aby jutrzejsza uroczystość wszystkich gości zadowolić mogła.

Około jedenastéj godziny wszedł księżyc. Jasno zrobiło się w całéj dolinie, jakby we dnie. Ksiądz Daniel wstał i pożegnał się z wszystkimi, ale pan Izydor wziął czapkę aby staruszka do Skalisk odprowadzić.

Przecudny był to widok. Blade księżyca światło drgało po trawie zroszonéj, ponad którą unosiła się biała, przezroczysta mgła, jak szata oblubienicy. Orzeźwiająca woń napełniła całe powietrze, a dokoła było cicho i

głucho, jakby mak posiał. Tylko tam w jarze bełkotał potok, a monotonne echo rozchodziło się szeroko po dolinie. Niebo było czyste i jasne, gwiazdki mrugały patrząc na ziemię, a między niemi posuwał się zwolna z królewską powagą, blady, fantastyczny król nocy.

Pan Izydor z księdzem Danielem szli przodem. Za niemi postępował Felicjan z Renatą.

— Smutno mi od kilku dni, rzekła Renata, a głos jéj drżał jakby się czegoś lękała, obawiam się, aby to nie było przeczuciem czegoś złego.

— Cóż się nam może złego zdarzyć, zapytał Felicjan, żeby nas jeszcze mocniéj zasmucić mogło? Smuciliśmy się, gdyśmy byli z dala od siebie, dzisiaj jesteśmy razem.

— Dzisiaj razem, to prawda, ale jutro, po jutrze?..... rzekła sierota, a w jéj głosie były łzy.

— Jutro? pojutrze?... cóż nas rozłączyć może? Renato zkądże te smutne myśli?

— Mnie się pytasz, zkąd smutne mam myśli, a ja o twój smutek lękam się pytać... lękam

się dowiedzieć tego, co mnie nie na dziś ani na jutro, ale na zawsze smutną uczynić może!

— Renato! zawołał Felicjan i wziął ją za rękę.

Ręka jéj była zimną jak lód. Dreszcz zimny zbiegł mu po ręce i wpadł do serca.

— Na Boga! zawołał, cóż ci jest Renato?

— Nic, odpowiedziała, nic mi nie jest..... wieczór chłodny...

— Nie wieczór, ale odpowiedź twoja chłodna, dokończył Felicjan.

Renata zamiast odpowiedzi przycisnęła namiętnie rękę kochanka do piersi, w któréj gwałtownie biło serce.

— Tu, rzekła stłumionym głosem, tu wszystko życie uciekło. Tam jest gorąco, tam jest ogień... ale dla ciebie już inne serce bije! Jam biedna, jam uboga sierota..... a ty będziesz miał dwór...

Felicjan westchnął. Całe nieszczęście pana Izydora stanęło mu przed oczy. Mańcia musiała zwierzyć się Renacie, i pewna jego serca, była dzisiaj tak wesoła, tak szczęśliwa!

— Nieprawdaż? mówiła daléj Renata, ty mnie poświęcisz dla jéj szczęścia i.... dla własnego szczęścia. Ty będziesz z nią szczęśliwy, będziesz miał dostatki, a ja, uboga sierota..... pójdę w świat za oczy, abyś nie widział, jak płakać będę! Nie stanę waszemu szczęściu na drodze, daleko od was, modlić się za was!... świat szeroki, a najszerszy dla sieroty...

Łzy stłumiły jéj słowa, więcéj mówić nie mogła. Mimowolnie pochyliła ku niemu głowę, oparła na jego ramieniu i poczęła płakać.

— Renato! zawołał kochanek tuląc jéj ręce do piersi, to serce twoje, bez ciebie nie ma dla mnie szczęścia na ziemi!

— To ty mnie kochasz? krzyknęła dziewczyna.

— Kocham i będę kochał...

Cichy szept słów skonał po rosie, a uścisk serdeczny, gorący zbliżył ich serca do siebie...

Tymczasem zbliżyli się starzy do plebanji, i zatrzymali się u progu, aby zaczekać na Felicjana i Renatę, którzy kawałek drogi wtyle pozostali.

— Tak mi coś lekko na sercu, rzekł pan Izydor do Felicjana, gdy do domu wrócili, a tak mi błogo w duszy, że aż żal mi iść spać. Nie zawsze ma człowiek takie chwile w życiu.

Felicjan na to nic nie odpowiedział, tylko westchnął. Jemu było ciężko, bardzo ciężko na sercu. Zdawało się mu że z natężeniem odrywa się od czegoś za każdym krokiem, do czego serce jego przylgnęło, co go tak słodko było związało...

A za nim, z okna plebanji patrzały dwoje czarnych oczu, a pomiędzy sine księżyca promienie, rozsnuwała się niewidzialna nić magnetyczna, którą dwa serca były złączone...

Długo siedziała Renata przy oknie i patrzała na dwa czarne cienie, które jak punkt wysuwały się zwolna na górę. Wreszcie znikły za górą, a kochającéj dziewicy zdawało się, że z jéj oczu coś się oderwało, coś upadło..... były to dwie łzy, ale łzy szczęścia.

I ozwała się w jéj sercu próżność kobieca. Cieszyła się, płakała z radości, że nad rywal-

ką odniosła zwycięztwo! Pewna swego szczęścia, patrzała błogo w przyszłość, i tyle tam pięknych widziała obrazów. Jéj serce szalało w piersi, złote sny i marzenia tłoczyły się przed jéj oczyma, czuła się tak szczęśliwą, jak się jest szczęśliwym, gdy się odzyska to, co już było stracone. W obec tego szczęścia zapomniała Renata o wszystkiem, co ją otaczało. Widziała tylko siebie i nic więcéj.

Dzień świąteczny zastał ją czuwającą. Spojrzała do zwierciadła, czy nie ujrzy na twarzy śladów bezsenności, bo chciała dzisiaj być najładniejszą. I była nią w saméj rzeczy.

Za kilka godzin widać już w Skaliskach, że to się na wielką zanosi uroczystość. Goście okoliczni poczęli się zjeżdżać. Lud gromadził się tłumami. Wszystko w świątecznych ubiorach.

Przed samem nabożeństwem zajechała przed plebanję dorożka pana Izydora. Po stroju przybyłych widać było, że wiele nań poświęcono czasu.

Pan Izydor miał na sobie żupan z żółtéj je-

dwabnéj materji w duże kwiaty, a na nim kontusz z sajety tabaczkowéj. Pas słucki, złotem przerabiany, z srebrnemi frędzlami odbijał wybornie od żółtéj lugduńskiéj materji. Na głowie miał czapkę z zielonego axamitu z białym jedwabnym barankiem.

Frania i Rózia miały suknie seledynowe, a Mańcia wyglądała przecudnie w lekkiéj przezroczystéj sukience blado różowego koloru. Włosy miała rozpuszczone w długie, skręcone pukle, spięte na skroni białą różą.

Renata wyszła, aby gości przywitać. Nigdy jeszcze nie wyglądała tak pięknie. Jasnoszafirowa suknia, jakiegoś kroju fantastycznego, otulała w klassycznéj draperji piękną, wysmukłą jéj postać. Twarz jéj ożywiła się lekkim rumieńcem, oczy jaśniały wyrazem szczęścia. Była to chwila jéj tryumfu.

Rozpoczęło się nabożeństwo. Siwy kapłan stanął przed jaśniejącym od złota ołtarzem, a głośny dźwięk dzwonka ogłosił wiernym, którzy nie mogąc pomieścić się w kościołku, na cmentarzu stali, że nadszedł czas rozmowy z Bogiem.

Znów ozwał się dzwonek na „sanctus“ później na „przeistoczenie“ a wierny lud głęboką pokorą uczcił tajemnicę świętéj wiary.— Wreszcie po „Agnus Dei“ ozwały się wszystkie dzwony, zapaliły się świece, a pod aksamitnym baldachimem, poprzedzony licznem bractwem, wyszedł sędziwy kapłan z złotą monstrancją w ręku, aby wkoło kościoła odbyć obchód, jak to jest zwyczaj w dni krzyżowe.

Pan Izydor szedł przy nim z pokorą, prowadząc sędziwego kapłana pod ramię. Nie śmiał podnieść oczu na Ciało Przenajświętsze, spuścił je w ziemię i modlił się gorąco.

Już dwakroć obeszła processja wkoło kościołka. Idąc poraz trzeci, stanął kapłan przy drzwiach kościoła, aby lud mnogi pobłogosławić.

I zawołał uroczystym głosem: „Benedic populum tuum domine!“

Pan Izydor wzniósł oczy do nieba, aby westchnąć do Boga... gdy nagle tuż naprzeciw siebie ujrzał znajomą mu postać woźnego. —

Przed nim stało kilku nieznajomych urzędników.

Ojciec Mańci poczuł, że go zimno skróś przeszyło. Nogi zachwiały się podnim. Silniéj przycisnął się do ramienia księdza Daniela a łzawe oczy zwrócił na Ukrzyżowanego, przy którym, majowym wiatrem kołysane migotały złote kłosy, godło „chleba powszedniego.“ A jemu miano wydrzéć ten „chleb powszedni!...“

Lecz opamiętał się wierny chrześćjanin. Dokończył z plebanem processji, a uklęknąwszy w kościele, serdecznie do Boga się modlił.

Po nabożeństwie, wyszedłszy z kościoła zapytał woźnego, co mu nowego przyniósł. Woźny wskazał na urzędnika. Za kilka minut dowiedział się pan Izydor, że od dzisiaj traci cały majątek. Zaprezentowano mu administratora.

Przeczuł ksiądz Daniel co się święci. Wyszedłszy spiesznie z kościoła, wmieszał się między mówiących, a widząc o co rzecz idzie, wziął pana Izydora pod ramie i do plebanji wprowadził.

Za nim weszli i exekutorowie, a widząc zamieszanie, oświadczyli słodko, że dzisiaj przy święcie exekucji żadnéj nie przedsięwezmą, i że tylko dlatego tu przyjechali, aby być na nabożeństwie. Jutro dopiero miała się rozpocząć exekucja. Pan Izydor stał na środku izby jak trup blady. Patrzał przed siebie szklannemi oczami, ale nic nie widział.

Wreszcie opamiętał się, nabiegł krwią cały a przystąpiwszy do exekutorów, zawołał:

— Panowie, który to jest między wami, co mi majątek wydziera?

I podniósł do góry zsiniałe pięści.

— Tu niema go, odpowiedział urzędnik cofając się kilka kroków w tył, tu niema go, tylko jest jego administrator, a my urzędnicy.

— Podły! wrzasnął pan Izydor, chowa się za drugich! Niech Bogu dziękuję że go tu niema!... Cóż mi weźmie? dodał po chwili rzewnym głosem.

— Wszystko, odpowiedział ktoś z tyłu.

— Jakto wszystko?... i mój inwentarz?

— Długi niespłacone oddawna...

— Mater Dei! krzyknął pan Izydor i posiniał cały. Dzieci, pójdźcie do mnie, niech was pobłogosławię, pójdźcie, bo umieram! Felicjanie gdzieżeś?... księże Danielu...

Zachwiał się biedny ojciec i padł w ramiona księdza. Córki obstąpiły go dokoła, a Mańcia padła przed ojcem na kolana, wyrzekła imie Felicjana i zemdlała.

Głuche milczenie panowało przez chwilę. Wszystkich przeraziła ta scena do żywego.

Renata stała przy oknie. Twarz jéj zapłonęła ogniem, czarne jéj oczy zaiskrzyły dziwnym blaskiem. Stała chwilę. Straszna walka odbywała się w jéj duszy. Tchu jéj w piersi zabrakło. Serce chciało pęknąć.

Wreszcie postąpiła kilka kroków naprzód, chwyciła Felicjana za rękę, i głosem urywanym, głosem pełnym łez i krwi, rzekła do niego:

— Felicjanie ratuj ich! Ratuj Mańcię.... a ja... ja... będę ci siostrą!

I przyciągnęła go do omdlałéj przyjaciółki.

Felicjan odgadł sercem Renatę, bo słów jéj

nie słyszał. To okropne zdarzenie pozbawiło go zmysłów. Machinalnie przystąpił do młodéj Mańci i przyklęknął. Renata z płomieniem w oku patrzała na tę scenę. Jeszcze raz uścisnęła młodzieńca za rękę, na bladem, zimnem czole Mańci złożyła gorący pocałunek i zniknęła w tłumie ciekawych.

Tymczasem przyszedł pan Izydor do siebie. Przetarł ręką oczy jakby się ze snu obudził.

— Cóż to się stało? zapytał... aha, wiem, wiem... mam oddać obcym ludziom mój majątek... mam wyjść z tąd w jednéj koszuli... Bóg tak chciał, niechże się dzieje Jego wola... masz księże Danielu...

Tu zdjął pas złoty i położył go na stole.

— Masz księże Danielu, to jeszcze suplement do złotéj monstrancji. Módl się za mnie.

I w kilka godzin po téj scenie był pan Izydor tak spokojny, jakby się nic nie było stało. Wrócił do domu i z najzimniejszą krwią począł się wybierać z rodzinnéj włości swojéj. Gdy córki płakały rzekł do nich:

— Toż nie wierzycie, że mnie Bóg nie da

zginąć? Przecież my coś więcéj jesteśmy niżeli wróbel na dachu, niżeli włos na głowie!...

W tym samym czasie w izdebce plebanji, z któréj goście pouciekali, klęczał Felicjan u nóg księdza Daniela, otworzył przed nim serce swoje, i błagał go o radę. Ksiądz Daniel wysłuchawszy wszystkiego rzekł z właściwą mu słodyczą:

— Nie Felicjanie, twoje sumienie jest zbyt drażliwe. Gdzie Bóg działa, tam człowiek mieszać się nie powinien. W nieszczęściu téj rodziny widzę palec Boży, widzę jakąś ogniową próbę, przez którą poprowadzi ją Bóg do jakiejś nagrody. Niepodobna bowiem, aby złość ludzka tak górę wzięła! Czekajmy sądów Bożych, a mam przeczucie, że wkrótce nastąpią.

Te słowa uspokoiły Felicjana, wstał z ziemi i wilgotnem od łez okiem spojrzał do koła, jakby szukał kogoś. Ale téj, któréj szukał, już nie było w plebanji.

Nadszedł wieczór, minęła noc — posłano do dworu Izydora — pytano się po wsi i po drogach — o Renacie nigdzie wieści nie było.

XI.

Teraz dopiero można było ocenić skutki tego nieszczęścia. Paroxyzm pierwszéj boleści przeminął, a smutne, niepewne jutro, wszystkie jego widma okropne stanęły przed nieszczęśliwymi.

Pan Izydor uspokoił się wprawdzie, lecz na bladéj jego twarzy widać było bolesną walkę, która w jego sercu wrzała. Przechodząc koło okna zamykał oczy, aby ogródka nie ujrzéć, który tak pięknie zakwitł, którym się wczoraj tak cieszył! A jeśli mimowoli wybiegł okiem na zieloną górę, gdzie przedwczoraj tyle nadziei widział, czuł, że mu po licach łza zbiegła, że się mu w piersi serce ścisnęło. Lecz umiał panować nad sobą, a trudno było od-

gadnąć, czy go utrzymywała wiara w Boga i w Jego sprawiedliwość, która mu krzywdę przez ludzi wyrządzoną sowicie wynagrodzi, czy też poddanie się temu nieszczęściu bez nadziei w przyszłość, to jest, obojętność na wszystko, znamionujące zupełny jego upadek. On cierpiał wprawdzie, ale nie cierpiał tyle co inni.

Daleko smutniejszy był los córek. Bez żadnych na przyszłość widoków widziały tylko przed sobą strapionego ojca, który nie płakał, nie rozpaczał, ale też i słowa pociechy nie miał dla nich. Nie mówił im, co się jutro, pojutrze z niemi stać może, a to co im mógł powiedzieć, było tak smutne, tak okropne!

— Nie płaczcie dzieci? mówił do nich, braknie nam dachu za dni kilka, ale Boga nam nie braknie na świecie!

Ale Bóg może tylko dopomódz człowiekowi, a cudu dla niego nie uczyni. Trzeba pracować, trzeba się za czemś oglądać, a przyłożywszy rękę, trzeba Go prosić o pomoc. A do czegóż to rękę przyłożyć, czego się chwy-

cić na tym szerokim świecie? Społeczeństwo nie lubi ludzi nowych, trzeba z pokolenia wysługiwać się mu swoim zawodem. A tu trzeba zejść do rzędu pracujących, i rzec im: Posuńcie się, nowi robotnicy przychodzimy do was, bo dla nas tam wyżéj miejsca nie stało! A oni odpowiedzą: Tutaj było miejsce ojców naszych, tu my siedzimy, nie odbierajcie nam chleba, bo wy nie z naszego cechu!...

Taka odpowiedź spotyka zawsze rozbitków lepszego mienia, gdy im przyjdzie na chleb powszedni zarabiać.

Szczęściem dla nieszczęśliwéj rodziny, przynajmniéj w pierwszych chwilach boleści, że żadne z nich nie znało świata. Pan Izydor otarł łzy z oczu i rzekł do Felicjana:

— Przyszło mi właśnie na myśl, że niepotrzebnie się frasuję. Tyle ludzi biedniejszych odemnie jest na świecie, a każdy jakoś na nim się pomieści. A człowiek przecież ma głowę na karku, umie coś więcéj od innych, zresztą ma i pretensję do tego, aby go przed innymi położono. Byle tylko chciał pracować. A co panie Felicjanie, czyż nie słusznie?

— My będziemy szyć i haftować, ozwały się Frania i Rózia, a przecież nam prędzéj da ktoś zarobić, niżeli innym...

— A ja znam się dobrze na kuchni, wpadła szybko Mańcia, nie chcąc się dać wyprzedzić siostrom, rozumiem się na praniu i prasowaniu, jak żadna praczka się nie zna a nawet mając wzory pod ręką, mogłabym coś przykroić i uszyć. A wziąwszy to wszystko razem, możem w wielkiem mieście mieć z tego jaki taki dochod.

— I cóż pan na to? rzekł biedny ojciec z uśmiechem do Felicjana, czy mamy czego rozpaczać? Wszystko pójdzie jak z płatka, i nieźle będzie się nam działo. Ja podam się do jakiego urzędu, a przecież będą mieli wzgląd na ojca trzech córek i dadzą mi preferencją przed jakim młokosem i gryzipiórkiem.

Felicjan nic nie odpowiedział na te nadzieje nieszczęśliwéj rodziny, bo czuł że łzy drżały mu pod powieką. Od najmłodszych lat swoich przechodził różne koleje pracy, i widział, jak trudno jest wcisnąć się w te szeregi

wojujących o chleb powszedni, wiedział, że w jednę lukę, którą śmierć wydziera, cisną się tysiące głodnych, wybladłych twarzy wołając przeraźliwie: chleba, chleba! A ci co ten chleb rozdają, patrzą zimnem okiem na tłoczącą się tłuszczę, patrzą na ręce i nogi, czy zdrowe i silne, zaglądają do komórek mózgowych, ile tam wiedzy i nauki, czy ta nauka świeża, czy spleśniała, pytają się o wiek i stosunki, a potem wydają swój wyrok: „Pójdźcie do chleba wy zdrowi i młodzi, wy, którzy macie siłę i naukę potemu, co macie przed sobą przyszłość, bo możemy was czegoś nauczyć, a wy długo, długo będziecie się nam za to wysługiwali....., a wy starzy i niedołężni, wy inwalidzi społeczeństwa, złamani, nieuleczeni kalecy, wy idźcie żebrać miłosierdzia przechodzących, a gdy przyjdzie wam umierać, to przyjdźcie znowu do nas, a my damy wam do skonania kącik w naszych szpitalach... damy wam trumnę i kilka łokci ziemi na lat kilkanaście. Po latach kilkunastu wykopiemy prochy wasze, a nowy dzierżawca zajmie wasze miejsce!“ Tak mówi

społeczeństwo do starych, niedołężnych najmitów, którzy z siwemi włosami przychodzą do niego po pracę i chleb.

Cóż więc mógł Felicjan panu Izydorowi odpowiedzieć? Miałże mu powiedzieć: Marne nadzieje twoje niedołężny starcze! Gdziekolwiek zapukasz odepchną cię, a młodzi śmiać się będą z twojéj fantazji, że chcesz być tem, do czego ci ani sił ani nauki nie staje!...

Tem boleśniejsze były dla Felicjana te nadzieje pana Izydora, im jaśniéj widział jego rozczarowanie, które wkrótce nastąpić miało. To też przyjemniejszego doznał uczucia, gdy pan Izydor po oddaleniu się córek szepnął mu do ucha:

— Prawdę powiedziawszy, ja mam nadzieję w Bogu, że się to jeszcze odmieni. Nie mówię tego przed córkami, aby im nie odebrać ochoty do pracy, bo nic tak człowieka nie psuje, jak bezczynność i gnuśne wyczekiwanie zmiłowania Bożego. Bóg chce, aby człowiek w nieszczęściu rąk nie zakładał, ale żeby chwycił się czegoś, co mu najbliżéj. A gdy widzi

że człowiek jakoś nie upada, tylko na nogach się trzyma, to łaskawie spojrzy na niego z nieba i zeszle mu swego anioła-stróża, aby mu dopomógł. I Job byłby prędzéj przyszedł do tego, co utracił, gdyby nie był tyle o swojem nieszczęściu rozmyślał, a zamiast się skarżyć wziął się odrazu z wiarą do pracy.

Mimo wielkiego smutku w sercu nie mógł Felicjan powstrzymać uśmiechu, słysząc te słowa, które pan Izydor w ferworze swojéj wiary był wymówił. Widać jednak było, że ta wiara walczyła w jego sercu z niemniéj silną boleścią, która słowom jego przydała wewnętrznéj swojéj goryczy.

— Smiejesz się? rzekł do Felicjana zapalając się pan Izydor, a nie wiesz, że tego, com ci tu powiedział, uczono nas za młodu. Ksiądz pijar zawsze mi podobne figle robił, jak mi dzisiaj ludzie na większą skalę zrobili, a wiesz com musiał mu na to odpowiadać?... Gdy napisałem elaborationem po łacinie, nad czem pół dnia się modliłem, ksiądz pijar przyszedł do mnie z kancelarji i niby zmieszany rzekł do

mnie: Izydorze, nieszczęście się stało, na twoje pensum wylałem kałamarz atramentu. A ksiądz rektor chciał je jutro widzieć. „Będę pisał całą noc reverendissime“ odpowiedziałem nie skrzywiwszy się. Ksiądz pijar mnie pogłaskał i okazał mi, że pensum było czyste. A raz rzekł mi znowu: Złodziej ukradł ci czapkę z kołka! A ja mu na to: Nie będę przez miesiąc jadł gruszek, a będzie czapka. I tak zawsze miał nas czemś nastraszyć ksiądz pijar, a biada temu, co się skrzywił, lub w głowę poskrobał, niedawszy mu natychmiast odpowiedzi, która znamionowała charakter zdecydowany. Otóż widzisz panie Felicjanie, i teraz Pan Bóg rzekł mi przez ludzi: „Odbiorę ci majątek,“ a ja na to: „Będę pracował.“ A co nie dobrze?...

Felicjan rzucił się na szyję poczciwego szlachcica, a napłakawszy się razem z nim, uczuł jakąś ulgę w sercu. I jemu udzieliła się ta silna, niezachwiana wiara, i on pokrzepił się w cierpieniach swoich, które jego serce szarpały.

Smutne bowiem wieści uderzyły dzisiaj o Renacie, kobieta ze wsi przyniosła księdzu Danielowi kartkę od niéj, w któréj mu pisała, że chcąc wytrwać w swojem przedsięwzięciu, uniknąć wszelkiéj pokusy żałowania tego kroku, i serce swoje wzmocnić do wielkich, długich cierpień, które widzi przed sobą, postanowiła udać się w takie miejsce, któreby jéj jak najwięcéj dostarczyło środków do zwalczenia siebie saméj i ustalenia jéj ofiary. Przy tem upraszała ze łzami swego opiekuna, aby jéj w tych zamysłach nie przeszkadzano, jéj kroków nie śledzono, a tym sposobem aby nie kuszono ją do żalu za tem, czego dobrowolnie się zrzekła. Ze wszystkiemi się pożegnała, tylko o Felicjanie nic nie wspomniała. Snać nie chciała żadnem wspomnieniem ranić jego serca.

I na tem skończyła się cała wieść o Renacie. Wszelkie poszukiwania były nadaremne.

Panna Teresa płakała i rozpaczała jakby własną córkę straciła.

— Przeczuwałam, że nas kiedyś to nie-

szczęście spotka, mówiła ze łzami do brata, szkaradne sny nachodziły mnie w nocy, mówiłam o nich księdzu bratu, a ksiądz brat śmiał się ze mnie, mówiąc że tylko dobre sny od Boga pochodzą. Złemi snami nigdy Bóg ludzi nie dręczy. I cóż teraz mówić na to? Jesteśmy znowu sami, jakbyliśmy przed piętnastu laty!

Na co ksiądz Daniel westchnąwszy odpowiedział:

— Bóg dał, Bóg wziął. Znaleźliśmy ją jak grosz na drogę porzucony, a teraz zgubiliśmy ten grosz, może na pociechę temu, kto ją znowu znajdzie. Mam dobre przeczucie. Modliłem się do Boga, a Bóg pokrzepił mnie. Renata pójdzie dobremi drogami, bo stróż-anioł jéj nie odstąpi.

Tak mówił ksiądz Daniel jako kapłan, ale w sercu jego mimo to odzywał się słaby pod jarzmem nieszczęścia upadający człowiek. On widział pustą, smutną plebanję, a gdziekolwiek spojrzał, wszystko przypominało mu Renatę. Tam kilka kartek niedoczytanych „Żywotów

Swiętych", które co wieczora Renata w głos mu czytała, tam kilka niedosianych grządek, te stare lipy, pod któremi zwykła z robotą przesiadywać. Smutno i pusto będzie odtąd staremu, jedno kochające serce oddaliło się od niego, a on nawet wiedzieć nie będzie, o jego losach. Wszystko to jednak skrył w swojem sercu sędziwy pleban, a dla tych, co go otaczali, miał na twarzy uśmiech ukojenia, a w ustach słowa pociechy.

Ale nie tak łatwo dała się pocieszyć panna Teresa. Jéj życie smutne, jednostajne, miało jaki taki ustęp zielony, a dzisiaj wydało się jéj jako step szary, bez zdroju i bez cienia! Renata wystarczała jéj dotąd za cały świat uczuć macierzyńskich, których w życiu zaznać nie miała, toż boleść jéj dzisiejsza równała się boleści Matki, która dziecię utraciła. Ostatni kwiatek zwiędnął jéj na niwie życia, a biednéj staréj pannie i łez już dzisiaj nie stało!

Szczęśliwszym od niéj był Felicjan. Doznawszy tak bolesnego ciosu, który go prawie zmysłów pozbawił, obudził się nagle i poczuł

do obowiązku, jakie na niego włożyło nieszczęście pana Izydora i jego dzieci. To utrzymało go w równowadze, że nie upadł, że się nie złamał. Postanowił poświęcić się dla téj rodziny, towarzyszyć jéj na drogach nieszczęścia, a tymczasem zatrzymać w nieskazitelnem sercu obraz kochanki, modlić się do niéj w nocach bezsennych, i szukać nowéj drogi do urzeczywistnienia pierwszych i ostatnich marzeń młodéj swojéj duszy. Czy znajdzie tę drogę? czy znajdzie ją jeszcze dość wcześnie? Wszystko to w ręku Boga.

Uradzono więc, że pan Izydor z córkami uda się do Lwowa i tam oczekiwać będzie ostatecznego rozwiązania tego procesu. Tymczasem oddano wioskę nowemu administratorowi, a inwentarz wziął dawny pana Izydora wierzyciel za dobrowolną ugodą.

W tydzień po Wniebowzięciu N. Panny Marji wyjeżdżał pan Izydor z wioski rodzinnéj a ksiądz Daniel i panna Teresa z zapłakanemi oczami wracali do smutnéj plebanji, pożegnawszy tyloletnie sąsiedztwo swoje. Felicjan

marzył o Renacie, widział ją gdzieś w klasztorze, w czarnym, smutnym stroju, serce biło mu w piersi, bo Renata uklękła na środku kościoła, a zakonnice przykryły ją czarnym całunem, zaśpiewały jéj „requiem“ rzucając na nią białe róże... Renata umierała dla świata, umierała dla niego, a on stał między widzami, patrzał na nią i nie przeszkadzał jéj umierać!..

Mańcia układała sobie w głowie całe miejskie gospodarstwo. Frania i Rózia płakały.

Pan Izydor straciwszy z oczu ostatni kopiec swojéj wioski, osuszył łzy i począł się do swoich myśli uśmiechać. Szeptał coś zcicha do siebie, machał rękami, a im więcéj zbliżał się do Lwowa, tem więcéj wyjaśniała się twarz jego.

Szczęśliwy kto może marzyć!

XII.

W ciemnéj, zakopconéj kancelarji, właściwie w przedpokoju do urzędu magistratu, stało kilkunastu ludzi. Po większéj części byli ubrani w czarnych frakach, jednak ubior ich i twarze znamionowały wielkie ubóstwo. Zpod czarnéj chustki widać było kawałek czarnéj, grubéj koszuli, a niektórych nawet gołe piersi. Jedni mieli na rękach zabrukane rękawiczki, i starali się ukryć je pod stare, wyszarzałe kapelusze; drudzy schowali ręce do kieszeni, bo na nich widoczne były ślady jakiejś twardéj, mniéj szlachetnéj pracy. A wszystkich twarze obrócone były ku wielkim drzwiom kancelarji zkąd ważnych oczekiwano wyroków.

Wreszcie otworzyły się drzwi, suplikanci

drgnęli z bojaźni przed chwilą stanowczą. Ale zamiast oczekiwanego mecenasa, pojawiła się na progu znajoma im twarz woźnego. Woźny miał pod pachą cały stos papierów, a usiadłszy przy stoliku pod oknem, począł najważniejszy oraz i najszlachetniejszy akt swego urzędowania, a tym było pieczętowanie wyniesionych wyroków. Dumny że stojącym przy drzwiach suplikantom może się okazać w najświetniejszéj chwili swego urzędu, począł wycinać papierki w kształty najrozmaitsze, a podłożywszy pod niezwilżony opłatek wprawną ręką zakręcał śrubę oglądając z rozkoszą wyciśniony herb miasta.

Długi czas odbywała się ta operacja w największem milczeniu. Niejeden z suplikantów patrząc z boku na tę misterną woźnego robotę, westchnął skrycie i myślał sobie w duchu: Święci garnków nie lepią, i ja mógłbym to potrafić, mógłbym być woźnym!

Wreszcie ośmielił się jeden z suplikantów, słowo do woźnego przemówić. Był to wysoki, barczysty mężczyzna w starym, wytartym

surducie. Jakaś spirytusowa atmosfera otaczała twarz jego, na któréj mieniły się wszystkie kolory ponsu. Dobywszy rożek z tabaką podał go woźnemu i rzekł:

— To nie lada praca, panie Kuciałkiewicz, tak kręcić śrubą cały dzień.

— Ho, ho! odparł woźny, co nie lada, to nie lada, ale przecież do wszystkiego człowiek się włoży. Bo prawdę powiedziawszy, cóż to wart ten świstek papieru, gdybym go nie przypieczętował? I student potrafiłby napisać: ale pieczęć to grunt.

Rzekłszy to puścił śrubę młynkiem, a lew z podniesioną łapą wycisnął się przez librę papieru i aż do stołu dotarł.

— A nie wie pan, jak tam stoi z wakansem? zapytał znowu aspirant.

— Ho, ho! a któżby mógł lepiéj wiedzieć odemnie! Dzisiaj zawołał mnie pan konsyljarz i rzekł do mnie: Mój ty Kuciałkiewiczu, jestem w niemałym kłopocie. Jest wakans na dwieście reńskich, i dwiestu jest na to aspirantów! Cóż tu robić?...

— A pan co na to? zapytali wszyscy ciekawie.

— Co na to?... co na to?... mruczał z gniewem woźny, ja na to... ja na to zazwyczaj nic nie odpowiadam. Bo jużciż mój rozum do tego nieprzydatny. A trzeba wiedzieć że ci panowie mają czasem zwyczaj człowieka na słowo wyciągnąć, a potem się śmieją, że się człek wyrwał jak Filip z konopi. A co Michale nie mam recht?

Szmer powszechny między aspirantami dwiestu reńskich oddawał właśnie słuszność dyplomatycznemu rozumowi pana Kuciałkiewicza, gdy się drzwi otworzyły i pan Izydor w granatowéj czamarce wszedł do kancelarji.

Ubiór i cała postać pana Izydora tak dalece różniły się od ubioru aspirantów, że wszystkich oczy, a nawet i sine oczy pana Kuciałkiewicza zwróciły się na niego.

— Czego pan potrzebuje? zapytał woźny nadymając obwisłe, czerwone policzki.

— Słyszałem o wakansie w téj kancelarji, odpowiedział pan Izydor.

Wszyscy odskoczyli od nowego aspiranta i poczęli go mierzyć złośliwym wzrokiem. Pan Kuciałkiewicz przerwał honorowe swoje zatrudnienie, wstał z stołka, a założywszy w tył ręce zbliżył się do pana Izydora, oglądając go od stóp do głowy.

— Pan słyszałeś o wakansie?... a któż pan jesteś z kondycji? zapytał woźny.

— Jakto z kondycji? zapytał pan Izydor.

— No z kondycji, nie wiesz pan... acpan, co to jest kondycja? rzekł woźny dmuchając poprzed siebie, kondycja jest to... kondycja. Nie wiesz pan co kondycja? Chcesz się pan aspan starać o wakans, a nie wiesz pan co kondycja!

Piętnastu aspirantów parsknęło z śmiechu a pan Izydor spojrzał do koła i poczuł łzy w oczach.

— Kondycja, jest to, ciągnął daléj pan Kuciałkiewicz, czem człowiek był. Naprzykład, ja byłem przed moim dzisiejszym urzędem, abszytowanym Quafelfebrem z regimentu Benthajm Nr. 35, drugiego bataljonu, trzeciéj kom-

panji. Otóż dla tego dostałem dzisiejszy mój urząd. A pan co, czy służyłeś w wojsku? Masz pan minę wojskową. I ja tak wyglądałem, gdy przyszedłem z Wenedyga.

— W wojsku nie służyłem, odpowiedział pan Izydor.

— A jakież masz pan allegata, jeśli nie masz abszytu?

— Za allegat mam nieszczęście, które na mnie Bóg zesłał, i dzieci-sieroty...

— Oho, ho, to najgorsze allegata! Na takie allegata pisze się *abzuweisen*, *Verstehen sie*? *abzuweisen*!

Połowa aspirantów parsknęła ze śmiechu, druga połowa westchnęła.

— A pisałeś już pan w kancelarji? zapytał znowu woźny, bo widać żeś pan fryc w tem rzemiośle.

— Nie potrzebowałem dotąd zarabiać.

— A do stu katów, a cóż pan chcesz zaraz przyjść na wakans? Oto pan Michał Rybka, mówił daléj woźny wskazując na aspiranta z spirytusową atmosferą, piętnaście lat pisze

jako diurnista przy głównym szpitalu, ma sześcioro allegatów gołych jak je Bóg stworzył, a do tego żonę istną Xantypę, babę z piekła, a pan chcesz odrazu dostać wakans, na dwieście reńskich, nie spisawszy ani paki piór? hę?

Właściciel sześciorga allegatów, założył w krzyż ręce i przybrał tragiczną postawę.

— Patrz pan na tego człowieka! prawił daléj woźny zapalając się w obronie swego przyjaciela, patrz pan na niego, co go zmartwienie jego musi kosztować. Kufę wódki już wypił, a jeszcze robaka nie zalał, co go gryzie. O, bo téż to ludzie nie wiedzą, dlaczego człowiek wódkę pije. Ja, gdy chcę zmierzyć czyje nieszczęście, to się mu tylko na nos popatrzę, a już wiem. A ludzie zwykli krzyczéć: Pijak, pijak! a nie wiedzą że on tylko robaka zalewa, co go toczy. Odbierz mu tego robaka, zrób go szczęśliwym, a on pić przestanie!

Żaden nos czerwony nie miał szczęśliwszego nad pana Kuciałkiewicza obrońcy. Czternastu aspirantów cofnęło się z uszanowania dla pana Michała Rybki, który sam jeden

w tragiczno-bohaterskiéj postawie pozostał na pierwszym planie tego flamandzkiego obrazku.

— Toś pan tu przyszedł nam biednym chleb odbierać? ozwał się z kąta mały, garbaty pisarczyk.

— Gdybym miał taką czamarkę, mówił drugi, puściłbym ją na żydy, a żyłbym za nią pół roku!

— A ja od trzech dni już nic w gębie nie miałem!

— Moja żona zabije mnie, gdy wrócę bez miejsca!

— Mam troje dzieci, a dwoje z nich choruje!

— Czego się aspan nie trzymał tam, gdzie dotąd byłeś?

— Po co biednym, poczciwym ludziom w drodze stawać?

— Widać po nim, że w dobrych czasach szumiał, a teraz żebrze!

— Szlachetka! wykpigrosz, włazi między biednych, gdy z nim kręto!

— A gdzie to aspan młode lata strawił?

Takie głosy dolatywały zewsząd pana Izy-

dora. Stojąc blisko drzwi patrzał na mówiących, chciał temu lub owemu coś odpowiedzieć, ale pytania te i wykrzykniki tak raźno po sobie następowały, że pan Izydor nie wiele z nich mógł zrozumieć, i wydawały się mu tylko jak szum fal rozhukanych. Tyle jednak zrozumiał, że piętnastu biednym aspirantom wlazł w drogę, którzy mu złorzeczyli, że im chleb odbiera. A na ten chleb czekało może piętnaście rodzin, i cały legjon głodnych, obdartych dzieci!

Smutno zrobiło się panu Izydorowi. Z wyrazem litości na twarzy, z łzami w oczach, ukłonił się całemu zgromadzeniu i wyszedł.

Śmiech szesnastu gardzieli wyleciał za nim do sieni, a między niemi odznaczały się dwa głosy, jeden niski, potężny woźnego, drugi szorstki, zachrypnięty pana Michała Rybki.

— Tak się dudków odprawia, usłyszał jeszcze na kurytarzu pan Izydor.

Wielkie nieszczęście, nędza i ubóstwo zdmuchują z serca człowieka ostatnią iskrę uczucia. Nikt nie pojął, nikt nie zrozumiał ofiary pana Izydora.

Biedny, nieszczęśliwy ojciec wybiegł na ulicę, otarł pot z czoła, a łzy z oczu i spojrzał na piękne, szafirowe niebo. Jakoś błogo było mu w duszy. Pierwsze to rozczarowanie przemknęło bez boleści mimo jego serca, bo miał to przekonanie że sam, dobrowolnie ustąpił się z drogi piętnastu uboższym od siebie. Ten dobry uczynek ukoił go, i nie został bez wynagrodzenia. Jeszcze piętnastu kroków nie był uszedł, gdy go spotkał jakiś znajomy.

— A co panie kochany, jeszcze na bruku? zapytał.

Pan Izydor ruszył ramionami.

— W kancelarji rządowéj administracji, drugie piętro, drzwi na prawo, jest miejsce do obsadzenia. Spiesz się pan, nikt jeszcze o tem miejscu nie wie, a jak się kruki zlecą, to trudno będzie....

Pan Izydor już był w drodze do urzędu administracji.

Za kilka chwil stanął na drugiem piętrze, otworzył drzwi na prawo.

— Czego pan żądasz? zapytał się go łysy

jegomość, dla którego pan Izydor nagle jakąś estymę uczuł.

— Słyszałem o wakansie, który ma tu być, odpowiedział z pokorą szlachcic.

— I chcesz pan zapewnie swego syna umieścić, aby się aplikował do służby.

— Syna nie mam, tylko trzy córki...

— I cóż pan chcesz z córkami? zapytał z łagodnym uśmiechem mecenas.

— Jestem ich ojcem, mam dla nich obowiązki...

— Cóż to ma do wakansu?

— Gdybym mógł się ubiegać...

— Pan?

— Tak jest. Ja sam.

— A wieleż lat masz pan?

— Pięćdziesiąt kilka.

— Otóż sam pan widzisz, jak niemożliwą jest pańska prośba. My potrzebujemy ludzi młodych, coby przez cały dzień przy biurze siedzieli, którzy wprawiwszy się raz w swój urząd, mogliby długo nam być pożytecznemi. Wiek pana i jak widać, zdrowie nie są pote-

mu. Oczy masz pan sfatygowane, rękę ciężką... a coś pan robił dotąd? Zapewnie gdzieś przy gospodarstwie?

— A tak, gospodarowałem, rzekł pan Izydor powstrzymując łzy, ale przyszło nieszczęście, straciłem całe mienie, zostały mi tylko trzy córki, a jam wdowiec...

— Szczerze ubolewam nad pańskiem nieszczęściem, ale poradzić panu nie mogę. My mamy tutaj do rozdania pracę, a zapomogi żadnéj nie dajemy. A do pracy potrzeba sił młodych i świeżych. Przykro mi, że panu muszę odmówić.

Mecenas skłonił się panu Izydorowi, który wychodząc nie wiedział gdzie drzwi szukać. Biedny chciał pracować, a jemu powiedziano że jest inwalid, że nie zdatny do pracy!

Wyszedłszy jednak na ulicę, otrzeźwił się biedny szlachcic. Tłumy licznego ludu przechodziły koło niego. A byli bogatsi i biedniejsi, czerwone i blade twarze, starzy i młodzi. I pomyślał sobie pan Izydor:

— Mój Boże, wszak niepodobna, aby wszy-

scy ci ludzie mieli majątki. Większa część z nich utrzymuje się z pracy. Przecież nie tak trudno musi być o tę pracę. Ale ja na złéj drodze szukałem téj pracy. Chciałem odrazu posiąść urząd, a tu trzeba się wysługiwać.

I przypomniał sobie słowa woźnego, który mówił, że pan Michał Rybka piętnaście lat był diurnistą! A tem samem przypomniał sobie, że w instytucie prywatnym, krajowym jest także miejsce dziennego pisarza do obsadzenia.

— Zacznę od małego, rzekł do siebie, bo tak uczył ksiądz pijar.

— I zawrócił biedny na „Szeroką ulicę.“

W pięknym pokoju, przy wytwornem łóżku siedział pan X honorowy urzędnik instytucji krajowéj.

— A co tam! zawołał widząc stojącego pokornie przy drzwiach szlachcica.

— Przychodzę prosić łaski wielmożnego pana...

— Krótko! krótko!

— Zawakowało tu miejsce dziennego pisarza...

Honorowy urzędnik wysunął okulary na czoło i zmierzył pana Izydora od stóp do głowy.

— W tym wieku! zawołał.

— Postradałem majątek, mam dzieci...

— A co za majątek miałeś pan?

— Ziemię.

— Toś pan orał całe życie! O mój panie, pióro to nie pług ani brona!

— Skończyłem retorykę u księży pijarów...

— Panie Wegs, zawołał urzędnik instytucji, daj pan mu co do pisania na próbę.

Rzekłszy to, wskazał ręką do drugiego pokoju, gdzie nagle podniosła się kędzierzawa głowa szefa wydziału.

Pan Wegs był to człowiek chudy, wysoki, z bladą, kościstą twarzą. Stanął przed biórem i z góry spojrzał na pana Izydora. Powoli przebiegł go okiem, zacząwszy od butów aż do łysiny, po któréj szukał talentów do tak ważnego stanowiska.

Wreszcie wyjął z piasku duże, atramentem zawalane pióro, strzepnął, namaczał, a podsunąwszy na kraj bióra kawałek siwego papieru, podał go do ręki panu Izydorowi.

— Niech pan tu co napisze, rzekł do niego, najprzód po polsku.

Pan Izydor zgiął się na dwoje, wziął pióro do ręki, a namyśliwszy się chwilę, począł pisać wiersz z księgi Psalmów, który mu właśnie wpadł do głowy:

— „*Człowiek, iáko trawá dni iego: Albowiem powienie wiátr nań, y nic nie ostoi się, y wiencey nie pozna mieysca swoiego.*“

Położywszy punkt, otarł pot z czoła i drżącą od wysilenia ręką podał swoje pensum panu Wegsowi.

Pan Wegs począł czytać, strojąc miny najpocieszniejsze. Już przy drugiem słowie roześmiał się na całe gardło, a przebiegając cały psalm oczyma, usiadł w krześle a trzymając się za boki, zachodził się od śmiechu.

— A gdzież to uczyłeś się pan ortografji? zapytał po chwili przestraszonego szlachcica.

— U księży Pijarów, odpowiedział pokornie pan Izydor.

— Ha, ha, ha! U księży Pijarów! Język *nasz* już od tego czasu do niepoznania! Toż nie

znasz pan, co o ortografji *naszego* języka wyrzekła komisja towarzystwa przyjaciół nauk?.. ha, ha, ha!... *y wiencey..... mieysca swoiego.....* A probuj pan co połacinie napisać.

Pan Izydor wziął znowu za pióro, ale łacina jeszcze fatalniéj wypadła od polszczyzny. Pan Wegs zachodził się znowu od śmiechu. Wreszcie przyszedłszy do siebie, rzekł do pana Izydora z widoczną ironją:

— Dwa examina poszły nienajgorzéj, przystąpmy do trzeciego, który jest najważniejszy. Jakkolwiek instytucja nasza jest prywatną, najwięcéj jednak potrzebujemy języka niemieckiego. Napisz pan co po niemiecku.

Pan Izydor smutno spojrzał na kędzierzawą głowę pana Wegsa, ale pióra się nie tknął. Nie umiał po niemiecku. Tylko jakiś dziwny giest zrobił ręką, z czego examinator domyślił się smutnéj pana Izydora sytuacji.

— Więc widzisz pan niemożliwość swojéj prośby. Dla siwych włosów nie możemy wyrzec się grammatyki. Kto się jéj za młodu nie uczył, ten na starość będzie pisał bez ortografji.

Skłonił się i siadł przed biórem, jakby się wcale nic nie stało. Nie wiedział jaki bolesny cios zadał biednemu ojcu rodziny.

Pan Izydor patrzał zrazu z jakiemś niewysłowionem uczuciem na kędzierzawą głowę examinatora. Jego ręce mimowoli ściskały się w pięści, twarz jego płonęła... ale wnet przemogło uczucie wielkiéj, tragicznéj boleści.

Opuścił ręce jak nieżywy, skłonił się wszystkim, i czemprędzéj wyszedł do sieni, aby jego łez nie widziano.

XIII.

W ubogiéj swojéj izdebce, w domu pana Kulesza siedział Felicjan i czytał list od Hugona, który właśnie w téj chwili dostał. List był pisany z Berlina. Między innemi pisał mu Hugo:

.....Nie uwierzysz, kochany Felicjanie, co za obszerna kraina otwiera się przed memi oczyma! Co dzień widzę daléj, co dzień jaśniéj w mojéj duszy. Pod skalpelem naszéj umiejętności przybiera wszystko ciało, a wkrótce okrzykniemy nasze cudowne odkrycie: Wszystko co żyje, musi mieć ciało, chociażby to ciało miało być tak subtelne, że go ani okiem dojrzéć, ani ręką namacać nie można. Dusza nasza ma ciało, ciało eteryczne, ale zawsze

ciało, które podlega prawom fizycznym. Cały ów świat niewidomy, o którym marzymy, ów świat duchów, nie jest niczem innem jak światem subtelniejszéj materji, która rozlana jest w przestworach świata, i cały rodzaj ludzki wiąże w jednę wielką, zbiorową istotę... Ztąd możemy wytłumaczyć wszystkie psychologiczne pojawy, ową spójnią dusz mieszkających w ciałach oddzielnych, wreszcie ową sympatję ludów, ów magnetyczny prąd w różnych przebiegach oświaty, owe dwa magnetyczne końce ostatecznéj idei ludzkości, które tak trafnie nazwano Alfą i Omegą... Widzisz, kochany Felicjanie, jak bliskim jestem tych wielkich rezultatów, na które ludzkość tyle wieków czeka, aby znowu wejść w przyrodzony swój stosunek, który utraciła w wiekach ciemnoty, a który tak ładnie nazywamy: rajem utraconym. To jest, ludzkość odżyć musi w swojéj duchowéj połowie, zbratać się znowu z niewidomym światem duchów, który jako jaśniejsza część jéj żywota, doprowadzi do końca ostateczny jéj rozwój, a którym jest zduchowienie

całéj ludzkości, dla któréj nie będzie ni czasu ni przestrzeni... Już dzisiaj dla jasnowidzących niema przestrzeni, sen magnetyczny znosi rachubę czasu, tak zwana kraina duchów stoi przed nami otworem....

Felicjan poraz drugi odczytywał dziwnie zagmatwany list swego przyjaciela, i ubolewał nad jego obłąkaniem. Widział go latającego po chmurach, szukającego jak drugi Jazon złotego runa dla ludzkości, gdy tymczasem ludzie na ziemi żyjący, pragnęli tylko owéj miłości, na któréj „zawisł cały zakon i prorocy.“ Tyle łez było do otarcia, tyle rozbitków do wyratowania, tyle pracy blisko siebie, i jakże to mogło być zasługą, spuścić z oka tę ziemię i rzucić się w chmury, w puste, zimne, bezludne chmury!...

I właśnie przyszła mu na myśl nieszczęśliwa rodzina, i przyszły mu na myśl słowa księdza Daniela: kto ci mówi że kocha ludzkość całą, a nie ma kilkoro ludzi wkoło siebie, którymby coś dobrego wyświadczał, temu nie

wierz, ten jest albo faryzeuszem, albo obłąkanym!...

Chciał właśnie wyjść na Piekarskie, i coś o zabiegach pana Izydora się dowiedzieć, gdy do izdebki wszedł p. Kulesz.

— Kochany panie Felicjanie, rzekł widocznie zasmucony, ach cóż to za nieszczęśliwy człowiek jest ten pan Izydor? Niedaremnie mówią: że kto pod złą gwiazdą się urodzi, tego nieszczęście i bieda się nie puszczą.

— Cóż takiego się stało? zapytał skwapliwie Felicjan, wczoraj tam byłem...

— Biedny! chodził dzisiaj za kawałkiem hleba. Nigdzie go nie znalazł, a nawet śmiano się i urągano z niego.

Felicjanowi stanęły łzy w oczach.

— Cóż ja mogę dla niego uczynić? zapytał i oczy w ziemię spuścił, bo uczuł jakiś wyrzut sumienia.

— A pan... pan... zapewnie że nic... ale trzeba jakoś o nim pomyślić... biedny zagryzie się przed czasem! Fundusik skąpy, a tu trzy córek... żeby choć jedna za mąż była poszła,

miałby starowina gdzie głowę położyć... trzeba jakoś pomyślić, poczciwy Izydor! Serce się mi kraje!...

— Czy ma pan jaki sposób? zapytał po chwili Felicjan.

— Sposób? trudno, bardzo trudno o sposób. Biedne dziewczęta, zejdą na ostatnią biedę. A gdy ojciec umrze, cóż się z niemi stanie?...

— Więc niema żadnego sposobu, aby im dopomódz? powtórzył Felicjan zapytanie, a w jego głosie były łzy.

— Znalazłby się wprawdzie sposób, cedził przez zęby pan Kulesz, ale ten sposób mógłby ubliżyć tak zacnéj familji!

— Jakiż to sposób?

— Jestem członkiem towarzystwa dobroczynności... mógłbym pana Izydora wpisać na listę ubogich miejskich i prosić o wyznaczenie jakiéj jałmużny...

— Co! on ma rękę wyciągać po jałmużny....!

— Może być, że dzisiaj nie potrzebuje czy-

nić tego, ale jutro, pojutrze, za miesiąc... kapitalik szczupły, o tem wiem...

— Mój Boże!... Nie, nie panie Kulesz, odparł żywo Felicjan, ojciec téj rodziny nie może żebrać. Znajdzie się ktoś, kto dla niéj pracować będzie.

Pan Kulesz spojrzał z dziwnym wyrazem na młodzieńca. Trudno było wyczytać co z tego wyrazu, to jednak pewnie, że nie pochodził z czystego serca.

Felicjan nie widział tego wyrazu, bo przed nim stał obraz nieszczęśliwéj rodziny.

Wychodząc po chwili z izdebki, aby pana Izydora odwiedzić, pomyślał sobie Felicjan:

— Gdyby Hugon zamiast ludzkości, mógł ludzi widzieć, miałby piękniejsze pole do poświęcenia się, niżeli szukać czegoś, co Bóg przed nami ukrył!

Za kilka chwil był już na Piekarskiem.

Pan Izydor mieszkał na Piekarskiem. W ubogiéj ustroni miasta najął sobie trzy izdebki. Dwie izdebki zostawił dla siebie, a trzecią urządził do wynajęcia. Ale nadzieje nieszczę-

śliwéj rodziny jakie sobie jadąc do Lwowa roiła, rozbiły się w krótce. Do szycia, lub haftowania trudno było co dostać, nie mając w mieście znajomości, a o względach, o jakie obie starsze córki marzyły, nikt ani myślał. W wielkiem mieście jest się jakoś więcéj egoistą niżeli na wsi. Tysiące ludzi ocierają się codziennie o siebie, witając się obojętnie, a że wszystkim potrzebnym dopomódz nie można, niedopomaga się nikomu. Jedna Mańcia nie upadła na duchu. Schowawszy prześliczne swoje włosy pod zgrabny czepeczek, krzątała się po szczupłych izdebkach, urządzała sobie kuchnię, i najświetniejsze roiła marzenia. Miała kilkunastu stołowników, dobierała najlepsze potrawy, liczyła zysk, słowem, marzyła po swojemu o niebieskich migdałach.

Nie tyle szczęśliwym w swoich marzeniach był pan Izydor. Najlepsze nadzieje, najlepszą otuchę przywiózł był z sobą do miasta, ale jakże srogo się rozczarował! Grała w nim krew szlachecka. Zdawało mu się, że potrzebuje tylko rękę przyłożyć, a wszystko się mu uda.

Nie było urzędu, nie było zatrudnienia, do którego nie czułby w sobie zdolności. Chciał w świat wejść na przebój, krzyżową sztuką zwalczyć zapory i zwycięzcą stanąć u celu.— Ale dzisiaj poznał biedny, że mistrzostwo jego mieszkało tylko w fantazji. Cokolwiek chciał wziąć do ręki, wypadało mu z niéj, a po niewczasie dowiedział się, że nauka jego i siły nie mogły już dzisiaj wystarczyć. Świat postąpił tymczasem, a on został w tyle, i tylko dobre, poczciwe serce zostało przy nim. Ale cóż mu to serce dzisiaj pomoże?...

Rozczarowany, z łzami w oczach wrócił do domu. Postarzał się o lat dziesięć, zgarbił się i pobladł. Smutna, okropna przyszłość stanęła mu przed oczyma. Siadł w krześle i szklanym wzrokiem patrzał przed siebie.

Do izdebki wszedł Felicjan. Widok p. Izydora przestraszył go.

— Jestem już nie potrzebnym na tym świecie, rzekł do niego pan Izydor, jestem niezdatny do pracy. Świat dzisiejszy umie wiele, a jam nieuk! Wyśmiano mnie, urągano się ze

mnie, gdym prosił o pracę. Ciężko mnie Bóg doświadcza. Trzeba być z żelaza, aby się nie złamać.

I strumień łez puścił mu się po twarzy. Felicjan chciał coś mówić, ale słowa zamarły mu w ustach. Jednym rzutem oka objął całe nieszczęście biednego ojca rodziny. Poczuwał się do obowiązku dopomódz téj rodzinie, ale jakże to uczynić?

Należało najprzód strapionemu ojcu wrócić utraconą otuchę, wiarę we własne siły jego, która do walki życia koniecznie jest potrzebną. Powtóre potrzeba było przed podejrzliwem okiem Izydora ukryć pomoc swoją, i w ten sposób ją objawić, jakby ona była owocem własnéj pana Izydora pracy.

Pochwyciwszy więc tę myśl szczęśliwą przystąpił do dzieła. Wysłuchał całéj historji dnia dzisiejszego, a zastanowiwszy się nad nią dokładnie, ozwał się w ten sposób:

— Z tego, coś mi pan powiedział, widać, że o urzędzie nie ma co myślić, ani nawet o żadnem diurnum.

— O jałmużnie trzeba myśleć panie Felicjanie! Za pół roku... za rok... może trza zostać kościelnym dziadem!... Człowiek do niczego nie zdatny!

— Do tego jeszcze daleko. Chwytając się różnych środków utrzymania, zapomniałeś pan o najważniejszym.

— O jakim? zapytał ciekawie biedny inwalid, a twarz jego wyjaśniła się jak twarz chorego, gdy mu lekarz powie że jeszcze żyć może.

— O najważniejszym, a mając go, dziwię się, żeś go pan nie ujrzał, tylko chciał siebie tak poniżyć!

Pan Izydor posuwał się na krześle z niecierpliwością. Felicjan ciągnął daléj:

— Czytałem repliki, coś pan pisał w swoim procesie...

— Ico, nie były wcale głupie? zapytał skwapliwie pan Izydor.

— Nawet bardzo dobre. I palestrant z powołania nie napisałby lepiéj. Bystre pojęcie, dobry wykład...

— A co, nieprawda? zawołał w najwyższem uniesieniu pan Izydor, jam to sobie nieraz sam tak myślał... przecież człowiek nie taka zabita pałka... a pandekta przewertowałem od deski do deski... na palcach znam paragrafy...

— Otóż na cóż u cudzych bogów prosić chleba! Przyjedzie jaki obywatel, pójść do niego, wziąć procesik... a przy znajomościach...

— O ho, ho, znam całe Podole... Zresztą mnie, szlachcicowi prędzéj zawierzy szlachcic niżeli téj hałastrze...

— A więc będzie chleb gotowy, a nawet i coś złożyć można.

Pan Izydor nie miał już słów dla Felicjana. Rzucił się mu na szyję i rozpłakał się jak dziecko. Felicjan bowiem więcéj dał mu w téj chwili niżeli chleb do ręki, on dał mu to wewnętrzne przekonanie, że przecież do czegoś jest zdatny, że przecież pracować może, a czego tak gorąco do zaspokojenia szlachetnéj dumy swojéj pragnął pan Izydor. Uczuł się młodszym o lat dwadzieścia, otucha we własne siły i zdolności rozgrzała mu krew.

Ale wkrótce zwiesił głowę i posmutniał.

— Nie umiem pisać po dzisiejszemu, powiedziano mi, nieuczyłem się dzisiejszéj ortografji!

— To najmniejsza, rzekł na to z uśmiechem Felicjan, pan staraj się o interesa, a co pan napisze, to ja poprawię, postaram się o podpis, podam do sądu i wszystko pójdzie dobrze.

— Ach jakiż ze mnie człowiek, wołał w extazie szczęścia pan Izydor, i mnie nie przyjść odrazu na tę myśl zbawienną a tak prostą! Prosta, i jasna jak dwa a dwa! A przy tem i swemu procesowi nie da się zaspać! Poda się rekurs do Wiednia!...

Pan Izydor był szczęśliwym, a jeszcze szczęśliwszym Felicjan. Mańcia tylko smuciła się że nie ma stołowników, ani lokatora do wypróżnionego pokoiku.

* * *

Kilka miesięcy minęło. Pan Izydor miał mnóstwo interesów. Felicjan uśmiechał się widząc go siedzącego przy stole z ogromnem piórem w ręku a okularami na nosie, i macha-

jącego po siwym papierze. Patrząc na tę twarz bladą, zmarszczkami pooraną, na to wielkie, nachmurzone czoło, rzekłbyś, że to mecenas pierwszego rzędu, że z pod tego ogromnego pióra wyjdzie replika, godna doktorów padewskich, gdy tymczasem wszystkie te ramoty spoczywały w koszu u Felicjana. Biedny młodzieniec pracował po całych nocach, wyrabiał pozwy i rekursa, podawał do sądu, a pan Izydor cieszył się każdą sprawą wygraną, przypisując ją swojéj jurisprudencji! Ciekawym był tylko, co w jego robocie Felicjan odmieniał, biedny, on nie wiedział, że Felicjan wszystko na nowo robił, a koncepta jego kładł do kosza!

Ale tego jużby dzisiaj pan Izydor nie uwierzył. Był wielce zarozumiały względem swojéj palestrantury.

Tymczasem wyglądał Felicjan coraz bledziéj. Praca nocna wycieńczyła jego siły. — Będąc u pana Izydora i słuchając jego przechwałek palestranckich, nieraz zakręciła się mu łza w oczach i myślał sobie:

— Gdyby Bóg na mnie dopuścił choroby jakiéj, cóżby się stało z tą biedną rodziną? — Pan Izydor rozczarowałby się poraz ostatni w życiu! A rozczarowanie to byłoby początkiem śmierci głodowéj!...

I jakoś bliskiem zdawało się być to rozczarowanie, bo Felicjan co dzień czuł się słabszym, co dzień niknęło jego zdrowie. O Renacie ani wieści nie było. A przecież z każdym dniem przekonywał się biedny młodzieniec, że bez niéj żyć mu niepodobna!

Jeszcze jeden nowy cios zakrwawił jego serce.

Jednego wieczora przyszła mu wiadomość, że Hugon przyjechał. Czem prędzéj pośpieszył do hotelu. Chciał się mu rzucić w ramiona, na jego sercu wypłakać się, wyspowiadać mu wszystkie swoje cierpienia i roskosze... ale Hugo patrzał na niego szklanemi oczami, oczami obłąkanego.

Felicjan krzyknął a Hugon spojrzał na niego, otworzył blade usta i począł mu coś mówić o duchach, z któremi rozmawia, a od któ-

rych dowiaduje się rzeczy niesłychanych, tajemnic okropnych!... Wskazywał ręką i machał po powietrzu, jakby ktoś stał przed nim i z nim rozmawiał.

Szukając duchów, stracił rozum! Dostał obłąkania.

Nazajutrz miała Mańcia lokatora do próżnego pokoiku.

XIV.

Było to późno w wieczór. Po ulicach Lwowa szalała burza jesienna. Deszcz ze śniegiem bił w okna kamienic, a zapalone przed godziną latarnie pogasły i tylko gdzie niegdzie migotał blady płomyk światła.

Na Ormiańskiéj ulicy było pusto i ciemno. Tylko z okien kamienic padało blade, niepewne światło. Całe życie miasta zamknęło się w murach.

Pan Kulesz siedział przy kominku, a patrząc w pryskający ogień, ruszał ustami, jakby coś mówił do siebie. Był sam jeden, a w całem pomieszkaniu panowała jakaś duszna, grobowa cisza. Tylko w przyległym salonie, które-

go okna wychodziły na ulicę, słychać było szum wiatru, który szalał na ulicy.

Koło komina stał mały stolik, a na nim leżał list rozwinięty. Wiatr trącił o szyby, aż zabrzęczały, a pan Kulesz drgnął jakby kto go obudził i prędko za list pochwycił. Z jakąś dziwną bojaźnią spojrzał ku drzwiom, wstrzymał oddech, słuchał przez chwilę, a gdy wszystko ucichło, obrócił się znowu do ognia a list schował do kieszeni.

— Dziwne zdarzenie, mówił niby do własnych myśli swoich, tego się nigdy nie spodziewałem... Drugi list z Paryża... ludzie zmartwychwstają... z dwóch testamentów musi być jeden fałszywy..... Tamten wprawdzie umarł, ta zwarjowała i gdzieś przepadła... ale przecież to niedostateczne... kto wie... trzeba temu koniec położyć.....

Niedopalone ogary rozsunęły się na kominku, kilka iskier prysnęło i uleciało w komin. Pan Kulesz obejrzał się w koło siebie, zdawało mu się, że ktoś przy nim stanął.

I znowu nastała głucha cisza w pokoju. —

Tylko z za okna odzywała się burza w tysiącznych akordach, a siedzącemu przy kominku zdawało się że słyszy gwar zgromadzonego trybunału, słyszy oskarżania sędziów, obronę obwinionych... a śród tego jak strzały armatnie padały wyroki, raniły i zabijały, a po nich następował jakiś, cichy przytłumiony jęk, jak jęk rannych na pobojowisku....

Pan Kulesz wstał od kominka i kilka razy przeszedł się po pokoju. Dochodząc jednak do sali, zatrzymał się przed drzwiami. Jakiś dziwny szmer dochodził go ztamtąd. Były to dzikie, niezrozumiałe głosy burzy.

Otworzyły się drzwi od sieni, Felicjan wszedł do pokoju.

Był nadzwyczaj blady, chwiał się idąc.

— Dobrze żeś pan przyszedł, rzekł do niego pan Kulesz, już chwilę czekam na pana.

— Miałem wiele do czynienia, odpowiedział Felicjan.

— Pan się rujnujesz pracą, jestto zbytek szlachetności...

— Obowiązkiem moim...

— Ha, cóż robić, wszyscy mamy obowiązki... pan Izydor biedny, bardzo biedny człowiek.... A jakże się pacjent miewa? Czy zawsze jeszcze widzi duchów? Cóż mu gadają?

— Zdaje się że to tylko fixacja...

— Fixacja mówisz pan? A prawda, prawda, to wszystko fixacja!... nieznośna fixacja!... Siadajno panie Felicjanie, tu przy kominku, będziemy coś o tem mówić. Przyznam ci się, że z niecierpliwością czekałem na pana. Bo to człowiek sam jeden w domu, jak palec. A tu ani za próg nie można wyjść, szalona burza! A gdy tak okna brzęczą i po pokoju świszcze, to dziwne myśli przychodzą człowiekowi do głowy. Aż strach!

I usiedli obaj przy kominku. A wyglądali tak jakoś blado, tak mało ruchu było w tych postaciach, że patrząc na nich zdala, możnaby ich wziąć za dwa marmurowe posągi.

Kilka chwil siedzieli w milczeniu. Pierwszy ozwał się pan Kulesz:

— I cóż ty, panie Felicjanie, sądzisz o duchach? Czy mogą duchy nagabywać człowieka?

— Przyznam się panu, odpowiedział Felicjan, że nad tem nigdy nie lubię myśleć. Bo juściż do czego to nas może doprowadzić? Gdzie zaszedł biedny Hugo?

— No juściż ja tak na serjo tego nie biorę. Ale właśnie dzisiaj przyszło mi tak coś do głowy. Mój nieboszczyk ojciec opowiadał mi...

— Wszystkim podobnym opowiadaniom z góry nie wierzę. Dziwna rzecz, że zawsze poświadczamy się tymi, co widzieli, a z nas żaden nie chce się przyznać, aby na własne oczy coś widział.

— Właśnie panie Felicjanie, chciałem ci powiedzieć, że przed chwilą... nim przyszedłeś...

— Przeszedł przedemną duch jakiś...

— Tak siedziałem jak teraz przed kominkiem, a tam pod oknem stała świeca. Wtem nagle widzę nad kominem cień jakiejś kobiety. Obejrzałem się wkoło, ale nikogo nie było. Cień zwolna zsunął się z komina na ścianę i tak szedł, szedł aż do drzwi salonu. Tam się zatrzymał, zgiął się jak papier i przez szpa-

rę drzwi wsunął się do salonu... Mogło to być przywidzenie..... jakaś fixacja..... ale przecież dziwne zrobiło na mnie wrażenie. I od tego czasu, zdaje mi się, że w salonie jest jakiś dziwny rezultat... Co to może imaginacja!...

— Imaginacja często płata nam podobne figle...

— A jeszcze coś panu powiem. Śniło mi się dzisiaj, że w koło mnie leżało mnóstwo srebrnych pieniędzy, Nagle słyszę szmer głuchy i patrzę w około, aż tu wszystkie głowy Cesarskie i Królewskie na pieniądzach zaczynają wargami ruszać, oczami przewracać i między sobą rozmawiać. Nadstawiłem ucha i słuchałem. Najgłośniéj z nich rozmawiał talar saski, bo też największą miał głowę. Opowiadał swoje dzieje, jak był u żyda w zastawie, ztamtąd poszedł do młodéj dziewczyny, która go znowu dała staréj matce. Matce go wydarto przemocą, a wydarł go jakiś człowiek majętny i musiał go potem myć, bo na nim były krwi ślady! I wiele jeszcze okropnych rzeczy opowiadał ten talar pruski. Ale nie mógł

dokończyć, bo go zakrzyczał grosz jakiś, którego dotąd nawet nie widziałem. Krzyczał na całe gardło, choć główka na nim tak była małą jak groch dobry. A krzyczał ciągle: jam grosz wdowi, jam grosz wdowi... byłem u wdowy ostatnim, a mnie wydarto jéj!... I cóż na to panie Felicjanie, ten grosz wszystkich przekrzyczał!

— Dziwne sny zaprawdę...

— Dziwne, bardzo dziwne... ale to wszystko imaginacja, fixacja! Przedwczoraj liczyłem pieniądze i otzaraz się w nocy coś przyśniło!... A przecież taka rzecz rozstraja człowieka. — Sny są dowodem wielkiéj niedoskonałości naszéj. Bardzo słusznie mówi święte pismo, że jesteśmy istoty niedoskonałe...

— Niedoskonałość nasza zawadza nam wprawdzie przy każdym kroku, ale przecież od nas samych zależy, być coraz więcéj doskonałymi.

— A to jakim sposobem?

— Mieć w życiu wiele dobrych uczynków. Czyniąc dobrze ludziom, nie mamy czasu do

tych dziwnych myśli, które sprowadzają fixacje, drażnią imaginację...

— O, dobre uczynki, to więcéj niżeli złoto Sam tego nieraz doświadczałem, a nawet te raz zamyślam uczynić krok, który może najlepszym moim uczynkiem będzie.

Felicjan spojrzał ciekawie na mówiącego. Słowa pana Kulesza a mianowicie ich akcent szczególny, miał w sobie coś tajemniczego.— Widząc ciekawość Felicjana, począł pan Kulesz:

— Przed trzydziestu laty byłem tak samo młodym i biednym jak ty teraz, panie Felicjanie. Miałem dobre serce, pragnąłem przyjaźni. Ale wkrótce rozczarowałem się. Spostrzegłem, że bez majątku najszlachetniejszym popędom serca niepodobna uczynić zadość. Majątek to grunt na którym się wszystko funduje. Żaden szlachetny owoc nie wyrośnie z powietrza. Więc zakasałem rękawy i robiłem majątek. I myślałem sobie, teraz będę szczęśliwym!... I cóż sądzisz, czy mogę być szczęśliwy?... Nie tak, jak sobie wyobrażałem. Ma-

jąc na względzie liczbę zysków zapomniałem o liczbie strat, o liczbie lat moich. Dziś zaokrągliła się liczba mego majątku, ale wiem czego mi brak?... Młodości, młodości mi brak! A ja przecież nie myślałem tak sam jeden na świecie przeżyć!... A to tak smutno być samemu, samemu pożywać owoc pracy tyloletniéj, a patrząc poza siebie, nie widzieć żadnéj młodéj latorośli, żadnego szczerego przyjaciela, któryby nad naszym grobem zapłakał!... Otóż choć późno, zdecydowałem się ożenić.

— Ożenić! zawołał Felicjan, a w jego twarzy mimowoli malowało się zdziwienie.

— Tak jest, ożenić się. Ciebie to zadziwia. I słusznie. Jestem za stary do tego kroku. Ale nie myśl sobie, żebym był tak nierozsądny, i myślał o jakichś rozkoszach pierwszéj miłości! Nie, o tem nie myślę, poprostu chcę dobry uczynek zrobić.

— Zapewnie jakaś nieszczęśliwa, biedna.....

— Niegdyś myślałem, że mając majątek mogę z równym majątkiem wziąć sobie żonę.

Dziś inaczéj sądzę. Nie jestem młody. Tem tylko mogę do siebie kobietę przywiązać, jeśli ją wezmę z nędzy i ubóstwa, dam jéj imię, którego niema i postawię ją w rzędzie osób, o których nawet nie marzyła. Zamyślam pojąć biedną sierotę, jednę z owych nieszczęśliwych istot, które błąkają się po świecie, bez opieki...

Rzekłszy to spojrzał ciekawie na Felicjana, czekając, co on na to powie. Ale Felicjan patrzał w ogień i zdawał się być zamyślony. — W istocie słyszał on dobrze, co mu pan Kulesz opowiadał, ale nie chciał mu swego zdania objawić. Dziwną bowiem wydała się mu szlachetność pana Kulesza, który nietylko majątkiem ale i osobą swoją chciał kogoś uszczęśliwić. Nic mu jednak na to nie odpowiedział, bo jużciż są kobiety, które i w ten sposób uszczęśliwiać się dają, nie będąc koniecznie sierotami bez imienia. Milczał więc i zamarzył sobie o Renacie.

— Jakże pan ten krok mój oceniasz? zapytał go pan Kulesz.

— Uszczęśliwienie biednéj sieroty jest zawsze dobrym uczynkiem.

— No cieszę się, że tak sądzisz. O wierz mi panie Felicjanie, tak jakoś pragnę dobrych uczynków, takbym chciał każdy krok mój, co mi jeszcze do grobu zostaje, dobrym jakim uczynkiem okupić, że gdybym tylko wiedział jaki sposób...

Pan Kulesz wstał z krzesła i począł się przechadzać. Chód jego znamionował jakiś dziwny niepokój. Za każdym krokiem patrzał poprzed siebie, jakby się lękał jakiejś przepaści. Wreszcie stanął przed kominkiem.

— Wierzaj mi panie Felicjanie, są chwile w życiu, w których koniecznie trzeba coś dobrego uczynić, inaczéj nie mamy spokoju, brzydkie sny trapią nas w nocy, krew rozgrzewa nam wyobraźnię i przywidują się nam jakieś okropne potwory. Czy nie doświadczyłeś nigdy tego?

— Jestem jeszcze młody, nie wiele mam doświadczenia, ale tyle wiem, że dobre uczynki dają spokój duszy...

— O! spokój duszy, to wiele, bardzo wiele. Gdyby i drogo za to zapłacić!..... Bo to strasznie i okropnie jest, nie mieć pokoju, nigdzie nie znaleść... a tu tymczasem w szumie wiatrów jakieś dziwne głosy wołają na nas, zdaje się nam, że szatani chichoczą... każdy liść drzewa, szmer fali, chmury na niebie, gwiazdy, wszystko to mówi do nas, jakby nas o coś oskarżało... grozi... woła...

— To może być głos sumienia...

— A sumienia?... prawda, masz słuszność, to sumienie czasem jest takie ckliwe, chore, jątrzące się jak wątroba lub śledziona... Mówią nawet że takie sumienie nie jest niczem innem jak chorobą wątroby... A św. Augustyn pisze o podobnem sumieniu, że go nietrzeba słuchać...

Tu począł się znowu pan Kulesz przechadzać. Zatrzymał się przy oknie i słuchał chwilę jak burza szaleje.

— Co za burza, aż się straszno robi!.. O! sumienie chore, to wielka choroba, panie Felicjanie! Nie możesz mu nigdy gardła zapchać,

zawsze głodne, zawsze pragnie!... Chciałbym jeszcze coś dobrego uczynić... dam jutro tysiąc reńskich dla ubogich... ale to wszystko mało, mało mój panie Felicjanie! Chciałbym dla pana coś dobrego uczynić... i tak ożeniwszy się, zaprzestałbym mojéj funkcji, a w takim razie musiałbyś pan, coś na własną rękę przedsięwziąć... na własnych stanąć nogach.

Słowa te obudziły nagle Felicjana. Były one grzecznem wypowiedzeniem miejsca. Ale szlachetny młodzieniec zapomniał w téj chwili o sobie, myślał o biednym panu Izydorze. — Wstał z krzesła, a biorąc pana Kulesza za rękę, rzekł do niego:

— Pan pragniesz dobrych uczynków, chcesz dla mnie uczynić co dobrego. Dam panu sposób zaspokojenia swego szlachetnego sumienia. Pan Izydor...

— A pan Izydor! Myślałem o tem, myślałem. Ale mówię panu, że dla pana Izydora nie mam żadnych obowiązków. Jestto człowiek uparty i nieużyty. Mimo nędzy swojéj patrzy z góry na człowieka. Tego znieść nie mogę.

W nieszczęściu powinien być człowiek pokornym... Więc nie dla niego, ale dla pana chcę coś uczynić. Wiem o tem że Mańcia...

— O panie, uczyń co dla niego... dla mnie...

— Dla pana uczynię wszystko. Chciałbym sobie pana czem zobowiązać. Oto patrz, już wszystko gotowe, tylko zaakceptuj. Jutro przy świadkach możesz pan podpisać... Nabyłem wszystkie pretensje, ciążące na majątku pana Izydora. Odstąpię je panu z bardzo małem zastrzeżeniem... bagatelka... będziesz panem całéj jego fortuny, a Mańcia...

Nie dokończył pan Kulesz, bo Felicjan rzucił się mu na szyję. Płakał jak dziecko, i nie mógł przyjść do mowy, aby mu podziękować.

Uwolniwszy się od uścisków młodzieńca, przystąpił pan Kulesz do biórka i wyjął z niego papiery.

— Patrz! wszystko gotowe! Pragnąc sam szczęścia, chciałem abyś i pan był szczęśliwy!

Felicjan był już nad miarę szczęśliwy! Chciał pójść do swojéj izdebki, chciał się rzucić na

łóżko, marzyć, śnić, płakać i czekać dnia w najokropniejszych mękach. Bo jakąż to męką jest dla szlachetnego serca, posiadać czyeś szczęście, a nie módz je dość prędko oddać!... Ale pan Kulesz powstrzymał go za rękę i rzekł:

— Nie odchodź panie Felicjanie... północ nadchodzi, a mnie jakoś straszno... szalona imaginacja!

Felicjan w téj chwili nie był wcale psychologiem. W innym czasie byłby może coś spostrzegł w twarzy pana Kulesza, która w saméj rzeczy podobną była teraz do twarzy potępionych, które widzimy na „ostatecznym sądzie“ Michała Anioła; ale Felicjan był szczęśliwym! A szczęśliwy nie bada, nie wnioskuje, szczęśliwy używa!

Wreszcie minęła północ, Felicjan odszedł do swojéj izdebki, aby śnić o szczęściu nieszczęśliwéj rodziny, a pan Kulesz zbliżył się do łoża, aby na nim przebyć cierpienia madejowe!

Bo jakież to dziwne były te cierpienia! Cię-

żka, straszna zmora przylegla go wzdłuż, tchu mu w piersi zabrakło, dusił się, konał, umarł, a po śmierci czuł jeszcze, jak robak przyłożył kościany swój pysk do jego ciała, i zwolna je póty wiercił, póki się cały nie schował, póki nie wszedł w żyły, aby zamiast krwi po jego umarłym ciele przelecieć. I zapełzał się aż do serca i począł tam gryść i wiercić... a umarły czuł to wszystko.

Już był dzień biały, gdy się pan Kulesz przebudził. Otarł pot z czoła, i podziękował Bogu, że to tylko sen był. Mimo to drżał cały na ciele, a ubrawszy się posłał czemprędzéj po Felicjana, aby mu wręczyć dokumenta, tyczące się sprawy pana Izydora.

Około dziewiątéj godziny przyszli świadkowie. Pan Kulesz chwycił prędko za pióro, jakby go co wewnątrz piekło.

Felicjan pobiegł szczęśliwy do pana Izydora, świadkowie odeszli, a pan Kulesz znowu sam pozostał.

Chodził po pokoju, był nadzwyczaj niespokojny. Wyjął tysiąc reńskich, które był wczo-

raj dla ubogich przeznaczył, i położył na stoliku. Zdawało się, że widok téj ofiary gasił w nim zwolna ogień, co go palił i działał łagodnie na chore jego sumienie, jak balsam chłodzący.

Ale niedługo trwała ta ulga. Snać go znowu piec zaczęło, bo znowu otworzył biórko, wyjął sto reńskich, i położył je na tysiąc. — Lecz i to nie pomogło na długo. Wyjął pięćdziesiąt i dołożył. Za godzinę przyszedł z kolei do pięciu.

Właśnie kładł je na stole gdy do pokoju wszedł pan Hetka. Pan Kulesz rzucił się niecierpliwie na niego:

— Czemuż tak późno, krzyknął, myślałem że oszaleję z niecierpliwości. Kiedy co robić, to robić. Cóż, byłeś pan w klasztorze?

Właśnie idę ztamtąd, odpowiedział p. Hetka, strzepując deszcz z rękawa, leje jak z cebra, a burza, jakby się kto obwiesił!... A to tymczasem tylko baba umarła.

— Jaka baba, co za baba?

— Ot szpitalna baba. Dlatego spóźniłem

się. Idąc bowiem do klasztoru nie mógłem się przepchać przez tłum ludzi, co stali na schodach kamiennych przed klasztorem, obstąpiwszy babę umarłą. Siedziała tam na schodach i żebrała przez rok cały, a nawet deszcz i burza nie mogły jéj ztamtąd spędzić. Otóż dzisiejszéj nocy dobiła ją słota.

— Co mi pan tam o babie prawisz! Co mi do baby! umarła, zakopią ją i kwita... A jakie wiadomości masz pan dla mnie?

— Renata jest pod dozorem siostry Klary. Siostra Klara bardzo ją lubi i sama udziela jéj nauki. Mówi, że dziewczyna ma wielkie talenta, zdaje się, że chce ją wykształcić na nauczycielkę.

— A mówiłeś pan z siostrą Klarą?

— Mówiłem tak zdaleka... nie wymieniając imienia... a panna Klara powiedziała mi, że to od Renaty zależyć będzie. Renata jest bardzo nabożna, a jeśli jaki grosz zapracuje, to zazwyczaj daje ubogim. Ubogich bardzo lubi, i nieraz z tem się ozwała, że gdyby była majętną, świadczyłaby wiele ubóstwu. Tak mi mówiła Małgorzata służąca z klasztoru.

Pan Kulesz myślał chwilę. Nagle ozwał się do Hetki:

— Trzeba tę rzecz skończyć, prędko skończyć. Dziś jeszcze, rozumiesz pan, dziś jeszcze.

— Wszak to od pana dobrodzieja zależy. Ja na miejscu pana...

— Czy sądzisz, że nie będę miał trudności?

— Sierota, bez majątku... nie posiada się z szczęścia, będzie panią!...

— Tak, tak, będzie panią, wiem o tem... ale przecież mogłoby coś jéj przyjść do głowy...

— Sądzi pan, że Felicjan...

— Ej co mi tam Felicjan! Z takimi ludźmi łatwa sprawa. Złapałem go w łapkę, ani piśnie! Niech się bawi w poświęcenia.

— Więc nic w drodze nie stoi...

— Nic, nic... wprawdzie nic... ale przecież trzeba tę drogę sobie dobrze wygładzić, aby karku nie złamać. Jesteś szczwany lis, mój ty Hetka, a nie wiesz, że do wszystkiego trzeba sobie wprzód drogę utorować. Trzeba pier-

wéj ludzi dobrze uprzedzić o sobie, a potem dopiero dać się im poznać. Gdy o człowieku zaczną dobrze mówić, to już łatwa sprawa.

— Cóżby wypadało uczynić?

— Trzeba, żeby klasztor, siostra Klara i Renata poznały mnie jako człowieka nabożnego.

— Dać na kilka mszy świętych, coś dla ubogich...

— Nie, nie, to mało. Trzeba wyprawić jakieś widowisko, o czemby ludzie mieli do mówienia... Mówisz więc, że Renata lubi ubogich?

— Tak mówiła mi Małgorzata...

— Pod klasztorem umarła jakaś baba szpitalna...

— Tak jest. Widziałem ją na własne oczy.

— Otóż wszystko mamy pod ręką. Pójdziesz pan zaraz do klasztoru i powiesz, że p. Kulesz szanując ubóstwo, sprawia téj babie wspaniały pogrzeb, a po pogrzebie wielką ucztę dla ubogich. I o jałmużnie się wspomni... Niech dzwonią we wszystkie dzwony... kupię

ładną trumnę, zapłacisz katafalk, świece..... i zajmiesz się, aby ta uboga miała pogrzeb bogaty... Rozumiesz pan?... A gdy się to rozgłosi... wjadę do klasztoru, jakby przez bramę tryumfalną... Co za szczęśliwa myśl!...

I w saméj rzeczy mógł sobie pan Kulesz winszować téj myśli. Nie była ona jednak oryginalną, bo przed panem Kuleszem wielu już ją praktykowało i po nim praktykować będą, chociaż nie w tym samym sposobie. Nic niema nowego pod słońcem.

Pan Kulesz zbliżył się do stolika, na którym opłacając się choremu sumieniu złożył był przed chwilą spory stos banknotów. Wziął z nich część i oddał swemu zausznikowi.

— Idź pan, i spiesz się, zawołał do sieni za nim, aby w południe już ludzie o tem wiedzieli.

I zatarł sobie ręce pan Kulesz i chciał się uśmiechnąć do siebie, ale uśmiech zastygł mu jakoś na pół drogi.

W téj saméj chwili na Piekarskiem klęczały trzy siostry i modliły się do Boga. Tylko

pan Izydor stał jeszcze na środku izdebki i myślał sobie: I bez tego byłbym wygrał mój proces; rekurs posłany do Wiednia, nad którym przez dwa tygodnie pracowałem, był arcydziełem! Dowiodłem jasno jak dwa a dwa!.....

Lecz przecież w końcu ukląkł i serdecznie Bogu za przyspieszenie podziękował.

* * *

Słusznie mówił pan Hetka, że Renata lubiła ubogich. Sama była ubogą, sierotą przyszła do klasztoru. Gdyby była przyszła za lat dwadzieścia, musiałaby usiąść na kamiennych schodkach i żebrać. Ale Renata była młoda mogła się jeszcze uczyć i pracować, być klasztorowi i ludziom użyteczną, toż gościnne znalazła tam przyjęcie. Siedząc w klasztorze nie zapomniała jednak o tych, co przed klasztorem siedzieć i żebrać muszą. Otóż najmilsze było jéj zatrudnienie, jeśli kiedy jaki datek klasztoru dla biednych przez jéj ręce przechodził. Wtedy rozmawiała z nimi, wypytywała się o koleje ich życia, i pocieszała słowami pisma świętego.

Dzisiaj po południu, jak było jéj zwyczajem, wyszła do furty klasztornéj. Ale wieleż to dziwnych rzeczy mogła się dowiedzieć! Dowiedziała się o lepszym pogrzebie, który czeka nieboszczkę, o któréj nagle tysiączne były wieści. Teraz dopiero zwrócono na nią uwagę. Przypominam sobie, że siedząc na schodach, dziwne rzeczy opowiadała swoim sąsiadkom. A nikt sobie nie mógł już dobrze tego przypomnieć, jak to było, ale było to zawsze coś nadzwyczajnego. Gdyby babę zwyczajnie, w łachmanach pochowano, niktby o niéj dzisiaj nie był mówił, ale pogrzeb wspaniały, trumna malowana, i stypa, któréj z niecierpliwością oczekiwano, wszystko to otoczyło nieboszczkę jakąś tajemniczą aureolą. Opowiadano sobie najdziwaczniejsze historje, jedne cicho na ucho, inne głośno, z hałasem, a najgorzéj, jak to w takim razie bywa, wyszedł na tem sam wspaniałomyślny dobroczyńca.

O tem wszystkiem dowiedziała się Renata, a chociaż właściwie nic nie wiedziała, widziała jednak w tem coś nadzwyczajnego. Poszła

do siostry Klary i opowiedziała jéj to wszystko.

Siostra Klara była to osoba w wieku podeszłym. Klęczała właśnie przy stoliku, prosząc o natchnienie Ducha świętego. Za godzinę miała się widzieć z panem Kuleszem.

Tymczasem na Ormiańskiéj ulicy było jakoś weseléj. Pan Kulesz chodził po pokoju, ubrany starannie. Dziesięć lat mu ubyło. Zacierał ręce i uśmiechał się do siebie. Miał jakoś lekkie sumienie. — Przy progu stał pan Hetka.

— I cóż ludzie mówią na to? zapytał go.

— Nie mogą się dość pana nachwalić, odpowiedział ajent.

— A w klasztorze?

— O niczem innem nie mówią, jak o wielkim dobroczyńcy ubogich. Przed klasztorem mimo deszczu stoją tłumy ciekawych. A niektórzy, co tego pojąć nie mogą, jakim sposobem można na pogrzeb żebraczki tyle łożyć, zmyślają najdziwaczniejsze historje!

— Jakież historje?

— Jedni mówią, że to była jakaś pokutująca pani, a nawet wyliczają jéj grzechy, za które pokutowała...

— Głupi, podły gmin! Nie może pojąć, jak można być dobroczynnym?

— Inni jeszcze niedorzeczniéj o tem mówią.

— Cóż mówią?

— Że pan dobrodziéj niegdyś znałeś tę kobietę i byłeś z nią w stosunkach...

— Podła gawiedź uliczna! We wszystkiem szuka zaraz skandalu!... Podli!... zkąd mi do znajomości z babą szpital.....

— Mówią, że pan dobrodziéj, ważne mając do tego powody, zapisujesz cały swój majątek na rzecz ubogich, na nowy szpital...

— Aha! widzisz jak wszystko oczy wytrzeszcza na mój majątek!... Ani szeląga!... Głupia gawiedź!

Pan Kulesz stracił humor, dziesięć lat przybyło mu znowu do jego wieku. Ozwał się w nim dawny niepokój. Chodził po pokoju, gryzł usta, a przechodząc koło Hetki złośliwie na niego spoglądał.

— Głupio, głupio mówi gawiedź... a to pan temu jesteś winien...

— Jakto?

— Nie potrzeba było takiego hałasu robić!

— Sam pan tego sobie życzyłeś, żeby o tem wszyscy wiedzieli.

Pan Kulesz na to nic nie odpowiedział, a pan Hetka wymknął się z pokoju pod pozorem jakiejś pilnéj sprawy. Widząc bowiem swego patrona w złym humorze, co się panu Kuleszowi często zdarzało, uznał za rzecz przyzwoitą, zejść mu z oczu.

Już się zmierzchać poczęło. Pan Kulesz kazał zaprzęgać. Za pół godziny zajechał powóz. Pan Kulesz gniewał się, że tak prędko jego rozkaz uskuteczniono. Kazał czekać.

Jakiś dziwny niepokój ogarnął go. Wiele dałby za to, gdyby ten krok do jutra mógł odłożyć. Patrzał na zegar, a skazówka, któréj ruchu dotąd nigdy nie dostrzegł, zdawała się teraz pędzić jak szalona. W mgnieniu oka przeleciała cały cyferblat.

Pan Kulesz przetarł oczy, odpędzając od

siebie te gorączkowe widzenia Spojrzał wkoło siebie, a w jego oczach wszystko nagle zaczęło starzeć. Z uderzeniem piątéj godziny, rozpoczęła się w pokoju dziwna muzyka.— Wszystkie meble, wszystko drzewo ozwało się strasznym głosem. Wreszcie odrazu począł robak toczyć.

Pan Kulesz przypisywał to bezsennie strawionéj nocy, i kataralnéj gorączce, która go od kilku dni trapiła. Wybiegł z pokoju i rzucił się do powozu.

Na ulicach miasta było jeszcze ciemno. Jeszcze nie zapalono świateł.

Z głuchym turkotem jechał powóz pana Kulesza. Przejeżdżając przez wązką, ciemną ulicę koło kościoła OO. Dominikanów, zdawało się panu Kuleszowi, że z piwnic kościoła wychodzą do niego jakieś dziwne głosy. Otulił się płaszczem i zamknął oczy.

Wreszcie zwolniał bieg koni. Było to już blisko klasztoru. Pan Kulesz wyjrzał oknem, ale cóż to za straszne widma? konie stanęły dęba, kłąb iskier wyleciał zpod ich kopyt.

Kilkanaście schodów kamiennych prowadziło do klasztoru. Po bokach stały cztery kamienne posągi. A pod nimi rzędem czerniały się jakieś dziwne postacie. Odziane w jakieś płowe, fantastyczne szaty, z kijem w ręku, z długiemi białemi brodami, głową zwieszoną, stały nieruchomie, a z ust ich wychodził jakiś szmer głuchy, niezrozumiały. Czasami tylko zachrupotało coś w ich rękach, jak koście umarłych, jak chrzęst rożańca.

Był to szpaler tryumfalny dla dobroczyńcy ubóstwa, byli to ubodzy.

Przechodząc przez ten szpaler, czuł pan Kulesz ognie piekielne, każda postać zdawała się pokazywać nań palcem, a w szeptach pacierzów słychać było jakieś dziwne głosy. I wyraźnie słyszał za sobą:

— To on!

— Ktoby o tem był pomyślał!

— Taki wielki pan!

— Nie wszyscy panowie mają takie sumienie!

— Jużciż na pogrzeb nie poskarży się nieboszczka!

Takie głosy dolatywały do jego uszu. I cóżby znaczyły te głosy? O czem to mówi między sobą ubóstwo?

Przez okno, w suterenach klasztoru ujrzał świece płonące. Przymknął oczy i wybiegł na schody. Zdawało się mu, że ktoś z tyłu go ciągnie.

Siostra Klara w towarzystwie siostry Placydy czekała zapowiedzianego gościa w dużym pokoju, przedzielonym kratą na dwie połowy.

Pan Kulesz chciał coś mówić o Renacie, o biednéj bezimiennéj sierocie, którą przychodzi uszczęśliwić... ale siostra Klara nie dała mu jakoś przyjść do słowa, tylko zaraz zaczęła:

— Nie wiele pozostaje nam czasu, aby w imieniu ubóstwa podziękować tak szlachetnemu dobroczyńcy. Za chwilę ozwie się dzwonek na „silentium.“ A wtedy potrzeba milczyć... korzystajmy więc z czasu i pójdźmy na widziéć umarłą. Pan jeszcze nie widziałeś jak leży!

Rzekłszy to zaświeciła grubą, woskową

świecą, a otworzywszy drzwi na ciemny, wązki kurytarz, wyszła naprzód.

Pan Kulesz szedł za nią w milczeniu. Nawiedzenie umarłéj nie było mu wcale na rękę. A słowa siostry Klary były jakieś także dziwne!

Widząc te mury czarne, pleśnią okryte, zdawało mu się, że to ściany grobu, na których wilgoć stoletnia pomalowała takie straszne, fantastyczne obrazy!... Fatalna, katarowa gorączka pomyślał sobie pan Kulesz.

Wreszcie zaskrzypiały drzwi, a zaskrzypiały tak dziwnie! Ujrzał palące się świece, a świece paliły się tak dziwnie!...

Na środku stał katafalk, czerwonym kirem przykryty. Dziad kościelny siedział w kącie i odmawiał pacierze.

Zakonnica zbliżyła się do trumny i oświeciła twarz umarłéj.

Pan Kulesz zbladł jak chusta.

— Zmówmy „Zdrowaś Marja“ za jéj duszę, rzekła zakonnica.

Pan Kulesz ukląkł, wszystko mu w koło cho-

dziło. Widział dziesięć trumien, dziesięć katafalków...

Głębokie panowało milczenie.

Wtem ozwał się dzwonek na „silentium.“ Zakonnica wstała, milcząc skłoniła się panu Kuleszowi i odeszła.

Pan Kulesz wybiegł, rzucił się do powozu.

— Nie, nie, to gorączka, fatalna gorączka, mówił do siebie, gdy wszedł do pokoju, będę chorował... tak, tak, będę chorował..... fatalna gorączka... przywidzenie!...

I spojrzał na około, i rzecz dziwna, w każdym kącie stał katafalk!...

Rzucił się na krzesło, zamknął oczy, a czarne, straszne mary latały przed nim.

— To być nie może... nie, to nie warjatka... dziwne podobieństwo... przypadek, nic więcéj... gorączka, będę miał febrę kataralną...

I uczuł straszne zimno, jakby lód miał wewnątrz.

Położył się do łóżka, nakrył się z głową, zamknął powieki... ale oczu niezamknął. Widział niemi tak dobrze jak w dzień, widział ka-

żdą częścią ciała, każdym porem, jak się widzi w śnie magnetycznym. A widział straszne, okropne rzeczy! Widział coś, na co nie ma imienia, czego nigdy nie obaczy ani opisać nie zdoła zwyczajne wyobrażenie człowieka.

Pot ciekł mu z wszystkich porów, a każda kropla piekła jak ogień, kłóła jak ostrze noża.

Co przecierpiał, o czem śnił? trudno powiedzieć.

Już było dobrze po północy, gdy się nagle przebudził. Skoczył z łóżka jakby go jaszczurka ukąsiła. Twarz mu pałała, oczy paliły się płomieniem.

— Nie, nie, to sen, to przywidzenie, krzyknął przeraźliwie, to nie ona, złudzenie, podobieństwo...

Wstał nagle z krzesła, zarzucił płaszcz na siebie, i wybiegł na ulicę.

Na ulicy było ciemno, strasznie ciemno. Kulesz szedł prosto drogą do klasztoru.

Już zdaleka ujrzał migocące światło w suterenach. Wbiegł na schody i otworzył drzwi.

Dziad kościelny spał w kącie, na stopniu katafalku świeciła się lampa.

Kulesz wziął lampę, podniósł do góry i spojrzał na twarz umarłéj. W téj twarzy był spokój, jakiego się zazwyczaj doznaje po wielkiem przebytem cierpieniu. A nawet jakiś uśmiech łagodny igrał koło tych ust jakby przemocą zaciśniętych, które się otworzą i mówić będą aż na sądzie ostatecznym!

Ale dla Kulesza mówiły one i teraz. Była to owa wdowa, owa warjatka z jego domu!

Lampa wypadła mu z ręki, roztopiony łój bryznął na kir, szczątki szkła zabrzękły na kamiennéj posadzce, a wszystko ogarnęła ciemność straszna, grobowa...

. . . . . .

Rano dowiedział się cały klasztor, że do szpitala przybył w nocy jeden chory więcéj. Ksiądz proboszcz pospieszył do niego z wijatykiem. Po spowiedzi i kommunji świętéj zawołał kapłan dwóch świadków, bo chory chciał uczynić jakieś zeznanie.

Za kilka godzin biegały dziwne wieści po

Lwowie. Mówiono że pan Kulesz w gorączce nerwowéj uczynił dziwne zeznanie. Miał jakiś testament sfałszować, majątek należący się młodéj sierocie zabrać, któréj ojciec zginął gdzieś na wyspie St. Domingo, w służbie legjonów. Do tego miała mu być pomocna jakaś kobieta, któréj dziecię umarło i pochowane zostało pod imieniem małoletniéj spadkobierczyni majątku. Inni znowu, pobłażliwsi, opowiadali, że pan Kulesz z chrześćjańskiéj cnoty zapisał cały swój majątek biednéj sierocie, oddawszy ją pod opiekę bogobojnéj hrabiny X. Byli i tacy, co jeszcze inaczéj tę rzecz opowiadali, i trudnoby nam było zebrać tutaj wszystkie te najdrobniejsze szczegóły, i najrozmaitsze odcienie, z jakiemi podawano sobie z ust do ust, z ucha do ucha to nadzwyczajne zdarzenie. W jednem tylko zgadzały się wszystkie warjanty tego opowiadania, to jest co do imienia sieroty, która się nazywała — Renata.

Byli i tacy, co już w tem imieniu widzieli wszystkie koleje téj sieroty. Bo Renata była zaiste odrodzoną.

I Felicjana doszły te wieści. Mogły go one zachwycić lub zabić.

Pospieszył do klasztoru.

W ubogiéj celi leżał Kulesz. Był w delirium. Koło niego siedział kapłan i czytał z brewiarza.

Felicjan przyskoczył do kapłana, i zarzucił go pytaniami. Zamiast odpowiedzi westchnął kapłan, a patrząc przed siebie mówił niby do własnych myśli swoich:

.....I pójdą na potępienie ci, którzy w życiu swojem mamonę na pierwszem miejscu kładą, a karać będzie Bóg społeczeństwo, które według mamony odróżnia ludzi od siebie, a nie według ich dobrych uczynków ani zasługi, która pochodzi z miłości chrześćjańskiéj... Biada społeczeństwu, gdzie według mamony mierzą człowieka, albowiem człowiek musi tam ubiegać się o mamonę, a ubiegając się o nią, nie zawsze przebiera między środkami, które go do celu prowadzą. Albowiem bogatemu wszystko odpuszczone będzie, a świat przebaczy wszystkie grzechy, prócz grzechu — ubóstwa!..

Biada takiemu społeczeństwu, bo ono nie zagląda w serce człowieka, ale w jego kaletę, i nie pyta go, czy wtéj kalecie niema łez wdów i sierot!... Otóż puszczają się ludzie na bezdroże i zapominają że jest Bóg na niebie, a jakkolwiek drogi Jego są tajne i niezbadane, każda jednak nieprawość na jaw wykryta będzie!... Bo nieprawy człowiek jest jak ów wąż igrający z własnym ogonem swoim; zapomni się, ukąsi weń i własnym jadem siebie zabije!...

* * *

Przed starą kamienicą w rynku, nazwaną „Bankiem weneckim,“ stały tłumy ciekawych. Rozmawiano o dzisiejszem zdarzeniu, a każdy inaczéj je słyszał, a jeszcze inaczéj je opowiadał. A wszyscy patrzali w ulicę Ruską, zkąd miała się pojawić bohaterka dnia dzisiejszego.

Wreszcie usłyszano turkot powozu.

— Jedzie! zawołano zewsząd.

— Jaka blada! biedna sierota!

— Gdzietam biedna! bogata, posażna! Za kilka dni zgłosi się ćma konkurentów!

— Prawda, prawda! Teraz ją wszyscy będą kochać!

— Niema to jak majątek!

Takie rozmowy słyszał Felicjan. Stał między patrzącymi.

Powóz zatrzymał się przed starą kamienicą. Renata wysiadła, za nią jakaś pani podeszła. Felicjan przedarł się pomiędzy ciekawych i stanął przy saméj sieni. Ale Renata nie spojrzała na niego. Raz tylko rzuciła okiem na tłumy stojących, a w tem spojrzeniu było coś, co mówiło: Jestem teraz bogatą, a wszystkich oczy będą na mnie patrzyć!

— Ona jest bogatą, pomyślał sobie Felicjan, a łzy stanęły mu w oczach, a jam ubogi! jam biedny!...

Myśl ta stała się dla niego bolesnym wyrokiem.

* * *

W ubogiéj izdebce Skaliskiego plebana było wielkie zamieszanie. Panna Teresa nie mogła przyjść do siebie. Śmiała się i cieszyła, a łzy płynęły jéj po twarzy. Ksiądz Daniel był

napozór spokojny, lecz widać było po drganiu ust, po oczach wzniesionych w górę, że się w duchu modlił. Felicjan stał przed nim z głową spuszczoną, jak winowajca czekający wyroku.

Po chwili ozwał się ksiądz Daniel:

— Oto modliłem się do Boga, aby mnie mądrością swoją raczył oświecić. Wszystko to o czem mi mówiłeś, jest słuszne, kto ma duszę szlachetną, nie może innemi chodzić drogami. Ale zważ mój synu: Jeżeli kto może na szerszéj pracować niwie, na cóż uciekać na zagon? Mniéj pracy, mniéj zasługi. Idzie tu tylko o siły. Dlaczegóż wychodzić z areny nie spróbowawszy sił swoich w boju?... Felicjanie! szlachetną masz duszę, ale zasłaby jesteś. Bojem tylko nabywa się hartu, świat szeroki... idź, wojuj... upadniesz? wstań, a ludzie nie są tak źli, aby w końcu zasługi twojéj nie uznali! Idź, błogosławieństwo moje towarzyszyć ci będzie! A gdy ze świata powrócisz kaleką, zapukaj tu do moich drzwi, a leczyć cię będę!...

XV.

W kilka lat po tem zdarzeniu było we Lwowie bardzo tłumno i głośno. Na ulicach można było widzieć wiele nowych nieznanych twarzy. Ale twarze te przemykały się w milczeniu po mieście, smutne i posępne.

I w staréj kamienicy, nazwanéj Bankiem weneckim, nie było wesoło. Po salonie pierwszego piętra przechodził się mężczyzna już niemłody. Z ruchu i postawy poznać w nim dawnego żołnierza. Na kanapie siedziała dama w czarnem ubraniu. Na pułapie była wymalowana Opatrzność Boska, a na ścianach obok dwóch starych obrazów wisiała miniatura, przedstawiająca młodą dziewczynę o czar-

nych oczach. Twarz ta była zupełnie podobną do Renaty.

— Muszę z twojéj obecności korzystać, kochany bracie, rzekła dama, po długiéj chwili milczenia, i prosić cię o radę względem Heleny. Wychowanie jéj w ubogiéj plebanji dziwny wpływ wywarło na całe jéj usposobienie. Nie lubi świata, unika towarzystw, gdzieby się przecie mogła dać poznać, zamknięta w sobie z każdym dniem gorzéj wygląda. Nieszczęścia, które przebyła, zaszczepiły w jéj sercu nieufność nawet dla tych, którzy ją kochają. Najchętniéj odwiedza kościoły, lubi być samotną, czyta wiele, a gdy jéj powiem, że ten lub ów o nią chce się starać, zaraz ma dla mnie łzy na pogotowiu, a dla starających się kawalerów tak uszczypliwą ironję, że żaden długo placu nie dotrzyma. Gdy się na to gniewam, mówi do mnie:

— Moja ciociu! A gdzież ci panowie byli wtenczas, gdy byłam ubogą sierotą? Ten tylko mógłby szczerze kochać Helenę, kto szczerze kochał Renatę!

Zapowiedziano gości. Dwóch młodzieńców weszło do salonu. Aromatyczna woń pachnideł rozeszła się po całym salonie. Byli ubrani bardzo przyzwoicie a nawet uniformowo, bo nietylko mieli podobną na głowach fryzurę, ale nawet na jeden sposób zawiązane chustki na szyję i zapięte surduty. Były to dwie jak najwierniejsze kopje z ostatniego żurnalu mód paryzkich.

Stary żołnierz, zmarszczył brwi widząc na ich twarzach ten uśmiech zimny, jednotonny, który tam zawisł jako ostatni przybór toalety, a który z sercem w żadnem nie był pokrewieństwie.

Gospodyni jednak przyjęła ich mile, prosiła siedzieć a zamieniwszy kilka słów, wyszła do pobocznego salonu, aby siostrzenicę swoją o przybyciu gości zawiadomić.

Siostrzenica pani hrabiny była to brunetka przecudnéj białości. Siedziała właśnie przed blejtramem z pędzlem w ręku i malowała z pamięci jakiś pejzaż. Było tam wiele gór i skał, był potok a nad potokiem mały wiejski ko-

ściołek, kilka chat wieśniaczych i uboga, pochylona plebanja.

— Możebyś wyszła do gości Heleno? rzekła hrabina.

— Co za goście, zapytała Helena-Renata.

— Pan Edward i Edmund.

— Znieść ich nie mogę kochana ciociu, wolę pozostać tu, przy moich Skaliskach.

Hrabina westchnęła i odeszła, a siostrzenica jéj widząc się samą, wyjęła białą chustkę i osuszyła kilka łez, które jéj wzrok ściemniły.

Kilka lat gdyśmy jéj nie widzieli, a jak się zmieniła! Nie była to uboga Renata, ale cudnie piękna dama. Tylko twarz jéj zbladła więcéj, z oczu ubyło coś z tego czystego, jasnego płomienia. Zapewnie łzy przygasiły go i skryte cierpienia.

Wtem ozwał się w salonie głos nowego gościa. Renata ustała nagle w pracy i słuchała z uwagą.

— A jakże się masz kochany Felicjanie! zawołał dawny legjonista i serdecznie gościa ucałował.

A zwracając się do siostry zaprezentował jéj przybyłego.

— Panowie zapewne się znacie? rzekł do obu młodzieńców.

— Nie mamy szczęścia, panie kapitanie, odpowiedzieli.

— Cóż tam do kata! W tym wieku nie znać się, nie zejść się razem w tem miejscu, gdzieśmy wszyscy byli...

— Byliśmy za granicą.

Stary żołnierz zmarszczył brwi.

Wtem okazała się we drzwiach Renata. Ujrzawszy Felicjana krzyknęła i blada jak chusta usiadła w najbliższem krześle.

Felicjan pobiegł do niéj.

— Czemu tak późno? szepnęła do niego, a mocny szkarłat oblał jéj lica.

— Cóż to dzisiaj wszystko na opak idzie! zawołał zdziwiony żołnierz, ci co się znać powinni, nie znają się, a tu znowu znajomość..... tam do kata!... gotowe być weselisko!...

Kilka minut potem pan Edward i Edmund roznosili po Lwowie najdziwaczniejsze wieści.

KONIEC.

EPILOG.

Byłoto w maju. Góry nasze odziały się w zielone, aksamitne szaty. Balsamiczna woń kwiatu zawiewała za każdym pociągiem wietrzyka, a tonący w błękicie skowronek śpiewał swoje dziwne, fantastyczne melodje.

Za białym dworkiem, przyozdobionym małą, czworoboczną wieżyczką, w niewielkim, lecz starannie urządzonym ogródku, pod jabłonią właśnie co rozkwitłą, siedziało nieliczne towarzystwo przy herbacie. Młoda, piękna gospodyni nalewała gościom z srebrnego naczynia, a z jéj oczu jasno-szafirowych widać było szczęście i zadowolenie. Z rozkoszą ma-

cierzyńską patrzała na małe dziecię, które siwy staruszek na kolanach trzymał i niém się bawił. Po drugiéj stronie stolika na kanapce darniowéj siedziało dwóch młodych mężczyzn, a jeden z nich trzymał za rękę siedzącą obok gospodyni młodą kobietę o bladéj twarzy. Widać było, że po téj twarzy musiało kiedyś wiele łez przepłynąć, dzisiaj już nie płynęły, tylko ślad ich pozostał, a obecne szczęście jeszcze niezupełnie go zatarło.

Staruszek oddał dziecię gospodyni, a sam zaczął:

— Widzicie tę jabłoń? Jak pięknie odziała się w blado-różowy kwiat! Dziwną jakąś woń mają te kwiaty wiosenne. Zdaje się człowiekowi, że odmłodniał, że mu sił przysporzyło się, ale oraz obawia się, aby wszystko to, co kiedyś cierpiał, nie powtórzyło się na nowo. Tak to zazwyczaj bywa. Gdy jesteśmy szczęśliwi, obawiamy się, abyśmy naszego szczęścia nie utracili.

Rzekłszy to, zadumał się staruszek, podniósł wzrok ku niebu i westchnął.

— Nieboszczka moja żona, lubiła tę jabłoń, ciągnął daléj staruszek, i zawsze pod nią siadywała. W taki sam kolor, blado-różowy, ciebie Mańciu ubierała..... Mój Boże, co to za trzpiot był z tego dziecka! Jak latka upływają! Dziś rok, pamiętam w wilję N. P. Marji....

— Pamięta tatko, przerwała mówiącemu gospodyni, tak samo siedzieliśmy tutaj..... tylko Felicjana nie było między nami, uganiał gdzieś za duchami.

I podała białą, drobną rączkę jednemu z mężczyzn i słodko uśmiechnęła się.

— Tak jest, odpowiedział Hugon, całując podaną rączkę, uganiałem po krainie duchów i myślałem, że dla ludzkości zdobędę to, co właśnie dla niéj zakryto. Zbłąkałem się w téj krainie, jak każdy inny tam zabłąkać się musi...

— Czemuż o tem wspominasz? przerwała z pewną bojaźnią małżonka.

— O dziś jestem zdrowy i szczęśliwy. Mała, drobna istotka, która jak kwiateczek przyrosła do ziemi, ściągnęła marzyciela z nieba do siebie, a obłąkanego wyleczyła.

Rzekłszy to, wstał z kanapki i ucałował żonę i dziecię. Poczem zwrócił się do swego sąsiada.

— Patrz Felicjanie, mówił do niego wskazując na położenie, patrz na tę górę. Ztamtąd ujrzeliśmy niegdyś Skaliska! Czy pamiętasz sen, który mi wtedy opowiadałeś?... Dziwnie się wszystko skończyło! Tyś miał być ową kroplą rosy, która padła w szczelinę skały, aby pracowitéj pszczółce służyć za napój..... a to tymczasem jam się stał ową drobną kropelką, będąc pierwéj wielkim, na niebie rozwieszonym obłokiem!...

— Dziwne rzeczy roiły się wam po głowie, dodał pan Izydor. Ale powiedzcie mi, jakim sposobem mogła pani Felicjanowa wiedzieć, jak wygląda owa sala, w któréj niegdyś jéj rodzice mieszkali i w któréj potem wesele się odbyło?

Hugon spuścił głowę i nic nie odpowiedział. Jego nauka i umiejętność nie miała na to klucza, aby tę zagadkę rozwiązać.

— Mojem zdaniem, ozwała się Renata bio-

rąc męża za rękę, nie powinniśmy sięgać daléj jak nam dozwolono. Wiara nasza jest nieprzebranem źródłem, z którego czerpać możemy ukojenie w każdéj dobie naszéj boleści. Ręka Boga prowadzi nas po różnych kolejach życia, ona trzyma przędzę naszych losów, i losów całego świata, a jeśli nam przypadkiem wpadnie do ręki jeden strzępek téj przędzy niewidoméj, nie chciéjmy po nim dochodzić pasma, gdzie się wszystko wiąże!

— Masz słuszność, odpowiedział Felicjan, nie powinniśmy uważać narzędzi, któremi Opatrzność się posługuje, jako siły samodzielne, których rezultatem jest nasz byt na ziemi. Wszystko zbadasz i wykryjesz, cokolwiek w naturze działa, rozłożysz wszystko w atomy i żywioły, użyjesz je do swoich potrzeb i dowolnie niemi kierować możesz, ale nie ujrzysz i nie zbadasz nigdy owego punktu, owego środka, z którego to wypływa i do którego wszystko dąży — a tym środkiem, wiecznie przed tobą zakrytym jest — Bóg.

Pan Izydor zdjął czapkę i począł się modlić.

I więcéj nic nie mamy dorzucić do naszéj powieści. Gdyby Hugon powiedział nam coś o organizacji świata niewidomego i o jego mieszkańcach, możebyśmy tę powieść inaczéj byli napisali, wykrywając wszelkie działające w niéj sprężyny, które tylko w rezultatach nam się objawiały. Ale nasz przyjaciel nigdy o téj materji z nami mówić nie chciał, a my ziemskiém patrząc okiem kreśliliśmy ten szkic wedle tego, cośmy na ziemi dojrzeć mogli. To téż wiele z naszéj powieści zostało gdzieś w świecie niewidomym.

A o tem co się daléj jeszcze na ziemi działo, możemy powiedzieć, że Felicjan pojąwszy Renatę, kupił Skaliska i obok plebanji wystawił ładny dworek. Hugon najmiléj przebywał w majątku żony, a do Skalisk zrobiono nową, wygodną drogę. Frania i Rózia poszły za mąż. Dostały mężów dobrych i uczciwych, chociaż niebardzo młodych, ale nie łysych, co się dzisiaj rzadko u starych kawalerów wydarza. — Ciągną, jak dawniéj kabałę, a król czerwienny staje zawsze przy swojéj damie. Pan Izy-

dor posiwiał, ale jest jeszcze krzepki. Codziennie chodzi do Skalisk i z panną Teresą gra w marjasza.

Jednego tylko nam nie staje. Pożegnał świat doczesny, związawszy wprzód ręce dwojga par młodych i pobłogosławiwszy ich na nową drogę żywota. Cicho i bez hałasu położył się sędziwy kapłan do grobu, jak spracowany robotnik, aby po dokonanem żniwie wypocząć.

I tam nie jest on samotny. Przy nim leżą dawni jego znajomi, kilka pszczółek usiadło na kamiennym krzyżu, a nad niemi krąży motyl o złotych skrzydłach. Z drugiéj strony pełza mały świecący robaczek szukając na noc schronienia. I znalazł je za promieniem Opatrzności Boskiéj, którą pan Izydor kazał wykuć na krzyżu.

Jakże on dziwnie do nas przemawia, ten mały, świecący robaczek!

BIBLIOTEKA OSSOLINEUM

Zakład Narodowy
im. Ossolińskich
1100110444

BIBLIOTEKA
Zakł. Nar. im. Ossolińskich
556687